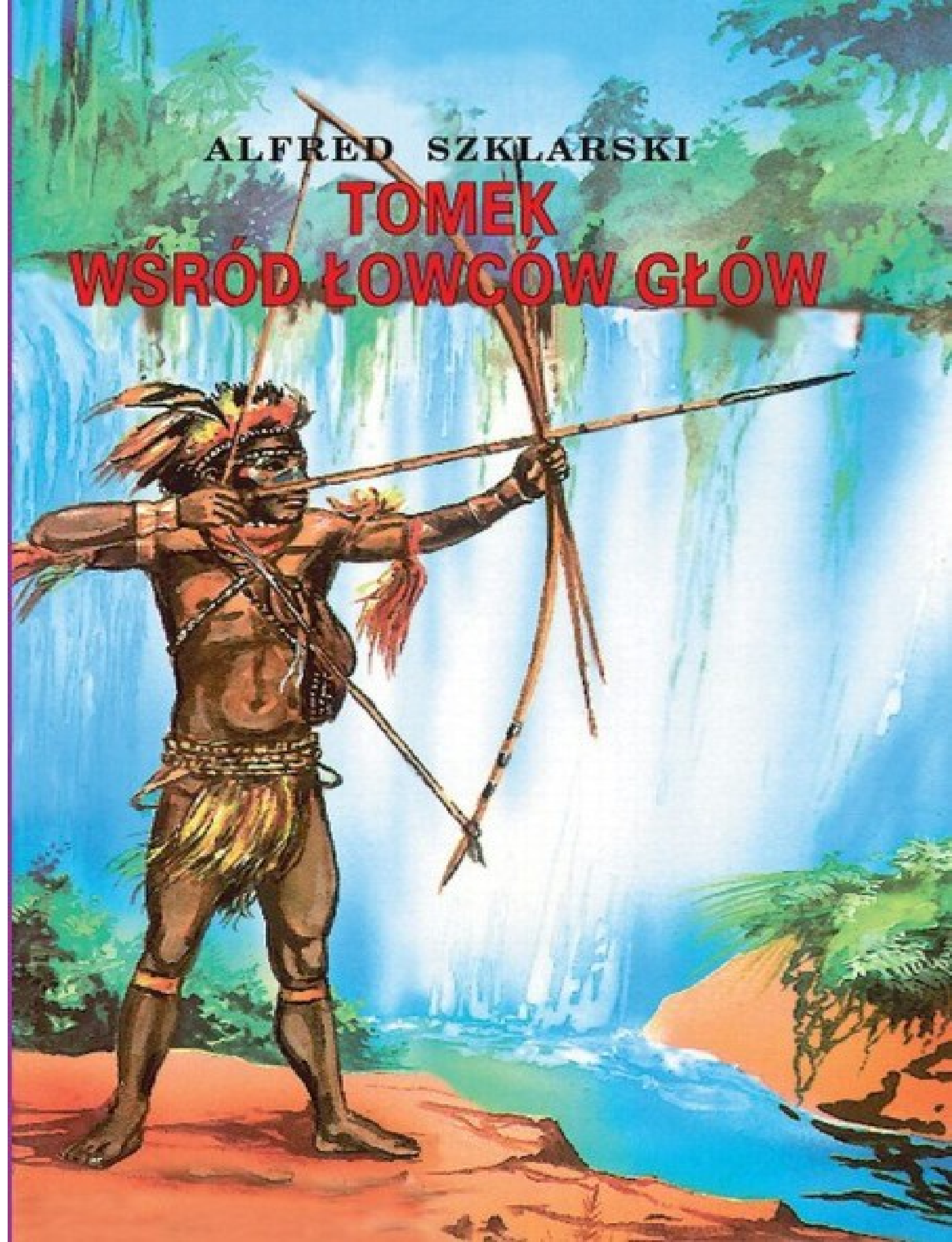


ALFRED SZKLARSKI

TOMEK WŚRÓD ŁOWCÓW GŁÓW



ALFRED SZKLARSKI

TOMEK WŚRÓD ŁOWCÓW GŁÓW



Alfred Szklarski

Tomek wśród łowców głów

Konwersja do formatu Epub:



PROLOG: ISLA DE LA MALA GENTE

Eleli Koghe samotnie szedł ścieżyną przez dżunglę porastającą górskie zbocza. Natężonym wzrokiem uważnie rozglądał się po gąszczu tropikalnej zieleni. Jego wełnistowłosą głowę zdobiły brązowo-zielono-czerwone pióra królewskiego rajskiego ptaka. Ujęte przepasaną wysoko na czubie głowy plecionką z łyka, wyglądały jak szeroko rozłożony wachlarz, mieniący się purpurą krwi. Według wierzeń niektórych papuaskich plemion, pióra tego wspaniałego ptaka miały nie tylko chronić wojownika przed zranieniem w walce, lecz były również skutecznym amuletem przeciwko puri-puri, czyli czarom, których obawiali się nawet najodważniejsi. Mężny Eleli Koghe nigdy nie rozstawał się ze swoim cennym pióropuszem i dlatego właśnie obdarzono go imieniem oznaczającym w miejscowym narzeczu – Czerwony Rajski Ptak.

Niemal od chłopięcych lat był wojownikiem i myśliwym, tak jak prawie wszyscy mężczyźni żyjący w głębi tej olbrzymiej, tajemniczej wyspy. Na prawym ramieniu niósł teraz widome tego oznaki: łuk z palmowego drzewa, długie strzały z zadziorami, dzidę i kamienny topór, mocno przytwierdzony łykiem do styliska z gałęzi.

Krajowiec był nagi. Jedyne biodra osłaniała opaska z białej kory. Całe ciemnobrązowe, błyszczące ciało pomalowane było w czarne i białe pasy. Lekko wydęte usta oraz przenikliwie spoglądające, czarne jak węgiel oczy otaczały koła z jasnoczerwonego i żółtego barwnika. Wysuszone, nadpleśniałe świńskie ogonki, zwisające z przedziurawionych małżowin usznych i kość kazuara [\[1\]](#) w chrząstce nosowej wskazywały, że Eleli Koghe jest osobistością wśród swoich. Na szyi przecież nosił sznur upleciony z cienkich lian, na którym widniało zawiązanych osiem węzłów. Każdy z nich oznaczał własnoręcznie pokonanego wroga.

Eleli Koghe szedł ostrożnie, gotów do odparcia niespodziewanej napaści. Był przecież częścią dżungli, w której od wieków trwała, jak w całej przyrodzie, nieustanna walka. Atak, obrona, triumf i śmierć szły tam z sobą w parze. Zwycięzał bardziej przedsiębiorczy, słabszy musiał ginąć, aby silniejszy mógł dalej istnieć.

Korony drzew pięły się w szaleńczym wyścigu ku niebu. W niezwyklej plątaninie trudno nawet było odgadnąć, kto zwyciężył, a kto został zwyciężony. W dole, u stóp leśnych olbrzymów, bujnie krzewił się drugi, jeszcze bardziej bezlitosny, niższy gąszcz paproci, kolczastych palm, bambusów i różnych pnączy. Świat roślinny i zwierzęcy tworzył w dżungli nierozzerwalną całość w walce o zachowanie istniejącego stanu. Drzewa i liany dusiły się wzajemnie w uściskach, owady drążyły drzewa, ptaki pożerały owady, ludzie polowali na ptaki, a krokodyl, drapieżnik nowogwinejskiej dżungli, czyhał na wszystkie żyjące istoty z człowiekiem włącznie. Krajowcy zamieszkujący dżunglę również toczyli między sobą prawie nieustanne wojny i uprawiali kanibalizm.

Eleli Koghe samotnie podążał przez dżunglę do strumienia, niedawno, bowiem odkrył miejsce, w którym łatwo można łowić ryby. Nikt z jego plemienia nie kwapił się z pomocą. Do owego miejsca trzeba było iść przez okolice, którą nawiedzały złe duchy. Eleli Koghe był odważny, lecz mimo to niepokój jego potęgował się teraz z każdym krokiem. Już

niedaleko, w zielonej gęstwinie po prawej stronie ścieżyny, leżał olbrzymi, samotny głaz. Na jego płasko ściętym szczycie, pokrytym grubą warstwą zielonożółtego mchu, rosła kępa sękatych drzew. Ich korzenie zwisały wokół jak żółte jadowite węże i częściowo osłaniały widoczną tuż przy ziemi czarną szczelinę. Nikt nie potrafił wyjaśnić, w jaki sposób samotny blok skalny dostał się w głąb dżungli, lecz z pokolenia na pokolenie wśród okolicznych mieszkańców przekazywano sobie legendę, że w ciemnej grocie pod głazem mieszkają bardzo złe duchy. Miały posiadać ogniste oczy, z których wyrastały żółte żądła.

W pobliżu gąszczu kryjącego samotną skałę Eleli Koghe przyspieszył kroku. Odwrócił głowę, by przypadkiem nie napotkać zabijającego spojrzenia demona. Tędy nawet w dzień najbezpieczniej było przechodzić w towarzystwie czarownika, znającego różne zaklęcia.

Tym razem również udało się Eleli Koghe przejść spokojnie obok siedliska duchów. Westchnienie ulgi wyrwało się z jego piersi. Pobiegł w kierunku brzegu strumienia. Wkrótce usłyszał szum wody przedzierającej się przez rzeczne progi.

Las rzednął... Eleli Koghe zwolnił kroku. Zaczął się uważnie rozglądać. Niebawem odnalazł miejsce, w którym poprzednim razem przygotował sprzęt rybacki. Ku swemu zadowoleniu stwierdził, że owalna obręcz o średnicy ponad półtora metra jest już zasnuta siecią utkaną w duże oczka. Z wdzięcznością spojrzął na siedzącego w niej pająka wielkości laskowego orzecha, o włochatych, ciemnobrązowych nogach. Pomysłowi mieszkańcy tej doliny nieraz wykorzystywali pracowitego pająka do robienia oryginalnych sieci na ryby. W tym celu wybierali w lesie odpowiedni rozmiarami bambus, zginali go od wierzchołka w kabłąk, a reszty pracy dokonywał za nich pająk, który znalazłszy obręcz, nadającą się do sporządzenia pułapki na owady, zasnuwał ją elastyczną, dość mocną i trwałą siecią, odporną nawet na wodę.

Eleli Koghe dzidą ostrożnie przepłoszył pająka, po czym kamiennym toporkiem ściał bambus. Teraz ruszył ku pobliskiemu brzegowi strumienia. Niebawem przystanął na dużym kamieniu. W tym właśnie miejscu rumowisko skalne częściowo tarasowało nurt rzeki, powodując prąd wsteczny i wirowanie wody. Eleli Koghe odłożył broń. Ujął w dłonie bambus i szerokim ruchem zagarnął siecią wodę w toni. Po jakimś czasie złowił kilka niedużych ryb. Włożył je do siatki uplecionej z lian, a następnie zarzucił ją na ramię; zabrał broń oraz sieć i ruszył w kierunku grupy skał, gdzie zamierzał ukryć swój sprzęt rybacki.

Wkrótce znalazł odpowiednie miejsce. Teraz powracał do wioski wzdłuż łagodnego, bezdrożnego zbocza górskiego. Naraz z platformy położonej na ostro ściętym szczycie rozbrzmiały melancholijne okrzyki.

Eleli Koghe przystanął. Zaczął nasłuchiwać. Po chwili uśmiechnął się, to ptak golove [2] śpiewał swoją miłosną pieśń...

Eleli Koghe bez najmniejszego szmeru ostrożnie wspiał się na szczyt. Ukryty w gąszczu przyglądał się uzdolnionemu ptakowi. Ptak ten, zwany przez nas ogrodnikiem, jest nadzwyczaj pomysłowym budowniczym.

Na okres godów samiec golove przygotowuje w ciągu kilku miesięcy wspaniałą salę

balową. Przede wszystkim wybiera odpowiednie miejsce, jak najbardziej równe i nie porośnięte drzewami. Dziobem i pazurkami oczyszcza ziemię z trawy, niweluje ją; jeśli są tam jakieś krzewy, zrywa z nich liście oraz korę, aby zwiędły. Pozostawia tylko jeden krzak i naokoło niego buduje ziemną platformę w kształcie koła o średnicy mniej więcej jednego metra. Następnie przynosi szorstki mech i proste łodygi pewnego gatunku storczyka, który rośnie pękami na gałęziach omszałych, wielkich drzew, by z nich zrobić okładzinę wzmacniającą krawędź platformy. Potem zbiera w lesie gałązki i złote listki, jagody czerwone, białe i zielone, z których układa różne wzory na swej sali godowej. Wśród ozdób nie brak również kolorowych kwiatów, owoców, a nawet grzybków i pięknie ubarwionych owadów. Gdy ozdoby przez dłuższe leżenie tracą świeżość, ptak je wyrzuca i zastępuje innymi.

Eleli Koghe w skupieniu przysłuchiwał się miłosnym trelom golove. Cieszył się razem z ptasim zalotnikiem. Krajowcy doskonale znali zwyczaje golove i uważnie śledzili ich prace przy budowie sal godowych. Poszczególne czynności ptaka-ogrodnika stanowiły dla nich naturalny terminarz własnych zajęć gospodarskich. Gdy golove zaczynał drapać ziemię, kobiety wiedziały, że czas już oczyszczać miejsce na poletko. Kiedy ptak przystępował do budowania platformy, kobiety kopały swą ziemię zaostrzonymi kijami, natomiast, gdy wzmacniał platformę okładziną z mchu, one ogradzały poletka, by ochronić je przed dzikami. Przystrajanie platformy różnymi ozdobami oznaczało czas sadzenia jarzyn, ukończenie zaś budowy i miłosny śpiew były zapowiedzią, że warzywa dojrzewają na poletkach. Dlatego też radość owładnęła sercem Eleli Koghe. Oto nadchodziła pora żniw, sytości, śpiewów i tańców. Eleli Koghe po cichu wycofał się z kryjówki. Niebawem był na skraju dżungli.

Tropikalny żar słoneczny uciszył życie gąszczy leśnych. Eleli Koghe bez pośpiechu wszedł do dżungli. Miał dość czasu, by powrócić do wioski, zanim kobiety zaczną przygotowywać przed zmierzchem główny posiłek dnia. Wtem w ciszy leśnej, niemal jednocześnie, rozległ się świst strzały i ostry krzyk śmiertelnie ugodzonego rajskiego ptaka. Eleli Koghe odruchowo przykucnął za pniem drzewa. Łowił uchem trzepot skrzydeł, szelest gałęzi i głuchy odgłos padającego na ziemię ptaka. Kilka cichych skoków przybliżyło Eleli Koghe do miejsca nieoczekiwanych łowów. Ostrożnie rozchylił pnąca.

Zaledwie o parę kroków od niego, u stóp drzewa, pochylał się nad swym łupem jakiś mężczyzna z łukiem w dłoni. Ubrany był w szeroki czarny pas pleciony i przepaskę z kory. Nos, przez którego chrząstkę przegrodową przesunięta była kość kazuara, pomalowany miał na żółto, a na policzkach widniały symetryczne czerwone pasy. Z uszu zwisały mu wysuszone kolibry, na szyi zaś sznury muszli i psich zębów. Obok niego, porzucone, leżały dzida i kamienny topór. Przyklęknął nad jeszcze drgającym ptakiem.

Błysk gniewu zamigotał w oczach Eleli Koghe. Obcy myśliwy należał do plemienia Mafulu, z którym plemię Tawade żyło na wojennej stopie. Pobliski strumień stanowił granicę pomiędzy terenami łowieckimi obydwóch plemion. Przekroczenie jej przez którąkolwiek stronę zawsze powodowało krwawy odwet.

Eleli Koghe ostrożnie oparł dzidę o drzewo; topór i siatkę z rybami położył u jego stóp.

Ujął haczykową strzałę, po czym mocno napiął cięciwę łuku. Strzała ostro bzyknęła w powietrzu. Nieszczęsny Mafulu z szyją przebitą na wylot poderwał się z ziemi, lecz w tej chwili druga strzała ugodziła go prosto w pierś. Wydawszy stłumiony okrzyk, ciężko osunął się na martwego rajskiego ptaka.

Eleli Koghe podbiegł do pokonanego wroga. Wojny wśród krajowców przeważnie ograniczały się do pojedynczych napadów z zasadki. Ten, kto zabijał nieprzyjaciela nie narażając siebie, zyskiwał sławę największego bohatera. Toteż Eleli Koghe z dumą zawiązał teraz dziewiąty węzeł na swym złowieszczym naszyjniku z lian. Pospieszenie zabrał broń zabitego Mafulu oraz martwego rajskiego ptaka i własną sieć z rybami, po czym pobiegł w kierunku wioski z radosną wieścią.

Rodzinną wieś Eleli Koghe leżała na ostro ściętym płaskowyżu górskim. Kilkanaście domów, zbudowanych ponad ziemią na wysokich palach, stało w dwóch równoległych rzędach, obramowując dość szeroki plac z ubitej czerwonej gliny. Na samym końcu, tuż nad brzegiem przepaści, znajdowała się nieco obszerniejsza od innych budowla, zwana emone. Służyła ona za miejsce zebrań starszyny, a zarazem była stałym mieszkaniem wodzów oraz sypialnią kawalerów. Każdy dom posiadał z frontu małą nadziemną platformę, ocienioną okapem dachu tworzącego jakby wygięty do góry łuk. Cała wioska otoczona była półkolistą palisadą z zaostrzonych na końcu pali. Te zabezpieczenia świadczyły o wojowniczości Tawade, którzy stale napadając na sąsiadów, sami ustawicznie musieli strzec się odwetu.

Eleli Koghe biegł, co tchu do swoich. Już wpadł w obręb palisady. Zwycięski okrzyk wojownika od razu zwrócił na niego uwagę mężczyzn gawędzących na werandach. Zaraz też podążyli za nim do emone, tam, bowiem skierował się Eleli Koghe.

Wiadomość o nowym zwycięstwie lotem błyskawicy obiegła całą wieś. Kilku wojowników natychmiast przygotowało się do drogi, aby wyruszyć z Eleli Koghe do dżungli. Wszystkich ogarnęło radosne podniecenie.

Podczas gdy jedna grupa szybko oddalała się w dżunglę, druga pospieszyła do kobiet pracujących na poletkach na niedalekim zboczu górskim. Wobec pojawienia się wroga na terenach Tawade należało natychmiast wzmocnić straż pilnującą bezpieczeństwa kobiet.

Wkrótce grupka wojowników rozbiegła się po wzgórzach otaczających poletka, skąd dobrze było widać najbliższą okolicę. Wieść o nieoczekiwanej możliwości napadu rozeszła się błyskawicznie po polach. Niskie, grube, przeważnie niezgrabne kobiety podawały ją sobie z ust do ust. Chodziły niemal nago. Jedyne maleńkie fartuszki ze sznurków lian zakrywały dolną część brzucha. Nigdy nie myte ciała u wielu były oszpecone strupami po źle leczonych ranach. Jak przystało na wojownicze plemię, kobiety nosiły na szyi nanizane na cienkich lianach kości swych mężów lub bliskich krewnych poległych w walce.

Zaledwie usłyszały wieści przyniesione przez wojowników, zaczęły krzątać się jeszcze żwawiej. Należało przecież zebrać więcej jarzyn na wieczorną ucztę. W obszernych siatkach uplecionych z lian znikwały czerwono-brunatne, chropowate bataty[3], które stanowiły podstawowe pożywienie mieszkańców wyspy, taro[4] wyrosłe jak kalarepy z

czarnymi skórami, trzcina cukrowa[5] i najcenniejsze z wszystkich papuaskich jarzyn – duże bulwy zwane jamsami[6]. W następnej kolejności do siatek włożono małe pasiaste dynie, ogórki i nieco liści tytoniu.

Gdy wszystkie kobiety były już przygotowane do powrotnej drogi, zarzuciły sobie na plecy pękate siatki, przewiązując je paskiem przełożonym przez czoło na pochylonej do przodu głowie. Na samym wierzchu olbrzymiego ładunku warzyw i rur bambusowych napełnionych wodą matki sadzały okrakiem swe niemowlęta lub też umieszczały je tam zamknięte w specjalnych bambusowych klatkach. Jeśli któraś z kobiet wykarmiła własną piersią prosiaka, niosła go na rękach przed sobą. Obładowane niczym juczne muły, kobiety ruszyły w drogę, eskortowane przez mężczyzn niosących jedynie swoją broń.

Natychmiast po powrocie do wioski kobiety rozpały ogniska, aby w nich rozgrzać aż do białości długie, płaskie kamienie. Pieczenie potraw w myśl miejscowego zwyczaju odbywało się w ten sposób, że do wykopanego w ziemi rowu na przemian kładziono gorące kamienie i warstwę produktów, aż zaimprovizowany piec napełniono po brzegi. Wtedy przysypywano go ziemią. Mniej więcej po dwóch godzinach rozgrzebywano kopiec i rozpoczynano ucztę.

Tym razem jednak, zanim jeszcze głązy zostały nagrzane, radosny nastrój zakłócił niezbyt fortunny powrót wojowników, którzy razem z Eleli Koghe udali się do dżungli. Otóż zamiast pokonanego Mafulu przynieśli dwóch zabitych własnych wojowników. W pobliżu miejsca, gdzie Eleli Koghe stoczył zwycięską walkę, znacznie liczniejszy oddział Mafulu, ukryty w leśnych zaroślach, znienacka zasypał ich gradem strzał z łuków. Od razu padło dwóch Tawade, kilku innych zostało rannych. Jedynie dzięki ostrożności Mafulu, którzy mimo przewagi bardzo się obawiali słynących z okrucieństwa wojowniczych sąsiadów, udało się Tawade wycofać z tak groźnej sytuacji. Poległ, więc tylko brat Eleli Koghe i jeszcze jeden starszy wojownik.

Śmierć brata Eleli Koghe, zgodnie z miejscowymi zwyczajami, mogła być traktowana jako wyrównanie porachunków. Przecież tym razem właśnie Eleli Koghe pierwszy zabił jednego Mafulu, a w dżungli obowiązywało niepisane prawo: głowa za głowę. Lecz drugi poległy Tawade oraz kilku innych rannych powinni być pomszczeni, co najmniej taką samą liczbą zabitych i rannych.

Z okolicznych gór płynął rechot małych żab, który brzmiał jak subtelny dźwięk srebrnych dzwoneczków. To właśnie tak zwane toundule rozpoczynały swój przedwieczorny koncert. Tymczasem w wiosce Tawade zamiast radosnych pieśni rozległy się płacze i lamenty. Jedyna żona poległego brata Eleli Koghe i trzy żony starszego wojownika, całe wysmarowane białą gliną na znak żałoby, tarzały się w popiele i głośno zawodziły. Na przemian słały utraconych mężów i złorzeczyły zabójcom. Mężczyźni również nie próżnowali. Eleli Koghe przewiązał swój kamienny topór przepaską na biodra poległego brata i zaprzysiął krwawą zemstę. Podobne przyrzeczenia składali bliżsi i dalsi krewni innych zabitych, albowiem ognie zapalone na szczytach górskich rozniosły wieść o tragicznym wydarzeniu i spokrewnione plemiona już ścigały na stypę.

Tego dnia dopiero późnym wieczorem kobiety rozkopały smakowicie dymiące piece.

Dwie zabite na stypę świnie oraz całe stopy jarzyn rozdzielono pomiędzy domowników i gości. Starszyzna i sławni wojownicy otrzymali najlepsze części mięsiwa i jamsy. Każdy brał swoją porcję na liść i zjadał się nią na uboczu. Kobietom rozdano ochłapy i jarzyny.

W końcu dzieci i psy zaczęły wygrzebywać z popiołu w piecach resztki jedzenia.

Uroczystości pogrzebowe miały trwać dłuższy czas. Toteż po zakończeniu wieczery mężczyźni udali się do emone na naradę wojenną. Zasedli rzędami po obydwóch stronach ognia, żarzącego się w wylepionym gliną rowku pośrodku podłogi wzdłuż domu. Naczelnik plemienia zwinął w rulon kilka żółtawych liści tytoniu, po czym wydobyl z siatki oryginalną fajkę. Była to dość gruba rurka bambusowa o długości około trzydziestu centymetrów, zamknięta na obydwóch krańcach naturalnymi przegrodami. W pobliżu końców fajki, na wierzchu rury, znajdowały się pojedyncze otwory. W jeden z nich naczelnik zatknął rulonik liści, który zapalił płonąca gałązką. Następnie przyłożył usta do drugiego otworu w fajce i tak długo wciągał powietrze, aż cała rurka napełniła się dymem. Teraz wyrzucił nie dopalone liście i podał fajkę swemu sąsiadowi. Każdy z zebranych kolejno zaciągał się nagromadzonym w jej wnętrzu dymem.

Po tej ceremonii rozpoczęły się długie narady. Jednomyślnie postanowiono szukać pomsty na Mafulu, co niewątpliwie powinno ucieszyć dusze obydwóch poległych.

Wojownicy wylegli na plac. Było tam ludno i gwarno, kobiety, bowiem, a nawet i dzieci, nie kładły się spać tej nocy. Wdowy wciąż objawiały publicznie swoją rozpacz; kaleczyły ciała ostrymi bambusowymi nożami, tarzały się w popiele i lamentowały.

Wojownicy rozpoczęli przygotowania do wojennej wyprawy. Oporządzali broń, malowali ciała sadzą i białą gliną w czarne i białe pasy, głowy przystrajali pióropuszcami z ptasich piór, a na szyjach zawieszali naszyjniki z zębów dzikich świń. Jeszcze przed świtem byli gotowi do wyruszenia w drogę. Teraz miał się odbyć wojenny taniec.

Wojownicy w pełnym uzbrojeniu podzielili się na dwie grupy, które stanęły naprzeciwko siebie twarzą w twarz. Najpierw obydwa oddziały zmierzyły się groźnym wzrokiem, nucąc półtonem groźną w brzmieniu pieśń. Potem tancerze gwałtownie potrząsali dzidami, łukami i kamiennymi maczugami. Stojąc w miejscu mocno uderzali stopami o ziemię, aż czerwony pył spowił ich mglistym obłokiem. Tempo tańca stawało się coraz szybsze. Obydwe grupy postępowały krok do przodu, potem dwa do tyłu, robiły krok w prawo i jeden w lewo, by naraz skoczyć ku sobie z głośnym okrzykiem bojowym. Przez długi czas to cofali się, to znów nacierali na siebie, aż w końcu powietrze napełniło się świstem strzał wystrzelonych z łuków. Nagle obydwa oddziały zatrzymały się, jakby wrosły w ziemię. Zamilkła bojowa pieśń. W tej właśnie chwili skrawek tarczy słonecznej wychylił się zza gór. Po tropikalnej nocy nastawał dzień. Tym samym złe duchy dżungli traciły swą moc. Wojownicy mogli już wyruszyć na wojenną wyprawę.

Tego jeszcze dnia naczelnik wódz Tawade, Eleli Koghe, przekroczył, graniczny strumień i splądrował najbliższą wieś Mafulu. Polała się krew. Odtąd przez długie tygodnie Tawade bądź Mafulu na przemian wyprawiali uczyty na cześć zwycięstwa lub stypy na znak żałoby.

Eleli Koghe znów przygotowywał wojenną wyprawę na Mafulu. Przecież każdy napad

powodował ofiary w ludziach, które trzeba było pomścić. Starszyzna i wojownicy naradzali się w emone. Eleli Koghe przypominał krzywdy wyrządzone im przez Mafulu oraz korzyści, jakie wojna przyniosła plemieniu Tawade. Przychylny pomruk wojowników coraz bardziej go podniecał. Hojnie obdarowani łupem wojennym czarownicy zapewniali Tawade zwycięstwo.

Właśnie zapalono fajkę, aby uświęcić decyzję podjęcia wojennej wyprawy. Emone zaległa cisza. Wtem gdzieś od szczytów górskich spłynął głos zwielokrotniony przez echo.

“Hoooooo! Hoooooo! Wy tam w dole strumienia, słuchajcie!”

Roznosiło się po dolinie.

Eleli Koghe sugestywnym gestem nakazał milczenie. Wybiegł na werandę. Złożył obydwie dłonie przy ustach i jak przez tubę odkrzyknął:

“Hooooo! W górze strumienia, mówcie, słuchamy!”

“Hoooo! Zbliżają się białe duchy o kształtach ludzi! Zabierają z dżungli najbarwniejsze ptaki i kwiaty! Z kijów miotają pioruny! Palą wodę! Zabierają ptaki i kwiaty! Biada nam!”

Mężne serce Eleli Koghe zadrżało na wieść o niezwykłych duchach. Milczał przez chwilę, a potem zebrawszy siły krzyknął:

“Hoooo! Czy białe duchy idą do nas?!”

“Dążą w górę strumienia! Za trzy księżyce [\[7\]](#) będą u was. Miejcie się na baczności, brońcie naszych ptaków!”

SPOTKANIE W SYDNEY

Na przedmieściu w południowej części Sydney [8], w willi dyrektora Parku Taronga – olbrzymiego ogrodu zoologicznego, odbywało się przyjęcie. Pan Filip Hart podejmował niezwykle gości, albowiem z wyjątkiem jego przyjaciela Karola Bentleya, dyrektora ogrodu zoologicznego w Melbourne [9], wszyscy byli dla niego zupełnie obcymi ludźmi.

Inicjatorem tego przyjęcia był znany zoolog Karol Bentley. Kilka lat temu odbył jako doradca wyprawę łowiecką w głąb kontynentu australijskiego. Przewodzili jej polscy łowcy dzikich zwierząt, zatrudnieni w hamburskim przedsiębiorstwie Hagenbecka. Razem z dorosłymi mężczyznami wziął wtedy udział w łowach młody chłopiec, Tomasz Wilmowski, syn kierownika wyprawy. Bentley bardzo polubił Tomka. Chciał go nawet przyjąć na wychowanie, gdyż obawiał się, że ustawiczne podróżowanie ojca uniemożliwi chłopcu naukę. Tomek ze wzruszeniem podziękował Bentleyowi za wielkoduszną propozycję, lecz nie zgodził się pozostać w Australii. Od 1904 roku minęły już cztery lata. W tym czasie Tomek brał udział w wielu wyprawach łowieckich i wyrósł na bardzo dzielnego młodzieńca.

Bentley, powiadomiony listownie o pobycie w Australii swych polskich przyjaciół, telegraficznie zaproponował im spotkanie w Sydney. Przyjęli jego zaproszenie i oto teraz razem z nim gościli u pana Filipa Harta.

Wilmowscy oraz ich przyjaciele przyjechali do Australii wprost z wyprawy na Syberię, skąd dopomogli uciec z zesłania kuzynowi Tomka, Zbyszkowi Karskiemu [10]. Wraz ze Zbyszkim umknęła również jego narzeczona, młoda studentka medycyny, Natasza Władimirowna Bestużewa.

Podczas pierwszego pobytu w Australii łowcy poznali w Nowej Południowej Walii hodowcę owiec, Allana. Państwo Allan niemal uwielbiali Tomka, gdyż on to właśnie odnalazł wtedy zagubioną w buszu ich dwunastoletnią jedynaczkę, Sally. Od tej pory Sally i Tomek żyli w wielkiej przyjaźni. Widywali się często, ponieważ Sally, podobnie jak Tomka, wysłano do szkół w Londynie. Obecnie młoda panienka otrzymała maturę. Przed wstąpieniem na dalsze studia przyjechała na kilkumiesięczny wypoczynek do rodziców. Państwo Allan dowiedzieli się od córki, że Tomek i jego towarzysze przebywają na Dalekim Wschodzie. Zaproсили ich na święta Bożego Narodzenia. W ten sposób cała gromadka Polaków znów się znalazła w Australii.

Po blisko miesięcznym odpoczynku podróżnicy z prawdziwym żalem opuścili farmę Allanów. Nie mogli sobie pozwolić na dłuższe wakacje. W Sydney oczekiwał na nich Bentley, a ponadto mieli tam sporo pilnych własnych spraw do załatwienia. Mianowicie w tym najdogodniejszym z portów świata stał na kotwicy dalekomorski jacht kapitana Nowickiego. Należy wyjaśnić, że w wyprawie na Syberię uczestniczył brat maharani [11] Alwaru, Pandit Davasarman. Aby ułatwić uprowadzenie zesłańca, piękna i szlachetna maharani, która polubiła Tomka, nie tylko nakłoniła swego brata do wzięcia udziału w wyprawie, lecz zaofiarowała także własny jacht. W Rabaulu [12], gdzie w drodze powrotnej z Syberii nastąpiło pożegnanie z Panditem Davasarmanem, spotkała Polaków, a

szczególnie bosmana Nowickiego, ogromna niespodzianka. Mianowicie Pandit Davasarman wręczył dobrodusznemu marynarzowi akt własności jachtu, podpisany przez księżną. Jednocześnie powiadomił łowców, że z częścią załogi wraca do Indii niemieckim parowcem. Bosman najpierw oniemiał, a potem odmówił przyjęcia tak kosztownego daru. Ostatecznie opory jego zostały przełamane przez Jana Smugę, podróżnika i łowcę, który najdłużej przyjaźnił się z księżną. Klepnął on bosmana w ramię i rzekł:

“No, spełniły się twoje marzenia! Wprawdzie nie zdobyliśmy złota w górach Ałtyn-tag, za które chciałeś kupić sobie jakąś starą krypę, ale mimo to teraz zostałeś kapitanem. Bierz, kiedy ci dają ze szczerego serca! W zamian przy okazji prześlesz księżnej jakiś oryginalny upominek!”

W ten sposób bosman został kapitanem na własnym jachcie. Pierwszy samodzielny rejs odbył z przyjaciółmi do Sydney. Tam pozostawili jacht pod opieką zaufanej indyjskiej załogi, sami zaś udali się z wizytą na farmę Allanów. Po powrocie do Sydney zamieszkali na jachcie, gdyż w tym bardzo ruchliwym, portowym mieście niełatwo było o wynajęcie odpowiedniego mieszkania.

W przeciwieństwie do poczciwego kapitana Nowickiego, Tomek wcale nie był w najradośniejszym nastroju. Tak się cieszył z tych świąt u Allanów, a tymczasem zastał tam również kuzyna Sally, który razem z nią przyjechał z Anglii. James Balmore, nieco starszy od Tomka, był krewnym brata pana Allana, stale mieszkającego w Londynie. U niego to właśnie przebywała Sally, ucząc się w Anglii. James lub Jimmie, jak go zdrobniale nazywała Sally, wciąż asystował swej ładnej kuzynce. To właśnie psuło Tomkowi humor.

Bentley również Allanów zaprosił na spotkanie w Sydney. Ojciec Sally nie mógł opuścić swego gospodarstwa na dłuższy czas, toteż przybyła jedynie pani Allan z córką i kuzynem Jamesem Balmore'em.

Od samego początku przyjęcia Tomek był roztargniony. Z trudem skupiał uwagę na ogólnej rozmowie. Bentley właśnie zapowiadał jakąś niezwykłą niespodziankę dla swych przyjaciół, a Tomek tymczasem zerkał w kierunku werandy, gdzie przebywała reszta młodzieży. Łowił uchem wesoły śmiech Sally i poważny głos Jamesa Balmore'a.

Zaraz po drugim śniadaniu gospodarz poprowadził gości do gabinetu. Nadeszła chwila ujawnienia niespodzianki.

– Proszę, bardzo proszę, siadajcie wszyscy – mówił Bentley. – Chciałem powiedzieć wam coś interesującego. Hm, chcąc być szczerzy, muszę wyznać, że nawet specjalnie w tym celu zorganizowałem to niecodzienne dzisiejsze spotkanie.

– Mów pan prosto z mostu, szanowny panie Bentley. Między starymi znajomymi nie potrzeba zbyt wielu ceregieli – wtrącił kapitan Nowicki.

– Skoro tak, przystępuję od razu do sedna sprawy. Ty, kochany Tomku, słuchaj mnie szczególnie uważnie. Bardzo liczę na ciebie – powiedział Bentley, uśmiechając się życzliwie do młodzieńca.:

– Nie wiem, w czym mógłbym panu pomóc? – zdziwił się Tomek. – Czy pan nie

żartuje?

– Nie, nie, mój drogi! Naprawdę chcę wam coś zaproponować i byłbym bardzo rad, gdybyś ty zapalił się do mego projektu.

– Nie pojmuję, dlaczego mogłoby panu na tym tak bardzo zależeć? – zapytał Tomek, widząc, że zoolog mówi poważnie.

– Wydaje mi się, że twój zapal zachęciłby innych do mojej sprawy – wyjaśnił Bentley.

– Nie posądzałem pana dotąd o taką przebiegłość – wesoło zauważył Nowicki. – Faktycznie jednak masz pan rację. Ten młodzik nas często wodzi za nos!

Całe towarzystwo wybuchnęło śmiechem.

– Jeśli chodzi o mnie, zawsze chętnie słucham rad Tomka – odezwał się Smuga. – Niezwykła intuicja rzadko zawodzi naszego młodego przyjaciela.

Tomek siedział zażenowany pochwałami. Tymczasem Bentley mówił:

– Pewien bardzo zamożny przemysłowiec australijski jest zapalonym kolekcjonerem rajskich ptaków [13] i storczyków [14]. Pragnie uzupełnić swoje zbiory nowymi, mało lub w ogóle dotąd nie znanymi okazami. W tym celu zaproponował mi zorganizowanie wyprawy badawczej...

– Ho, ho! Jest to, więc wyprawa nawet o pewnym romantycznym podłożu – wtrącił Tomek. – Paradisea apoda, czyli beznogie rajskie ptaki!

Wszyscy zaciekawieni spojrzeli na młodzieńca, a impulsywna Sally zawołała:

– Nie słyszałam nigdy o rajskich ptakach bez nóg, to chyba jakaś legenda?!

– Oczywiście, że to legenda, romantyczna legenda – potwierdził Tomek.

– Nie znam jej, proszę Tommy, opowiedz ją nam! – zaproponowała Sally.

– Później, moja droga! Przepraszam, że mimo woli przerwałem panu – zwrócił się Tomek do Bentleya.

– Czyżbyś już kiedyś interesował się rajskimi ptakami, młodzieńcze? – zapytał Hart, bacznie obserwując Tomka.

– Czytałem książkę markiza de Raggi, który przy końcu osiemnastego wieku odbył specjalną wyprawę do Nowej Gwinei w celu badania życia tych ptaków – odparł Tomek.

– Jeśli tak, to przyłączam się do prośby panny Sally i proszę o wyjaśnienie nam, dlaczego powstała legenda, że rajskie ptaki nie posiadają nóg – rzekł Hart.

Tomek w jednej chwili zdał sobie sprawę, że dyrektor ogrodu zoologicznego w Sydney pragnie sprawdzić zasób jego wiadomości na ten temat. Toteż zmieszał się trochę, lecz mimo to zaraz zaczął mówić opanowanym głosem:

– Dość dawna to historia, pierwsze informacje, bowiem o istnieniu rajskich ptaków dotarły do Europy jeszcze przed odkryciem drogi morskiej do Indii i na długo przedtem,

zanim Europejczycy wylądowali w Nowej Gwinei. Skórki rajskich ptaków z Nowej Gwinei oraz pobliskich wysp najpierw przywieźli na Jawę [15] miejscowi kupcy. Tam właśnie po raz pierwszy zobaczył je kupiec wenecki Nicolo de Conti, który przebywał na tej wyspie w połowie piętnastego wieku. W tysiąc pięćset dwudziestym drugim roku współuczestnik wyprawy Magellana naokoło świata otrzymał od władcy Batjanu na Molukach [16] skórę rajskiego ptaka i przywiózł ją do Europy. W siedemnastym i osiemnastym wieku barwne pióra rajskich ptaków stały się bardzo poszukiwane, zwłaszcza w Chinach i Indiach, a wkrótce zapanowała na nie moda i w Europie, gdzie kobiety zaczęły zdobić nimi swoje kapelusze. Wówczas to powstała legenda, że te piękne ptaki pochodzą wprost z biblijnego raju. Po wykluciu się tam z jaj miały frunąć w kierunku słońca, od którego otrzymywały wspaniałe ubarwienie piór. W myśl legendy rajskie ptaki były pozbawione nóg, aby nie mogły pobrudzić swego upierzenia osiadając na ziemi. Zniżały się ku niej jedynie w celu pożywienia się rosą. Jeśli nie mogły zaspokoić głodu w locie, po prostu umierały.

– Zgadzam się z tobą, Tommy, że to bardzo romantyczna legenda, lecz chyba brak jej jakiegoś logicznego uzasadnienia – zauważyła pani Allan.

– Powstanie legendy jest bardzo łatwe do wytłumaczenia – wyjaśnił Tomek. – W niektórych regionach zamieszkiwania rajskich ptaków, jak na przykład na wyspach Aru [17] i w Nowej Gwinei, krajowcy interesowali się jedynie ich bajecznie kolorowymi piórami, których używali do ceremonialnego zdobienia głów. Toteż obdzierając zabite ptaki ze skóry odcinali bezwartościowe dla siebie kończyny. W takim stanie również sprzedawali cenne skórki kupcom i bezwiednie przyczynili się do stworzenia dziwnej legendy.

– Nic o tym nie wiedziałam, ale przecież ptaki musiały gdzieś składać i wysiadywać jaja – niedowierzająco powiedziała pani Allan.

– Przypadkowo twórcy legendy i na to znaleźli wytłumaczenie – odparł Tomek. – Przypuszczali, że rajskie ptaki, nie mogąc wysiadywać jaj na ziemi, radzą sobie w inny sposób. Mianowicie samiczki miały składać i wysiadywać jaja na grzbietach samców unoszących się w powietrzu. W późniejszych czasach legenda została nieco zmieniona. W dalszym ciągu wierzono, że rajskie ptaki nie posiadają nóg, lecz za to dwa długie pióra w ogonie, zakrzywione na końcu, miały umożliwiać im zawieszanie się na gałęziach drzew na czas koniecznego odpoczynku. Legenda o beznogich rajskich ptakach znalazła nawet pewne potwierdzenie naukowe, gdy szwedzki uczonec, Karol Linneusz, dodał słowo “apoda” czyli “bez nóg”, dla określenia w języku łacińskim wielkiego rajskiego ptaka.

Z czasem przestano wierzyć w legendę, gdyż wielu myśliwych, szczególnie malajskich, urządziło specjalne wyprawy łowieckie na rajskie ptaki do Nowej Gwinei. Wówczas naocznie stwierdzili, że rajskie ptaki, tak jak wszystkie inne, mają nogi, budują na drzewach gniazda i wysiadują w nich jaja. Próżność kobieca i wysokie ceny płacone za pióra przyczyniły się do znacznego wytrzebienia tych pięknych ptaków. Toteż moim zdaniem ów kolekcjoner, o którym wspominał pan Bentley, słusznie czyni, chcąc uzupełnić swe zbiory. Kto wie, czy w niedalekiej przyszłości rajskie ptaki nie wyginą całkowicie [18].

– Naprawdę jestem zdumiony tak wyczerpującym wyjaśnieniem legendy – z uznaniem odezwał się Hart. – Od razu można się zorientować w pana zawodowych zainteresowaniach.

– Tomek kubek w kubek wdał się w swego szanownego ojca – zawołał kapitan Nowicki.

– Słyszałem już o tym od pana Bentleya – potaknął Hart. – Uzupełniając tę obszerną relację dodam tylko, że rajske ptaki zamieszkują także północno-wschodnią Australię i Moluki, głównie wszakże Nową Gwineę, tak mało przez nas poznaną...

– Krótko mówiąc, proponują nam panowie wyprawę do Nowej Gwinei – powiedział Smuga.

– Dodajmy dla ścisłości, do kraju łowców głów i ludożerców – wtrącił Wilmowski. – Większość Nowej Gwinei jeszcze dzisiaj pokrywają na mapie białe plamy.

– Niewątpliwie ma pan rację – potwierdził Bentley. – Nowa Gwinea jest ciągle dla białego człowieka krainą wielkich tajemnic. Któż może odgadnąć, co zazdrośnie ukrywa jej wnętrze?

– Jest to na pewno bardzo interesujący kraj tak dla geografa, jak i dla etnografa, zoologa, botanika, ornitologa, a także dla poszukiwaczy złota i wszelkich niespokojnych duchów żądnych silnych wrażeń – poważnie rzekł Wilmowski. – Ciekawa, lecz bardzo ryzykowna wyprawa.

– Powiadasz, Andrzeju, że tam są ludożercy – zagadnął kapitan Nowicki. – Do licha! Stanowiłbym dla nich pokusę ze względu na moją tuszę.

– Nie ma obawy, panie kapitanie – odrzekł Bentley. – Nie słyszałem nigdy, aby tamtejsi krajowcy zjedli jakiegokolwiek białego.

– Ha, więc są przyjaźnie usposobieni do nas? – zdumiał się Nowicki.

– Nie o to chodzi! – zaprzeczył Bentley. – Każdy człowiek może z łatwością stracić tam głowę bez względu na rasę. Podobno do białych czują wstręt z powodu nieprzyjemnego dla nich zapachu...

– Ciekawe rzeczy pan opowiada, ale i łepetyny też szkoda narażać dla tych rajszych ptaszków!

– A ty, Tomku, co o tym myślisz? – zagadnął Bentley.

Tomek pochylił się do zoologa i rzekł porywczo:

– Mogę wyruszyć z panem nawet i dzisiaj! Oczywiście, jeśli ojciec pozwoli.

– Byłam pewna, że Tomek tak właśnie odpowie! – z entuzjazmem zawołała Natasza.

Sally baczynym wzrokiem obrzuciła Rosjankę. Lekko zmarszczyła brwi i o czymś zaczęła rozmyślać.

– A co na to szanowny pan Wilmowski? – zapytał Bentley.

– Pozwalam memu synowi samodzielnie podejmować decyzje. Natomiast jeśli chodzi o mnie, nie mogę od razu dać odpowiedzi. Mam pewne zobowiązania wobec Hagenbecka, powinienem się z nich wywiązać.

– Zupełnie słusznie, przewidywałem podobną sytuację – powiedział Bentley. – Porozumiałem się z Hagenbeckiem. Oto list od niego!

Wilmowski odpieczętował kopertę. Uważnie przeczytał pismo, po czym podał je Smudze.

– A więc mamy konkretne propozycje od Hagenbecka – rzekł po chwili Smuga. – Czy realizacja tego zamówienia dałaby się pogodzić z pana zadaniem?

– Wziąłem to pod uwagę; zainteresowania Hagenbecka są dość zbieżne z moimi – odparł Bentley. – Oczywiście transport liczniejszych zbiorów będzie sprawiał nam więcej trudności.

– Tomku, przeczytaj list Hagenbecka – powiedział Smuga, podając mu pismo.

Młodzieniec dwukrotnie przeczytał list; potem podsunął go kapitanowi Nowickiemu. Ten zaledwie pobieżnie rzucił na niego okiem i mruknął:

– Nie lubię patroszyć ptactwa, lecz mam w tym niejaką wprawę. Kucharzowałem kiedyś na pewnej krypie. Wszystko mi jedno, przecież goli teraz jesteśmy jak święci tureccy!

– Naprawdę zręcznie oporządza pan ptaki – przyznał Tomek. – Jest to bardzo ważne w tropikalnym kraju, gdyż preparowanie okazów wymaga niezwyklej staranności. Trzeba strzec zbiorów przed zepsuciem, przed wszelkimi owadami, a ponadto ustawicznie przewietrzać, chronić przed wypłowieniem...

– Widzę, że zna się pan na tym – z uznaniem powiedział do Tomka dyrektor Hart. – Wobec tego mam dla pana również pewną prywatną propozycję. Za każdy oryginalny okaz motyla zapłacę pięćdziesiąt funtów. Mogę od razu podpisać umowę z zaliczką, powiedzmy... pięciuset funtów. Oczywiście, jeśli trafi się jakiś rarytas, uzgodnimy odpowiednią cenę.

– Najpierw omówmy zasadniczą sprawę – przerwał Smuga. – Przez ostatnie dwa lata nie odbywaliśmy łowów. Toteż w tej chwili nie posiadamy funduszy na zorganizowanie wyprawy. Jakie są pana propozycje, panie Bentley?

– Cenię męskie stawianie sprawy – odpowiedział zoolog. – Przede wszystkim muszę wyjaśnić, że dyrekcja ogrodu zoologicznego w Sydney i mój ogród w Melbourne są również zainteresowane podobną wyprawą. Oczywiście obydwie instytucje posiadają pewne fundusze na ten cel. Razem z kwotą ofiarowywaną przez prywatnego kolekcjonera stanowi to dość poważną sumę. Jest ona już zdeponowana w tutejszym banku.

– Jak by się przedstawiał nasz udział w wyprawie? – indagował Smuga.

– Dla każdego z panów przeznaczylimy po dwa tysiące funtów. Jedna czwarta płatna natychmiast po podpisaniu umowy, reszta byłaby zdeponowana na panów nazwiska w

banku wskazanym przez was. Z własnych pieniędzy pokryliby panowie jedynie osobisty ekwipunek. Natomiast organizatorzy wyprawy opłacą koszty podróży morskiej, transportu pieszego w Nowej Gwinei, wyżywienia oraz dadzą pewną kwotę na zakup eksponatów etnograficznych.

– Szanowny panie, czyżby rajskie ptaszki i kwiatki przedstawiały aż tak wielką wartość? – zdumiał się kapitan Nowicki.

– Za jeden żywy okaz nie znanej jeszcze orchidei można uzyskać od amatora do dziesięciu tysięcy funtów – wyjaśnił Bentley.

– Ho, ho! Mimo to wydaje mi się, szanowny panie, że kupujecie kota w worku. A jeśli łowcy głów i ludożercy uniemożliwią wykonanie zadania? Możemy wrócić z pustymi rękoma.

– Wszystko może się zdarzyć, organizatorzy ponoszą ryzyko – wyjaśnił Bentley. – Aby jednak ograniczyć możliwość niepowodzenia do minimum, postanowiliśmy właśnie panom powierzyć poprowadzenie wyprawy. Hagenbeck uważa was za najlepszych fachowców w tej dziedzinie.

– Czy zaraz musimy udzielić odpowiedzi? – zapytał Wilmowski.

– Tak, sprawa jest pilna. Chciałbym się znaleźć na miejscu jeszcze przed końcem pory deszczowej – oświadczył Bentley. – Poza tym dla pana osobiście mam odrębne zamówienie z Muzeum Historii Naturalnej w Nowym Jorku. Pan już współpracował z tą instytucją. Tym razem chodzi o sposób preparowania ludzkich głów przez łowców nowogwinejskich. Oto odpowiednie pismo.

Naraz Sally powstała z fotela i powiedziała:

– Bardzo przepraszam, czy mogłabym chwilę porozmawiać z Tommym, zanim panowie podejmą decyzję?

Dyrektor Hart spojrzał na nią zdziwiony, lecz reszta towarzystwa uśmiechała się dyskretnie. Wszystkim przecież było wiadome, jak zażyła przyjaźń łączyła obydwój młodych. Sally była ulubienicą kapitana Nowickiego, toteż zaraz pospieszył jej z pomocą:

– Pogruchajcie sobie, przez ten czas my również się namyślimy. Co nagle, to po diable! Nieprawda, szanowni panowie?

– Oczywiście – powtórzył Bentley. – Panie zawsze mają pierwszeństwo.

– Prosimy, prosimy – zawtórował Hart, zorientowawszy się w sytuacji.

Wilmowski i Smuga wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Sally i Tomek wyszli na werandę. Zaledwie znaleźli się sami, panienska zawołała:

– A więc to tak, drogi Tommy! Chcesz wyruszyć na wyprawę, i to nawet dzisiaj?! Widzę, że już nic a nic cię nie obchodzi!

– Sally! Jak możesz tak mówić! – oburzył się Tomek.

– Mogę, mam nawet do tego prawo, skoro zapomniałeś o czymś tak ważnym dla mnie
– odparła bliska płaczu.

– O czym to zapomniałem? Proszę, przypomnij mi...

– Czy nie przyrzekłeś rok temu w Londynie, że spełnisz każde moje życzenie, gdy zdam maturę?

Tomek odetchnął z ulgą. Więc o to tylko jej chodziło.

– Sally, doskonale o tym pamiętam. Nie naruszyłem mojej obietnicy, zgadzając się wyruszyć na wyprawę do Nowej Gwinei. Słyszałaś, ile mi za to zapłacą? Jutro otrzymam zaliczkę od pana Harta, będę mógł ci kupić, co tylko zechcesz! Już się chyba nie gniewasz na mnie?

– Nie, Tommy, już się nie gniewam. Wiem, że nigdy w życiu nie złamałbyś przyrzeczenia.

– Oczywiście!

– Doskonale, byłam tego pewna! Wobec tego teraz musisz spełnić moje życzenie!

– Jutro będę mógł ci kupić upominek, jaki sobie wybierzesz. Zgoda?

– Nie, mój drogi! Musisz je spełnić dzisiaj! I proszę cię, nie wspominaj mi nawet o pieniądzech!

Tomek zdezorientowany uważnie spojrzał w oczy Sally. Naraz straszliwe podejrzenie zakiełkowało w jego myśli.

– Sally... ty chyba nie masz zamiaru...

Panienska uśmiechnęła się przymilnie.

– Nareszcie! Już chyba wiesz, czego chcę? – zapytała po chwili.

– Sally, Sally, przecież to niemożliwe!

– Dla ciebie nie ma rzeczy niemożliwych, Tommy. Ty odnalazłeś mnie w buszu, gdy inni już stracili wszelką nadzieję! Ty wyrwałeś mnie z niewoli u Indian meksykańskich. Ty nauczyłeś mnie kochać wszystkie zwierzęta! Dlatego tylko wstąpiłam na zoologię, żeby móc razem z tobą jeździć na łowieckie wyprawy. Poza tym dałeś mi słowo, że spełnisz każde moje życzenie, a ja teraz życzę sobie jechać z tobą do Nowej Gwinei! Zabierzemy również Dinga. Trochę zaniedbałeś go ostatnio! Nasze kochane psisko jest już na statku. Jeśli ci cokolwiek na mnie zależy, spełnisz to, co przyrzekłeś!

Przygwożdżony tak ciężkimi argumentami, Tomek oszołomiony osunął się na fotel. Sprytna Sally schwytała go w pułapkę. Ani Bentley, ani nikt z jego towarzyszy nie zgodzi się na zabranie kobiety na tak niebezpieczną wyprawę. Był prawie zrozpaczony, lecz przecież nie mógł złamać raz danego słowa. Dopiero po dłuższej chwili zdał sobie sprawę, że skoro chce z nim jechać, to niewiele musi jej zależeć na nadskakującym kuzynie. To go nieco pocieszyło. Prawie spokojnie odezwał się:

– Twoje na wierzchu, Sally. Nie mogę cię zabrać, więc sam również nie wezmę udziału w tej wyprawie. Szkoda... Pieniądze są nam bardzo potrzebne... Ale dałem słowo... i dotrzymam.

Sally przybliżyła się do Tomka. Doskonale rozumiała, jak wiele się dla niej wyrzekła! Oparła dłonie na jego ramionach. Patrząc mu w oczy, zapytała:

– Nie masz do mnie żalu?

– Nie, nie mam. Dałem słowo, muszę dotrzymać. Moi towarzysze pojedą sami. Może to nawet i lepiej. Przecież ktoś musi się zaopiekować Zbyszkiem i Nataszą.

– Tommy, czy tylko ze względu na mnie chcesz pozostać? Coś za łatwo rezygnujesz z wyprawy!

– Co znów masz na myśli? – zaniepokoił się Tomek.

– Już nic! Czy zabrałbyś mnie, gdyby twój ojciec i inni się zgodzili?

– A cóż mógłbym innego uczynić, skoro żądasz dotrzymania słowa?

– Ha, więc jeszcze nie wszystko stracone? Spostrzegłam, jak bardzo oni liczą się z tobą! Nawet pan Bentley i Hart.

– Sally, nie mów głupstw! Ani oni, ani twoi rodzice się nie zgodzą!

– Tak myślisz? A więc dobrze, wróćmy do nich i powiedz im, że nie jedziesz na wyprawę. Mów całą prawdę!

CZY SALLY ZWYCIĘŻY?

Tomek i Sally weszli do gabinetu. Wszyscy ciekawie spojrzeli na nich i od razu przerwali rozmowę. Nietrudno było domyślić się, że między dwojgiem młodych zaszło coś nieoczekiwanego. W twarzy Sally widoczne było napięcie i podniecenie. Tomek zaś, poblady, opuścił głowę na piersi i unikał wzroku obecnych. Wilmowski i Smuga znów wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– No i cóż, konferencja skończona? – niefrasobliwie zaczął Nowicki. – Wobec tego, szanowni panowie, przystąpmy do sprawy...

– Nie spiesz się tak, kapitanie – przerwał mu Smuga. – Najpierw pozwólmy wypowiedzieć się Tomkowi.

Młodzieniec wolno podniósł głowę, spojrzął na Smugę, a następnie na ojca. Zaraz zrozumiał, że oni odgadli prawdę. Poblady jeszcze bardziej. Kapitan Nowicki odczuł dziwny niepokój. Uważnie przyjrzał się Tomkowi, potem zerknął na Sally. Zafrasowany zmarszczył brwi.

– Coś ty mu tam nagadała? Pokłóciliście się czy co? – półgłosem zagadnął Sally, nachylając się ku niej. Tomek nie mógł dłużej milczeć. Zebrał się w sobie i rzekł:

– Przykro mi, ale nie mogę wziąć udziału w wyprawie...

– A to dlaczego?! – zdumiał się Nowicki.

– Sally...

– Nic nie gadaj, już wiem! – zawołał marynarz. – Niepotrzebnie mówiliśmy przy paniach o ludożercach i łowcach głów. Nic dziwnego, że wystraszyła się o ciebie! Ale nie martw się, już ja jej to wytłumaczę!

– Myli się pan – zaprzeczył Tomek. – Sally prosi, żebym zabrał ją i Dinga na tę wyprawę. Przysięgam, że spełnię każdą jej prośbę, gdy zda maturę. Zabranie Sally do Nowej Gwinei nie zależy ode mnie, więc aby nie złamać przyrzeczenia, rezygnuję z udziału w wyprawie.

– Moja droga Sally, tak nie można stawiać sprawy. Tommy nie dla przyjemności ma jechać do Nowej Gwinei. Urządzenie łowieckich wypraw jest jego zawodem. Tommy musi pracować na siebie – zaoponowała pani Allan, podchodząc do córki.

– Nie mów tak, mamusiu! Wszyscy pomyślą, że jestem nieznośną egoistką – poważnie powiedziała Sally. – Tylko po to wstąpiłam na zoologię, żeby móc pracować razem z Tommym.

– Któż by tam śmiał nazywać cię egoistką, ślicznotko! – zawołał kapitan Nowicki. – Nieraz już przecież mówiłaś nam o swoich planach! Dlaczego jednak akurat teraz uparłaś się jechać na wyprawę? Jeśli chodzi o Dinga, bądź spokojna, zabierzemy go z sobą, nic mu nie grozi od łowców głów!

– Byłaby to wspaniała praktyka dla mnie przed rozpoczęciem studiów – wyjaśniła

Sally. – Wie pan przecież, że nie jestem mazgajem!

– Zuch z ciebie dziewczyna, to święta prawda – gorąco przytaknął Nowicki. – Gracko spisała się, proszę szanownych panów, kiedy to Indiancy w Meksyku porwali ją do niewoli!

– Czyżby panna Sally uczestniczyła już w jakiejś wyprawie? – zdziwił się Hart, który razem z Bentleyem nie zabierał do tej pory głosu.

– Dwa lata temu byliśmy z Sally w Arizonie u brata mego męża – wyjaśniła pani Allan. – Przyjechał tam również Tommy z panem bosmanem, och, bardzo przepraszam, z panem kapitanem Nowickim.

– Nic nie szkodzi, szanowna pani, nie jestem wrażliwy na tytuły – wtrącił Nowicki. – Poza tym egzamin na jachtowego kapitana morskiego zdałem dopiero dwa miesiące temu.

– Właśnie w Arizonie, za namową pewnego meksykańskiego ranczera, Indianie porwali Sally – ciągnęła pani Allan. – Tylko dzięki dzielnemu Tommy’emu i panu kapitanowi odzyskałam córkę.

Hart spojrział na Bentleya, ten zaś zwrócił się do pani Allan:

– Czy panna Sally rozmawiała z panią o zamiarze wyruszenia z Tomkiem na jakąś wyprawę? Nie wydaje mi się, żeby pani była zaskoczona jej propozycją.

– Oczywiście, przecież ona mówi o tym od dawna.

– Więc pani nie stawiałaby sprzeciwu? – coraz bardziej zdziwiony pytał Bentley.

Pani Allan zakłopotana milczała przez chwilę. Spojrzała na Sally i Tomka. Stali blisko siebie. Wysoki, barczysty Tomek trzymał Sally za rękę, jak starszy brat młodszą siostrę. We wzroku obydwójga czaiła się niema prośba. Widok ten bardzo wzruszył panią Allan. Cicho, lecz stanowczo odparła:

– Nie, proszę pana! Nie miałabym serca odmówić im czegokolwiek! Od chwili zaprzyjaźnienia się z Tommym moja córka zamieniła nasz dom w małe muzeum zoologiczne. Podczas wakacji łowi i preparuje różne ptaki, które potem sprzedaje w Europie. W ten sposób chce uskładać jakiś fundusz na swój udział w przyszłej wyprawie.

– Kto panią nauczył preparowania ptaków? – zapytał Hart.

– Tommy, proszę pana – odpowiedziała panienka. – Umiem także preparować motyle i inne owady.

Dyrektor Hart spojrział pytająco na Bentleya. Porozumieli się wzrokiem.

– Obecnie gubernatorem Papui jest mój dobry znajomy, sir Hubert Murray [\[19\]](#) – odezwał się Bentley. – Zyskał on już sobie opinię znawcy tamtejszych spraw. Pisał mi niedawno o pewnej zwyczajowej ciekawostce. Otóż, jeśli w grupie wojowników znajdują się kobiety, jest to jakoby oznaką, że nie mają zamiaru napadać na kogokolwiek. Może więc obecność panny Sally ułatwiłaby nam wykonanie zadania?

– Jak widać, nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło – porywczo zauważył kapitan Nowicki. – No, Andrzej, przypieczętuj sprawę swoim ojcowskim słowem!

– Bardzo prosimy pana Wilmowskiego o wypowiedź – dodał Bentley. Wilmowski poważnie spoglądał na syna i Sally. Teraz wolno odwrócił się do Bentleya i Harta.

– Nie chciałbym, żeby mój stosunek uczuciowy do Tomka i Sally zagłuszył głos rozsądku – rzekł. – Największe doświadczenie podróżnicze z nas wszystkich posiada pan Smuga. Dlatego też proszę cię, Janie, wypowiedz się w swoim i jednocześnie moim imieniu.

– Świetnie, my również zdajemy się na salomonowy wyrok pana Smugi – wtrącił Bentley. – Zdanie jego jest tym cenniejsze, że postanowiliśmy z Hartem prosić pana Smugę o objęcie kierownictwa wyprawy.

W pokoju zaległa kompletna cisza. Smuga powoli nabił fajkę tytoniem, zapalił ją, a potem odezwał się:

– Prowadziłem już wyprawy, w których uczestniczyły kobiety. Różnie wtedy bywało. Wszystko zależy od tego, kim one są. W naszym wypadku Sally jest córką australijskiego ranczera. Od niemowlęcia przywykła do buszu i trudnych warunków. Oglądałem okazy ptaków preparowane przez nią. Solidna robota. Ze względu na badawczy charakter wyprawy nie będziemy mogli odbywać zbyt forsownych marszów. Należy się liczyć z dłuższymi postojami. Proponuje zaangażować Sally jako preparatora.

– Rozstrzygnął pan sprawę – powiedział Bentley. – Miałem zamiar zabrać trzech ludzi z mego stałego personelu do preparowania okazów. Wobec tego zabiorę tylko dwóch. Wynagrodzenie panny Sally wyniesie pięćset funtów.

Tomek uspokajał Sally, która oparłszy głowę na jego ramieniu płakała z radości, a Smuga tymczasem znów się odezwał:

– Mam jeszcze jedną propozycję.

– Proszę, słuchamy – jednocześnie powiedzieli obydwaj dyrektorzy ogrodów zoologicznych.

– Mów pan, mów – wtórował kapitan Nowicki, wycierając oczy chusteczką. – Prawdziwie salomonowe słowa płyną dzisiaj z twoich ust!

– Skoro już zdecydowaliśmy się zabrać kobietę-preparatora, to warto by było również wziąć kobietę-sanitariusza. Na takiej wyprawie nawet student medycyny będzie bardzo użyteczny. Poza tym dwie kobiety będą łatwiej sobie radziły niż jedna. Jako sanitariusza proponuję pannę Nataszę. Musimy również pomyśleć o jakiejś funkcji dla pana Zbyszka Karskiego, który obecnie pozostaje pod naszą opieką. W takim komplecie zgadzamy się na udział w wyprawie do Nowej Gwinei.

– Czy przyjmuje pan kierownictwo wyprawy? – upewnił się Bentley.

– Tak!

– Wobec tego jutro podpiszemy umowy, a teraz prosimy na obiad! Musimy godnie uczcić dzisiejszy dzień!

Przyjęcie u dyrektora Harta przeciągnęło się do późnego wieczora. Bentley był bardzo zadowolony. Wyprawa pod kierownictwem doświadczonych łowców i podróżników pozwalała rokować pomyślne rezultaty, toteż siedząc przy stole pomiędzy Sally i Tomkiem poddał się całkowicie ich radosnemu nastrojowi. Kapitan Nowicki wciąż sypał dowcipami. Tomkowi przymawiał od pantoflarzy zawojowanych przez australijskie sroki, proponował Smudze zabrać kilka smoczków do karmienia nieletnich członków wyprawy, a oni odcinali się i razem z nim nawzajem żartowali z siebie. Rozochociony marynarz niebawem dobrał się do posmutniałego Balmore'a, a gdy ten wyznał, że bardzo pragnąłby pojechać z nimi, zaraz przypuścił szturm na Bentleya i Smugę. Dobroduszny i rubaszny Nowicki zawsze topniał jak wosk na widok zasmuczonej twarzy. W ten sposób i James Balmore został zaliczony w poczet uczestników wyprawy do Nowej Gwinei.

Następnego ranka Bentley i Hart przybyli na pokład jachtu, by już szczegółowo omówić przygotowania do wyprawy. Kapitan Nowicki z dumą oprowadzał gości po swoim jachcie. "Sita"[\[20\]](#) była dwumasztowym żaglowcem o wyporności dwustu ośmiu ton. Na pokładzie pomiędzy masztami znajdowała się duża nadbudówka mieszcząca ogólną jadalnię i palarnię, a na jej płaskim dachu zbudowana była kabina nawigacyjna oraz mostek kapitański. Solidna budowa dużego jachtu umożliwiała mu pływanie po wszystkich morzach świata. Pod pokładem rozmieszczone były kabiny dla pasażerów i załogi, kuchnia, trzy łazienki, magazyny oraz zbiorniki na słodką wodę o łącznej pojemności dziewięciu ton.

Już poprzedniego dnia zostało postanowione, że podróż morzem z Sydney do Nowej Gwinei i z powrotem wyprawa odbędzie na "Sicie". Wprawilo to kapitana Nowickiego w doskonały humor. Wynajęcie jachtu przez Bentleya umożliwiło mu opłacenie stałej czteroosobowej załogi oraz przeprowadzenie koniecznych prac konserwacyjnych i przeróbek.

Panie, Zbyszek i James Balmore jeszcze odsypiali późno zakończoną ucztę. Toteż po pobieżnym obejrzeniu jachtu, Nowicki poprowadził gości do palarni, gdzie oczekiwali na nich trzech jego przyjaciele. Przy herbacie z rumem rozpoczęli naradę.

Bentley rozłożył na stole dużą mapę, na której wyznaczył trasę wyprawy czerwoną linią. Z początku wiodła ona z Sydney drogą morską przez dwa przybrzeżne morza Oceanu Spokojnego: najpierw w kierunku północno-wschodnim przez Morze Tasmana, określane również jako Morze Wschodnioaustralijskie, leżące pomiędzy południowo-wschodnim wybrzeżem Australii, Tasmanią i Nową Zelandią, a później zbaczała na północny zachód na Morze Koralowe, obramowane od wschodu przez Nową Kaledonię, Nowe Hebrydy, wyspy Santa Cruz i Wyspy Salomona, od północy przez wyspy Archipelagu Bismarcka i wschodnią Nową Gwineę, a na zachodzie przez Wielką Rafę Koralową[\[21\]](#), ciągnącą się na przestrzeni około dwóch tysięcy kilometrów wzdłuż północno-wschodniego wybrzeża Australii.

O niecałe pięćset kilometrów na wschód od Cieśniny Torresa, najzdradliwszego dla

zęglugi miejsca na świecie, trasa wiodła na północ ku południowo-wschodnim wybrzeżom Nowej Gwinei, największej wyspy Oceanii [22] i drugiej, co do wielkości po Grenlandii na Ziemi. Tam właśnie w Port Moresby, czyli w siedzibie gubernatora Papui wyprawa miała pozostawić jacht i pieszo wyruszyć w głąb kraju.

Tomek roziskrzonym wzrokiem spoglądał na olbrzymią wyspę, równą wielkością Skandynawii. Kiedyś wraz z Wyspami Sundajskimi tworzyła ona pomost lądowy między południową Azją i Australią. Jakie niezwykle przeżycia oczekiwały ich na tej pełnej tajemnic wyspie?! Nawet sam jej wydłużony dziwacznie kontur przypominał Tomkowi jakiegoś przedpotopowego potwora lub rajskiego ptaka, w pogoni, za którym mieli wyruszyć na tę wyprawę wspólnie z Sally.

Niczym kręgosłup pierwotnego potwora czy ptaka, przez środek wyspy ciągnęło się główne pasmo potężnych gór od południowo-wschodniego krańca aż ku zachodniemu. Liczne odnogi tych gór wypełniały północną część wyspy do samego skalistego wybrzeża. Wschodni i zachodni kraniec południowego wybrzeża także był górzysty, natomiast jego środkowa część stanowiła rozległą, płaską i bagnistą nizinę. Górzyste wnętrza dawało początek licznym strumieniom, łączącym się później w wielkie rzeki: Markham, Ramu, Sepik i Mamberamo na pomocnej stronie wyspy oraz Purari, Fly i Digul na południowej. Rzeki południowo-wschodniego wybrzeża szczególnie interesowały uczestników wyprawy. Z Port Moresby, bowiem wytyczona na mapie trasa prowadziła łukiem na północny zachód w kierunku "górskiego kręgosłupa", który na tym odcinku oznaczony był jako Góry Owena Stanleya. Dalej czerwona linia wrzynała się wprost w centralny łańcuch gór i dopiero niemal naprzeciwko ujścia Purari do zatoki Papua znów zwracała do południowego wybrzeża.

– Do stu zgniłych wielorybów, ależ to prawdziwie górską ekspedycja! – zawołał zawiedziony kapitan Nowicki, przyjrzawszy się trasie.

Wszyscy uśmiechnęli się, gdyż znana im była niechęć marynarza do wędrówek po górskich wertepach,

– Na razie projekt jest tylko teoretyczny, drogi panie kapitanie – pospieszył Bentley z wyjaśnieniem. – Widzi pan przecież, ile białych plam pokrywa jeszcze wnętrza Nowej Gwinei. Jak dotąd istnieje przekonanie, że centralny masyw górski jest bezludnym, jednolitym blokiem skalnym, nawet nie nadającym się do zamieszkania przez człowieka.[23] Jeżeli okaże się to prawdą, ograniczymy trasę wyprawy do Gór Owena Stanleya i podnóża górskiego. Spotkałem niedawno pewnego poszukiwacza złota, który zapuścił się daleko w górę Purari. Według niego, niedostępne góry mogą ukrywać kwitnące życie doliny. Kto wie, która z tych dwóch wersji jest prawdziwa?

– Ba, żeby to sprawdzić, trzeba się najpierw wspiąć na te górzyska – powiedział Nowicki. – Nie lubię węszenia po skałach!

– Nie przerażaj się, Tadku – pocieszył go Wilmowski. – Cała szerokość Nowej Gwinei wynosi zaledwie siedemset kilometrów w najszerszym miejscu, a długość dwa tysiące czterysta. Syberyjska wyprawa groziła nam znacznie większymi przestrzeniami.

– Wiem, wiem, tobie tylko w to graj! – odparł Nowicki zrezygnowany. – Jako geograf lubisz wtykać nos tam, gdzie inni jeszcze nie zdążyli tego uczynić.

– Kapitanie, powinien pan się cieszyć, że weźmiemy udział w wyprawie, która może się okazać odkrywczą – powiedział Tomek. – W każdym razie powrotna droga powinna dodać panu otuchy. Będziemy wędrowali niziną aż do samego wybrzeża!

– Błotnistą i bagienną niziną – dodał Smuga, a zwracając się do Bentleya, zapytał: – Dlaczego proponuje pan akurat taką trasę?

– To właśnie zamierzałem panom wyjaśnić – odparł zoolog. – Przede wszystkim wziąłem pod uwagę tereny ostatnio poznane przez kilku podróżników. Nie chciałem wędrować cały czas przez kraje zupełnie jeszcze nie zbadane.

– Słuszne założenie – pochwalił Wilmowski. – Jak widać z wyznaczonej trasy, większa część naszej drogi wiedzie przez Papuę [24]. Chętnie posłuchamy historii badań tego kraju. Umożliwi to nam właściwą ocenę projektu trasy.

– Przed każdą zamierzoną wyprawą staramy się zasięgnąć takich informacji – wtrącił Smuga. – Prosimy!

– Bardzo chętnie, byłem na to przygotowany – odpowiedział Bentley. – Nowa Gwinea była znana od początków szesnastego wieku, lecz do niedawna prawie wcale nie prowadzono w niej badań. Nie nakreślono na mapie nawet zarysu jej wybrzeży. Jedynie poszczególni podróżnicy od czasu do czasu nanosili na mapy nawigacyjne drobne fragmenty lądu. Dopiero dziewiętnasty wiek przyniósł pewien postęp. W roku tysiąc osiemset dwudziestym szóstym holenderska wyprawa wydatnie pogłębiła znajomość południowo-zachodniego wybrzeża. W siedemnaście lat później podobnych pomiarów dokonał dalej na południowym wschodzie Blackwood na statku “Fly” oraz Owen Stanley płynąc na “Rattlesnake”. W tysiąc osiemset siedemdziesiątym trzecim roku, a więc zaledwie trzydzieści pięć lat temu, Moresby zbadał wschodnie wybrzeże od zatoki Astrolabe do wschodniego krańca wyspy i ostatecznie ustalił zarys Nowej Gwinei.

– To zapewne jego imieniem nazwano Port Moresby, skąd mamy lądem rozpocząć naszą wyprawę? – zapytał Tomek, który w skupieniu przysłuchiwał się opowieści o historii odkryć i badań w Nowej Gwinei.

– Tak, on właśnie odkrył tę przystań – potwierdził Bentley. – Również dla upamiętnienia badań prowadzonych na statku “Fly” nazwę jego dano jednej z największych rzek, a mianem Owena Stanleya nazwano pasmo górskie.

Bentley nabił fajkę tytoniem, zapalił i mówił dalej:

– Wkrótce po przybyciu Moresby’ego, na wybrzeżu południowo-wschodnim pojawiło się kilku misjonarzy. Oprócz prac misyjnych stopniowo uzupełniali mapy niektórych okolic. Szczególnie Lawes i Chalmers prowadzili ożywioną działalność w pobliżu zatoki Papua. Chalmers w roku tysiąc osiemset osiemdziesiątym szóstym odkrył rzekę Wickham, zwaną przez Papuasów Alele. Siedem lat temu został zamordowany przez krajowców na jednej z przybrzeżnych wyseppek.

W tysiąc osiemset osiemdziesiątym siódmym Hartmann i Hunter odbyli wspinaczkę w Górach Owena Stanleya. W dwa lata później Mac Gregor, idąc wzdłuż rzeki Yanapa, doszedł do góry Wiktorii w Górach Owena Stanleya. Zimą roku tysiąc osiemset osiemdziesiąt dziewięć na dziewięćdziesiąt udało mu się dotrzeć aż sześćset pięć mil w górę rzeki Fly, niemal do granicy niemieckiej.

W roku tysiąc dziewięćset siódmym Monckton przeszedł w poprzek australijską, południową część wyspy, idąc znad rzeki Waria na północnym wybrzeżu do zatoki Papua na południu: w tymże roku Mackay i Little badali górną Purari. Udostępniono mi ich sprawozdania, które uważnie przestudiowałem. To chyba wyjaśnia, dlaczego zaproponowałem przedstawioną przeze mnie trasę wyprawy. Będziemy szli przez tereny, na których byli już przed nami inni podróżnicy.

– Tak, dziękujemy panu – powiedział Smuga. – A więc jedynie odcinek drogi przez centralny masyw górski stanowi wielką niewiadomą.

– Nie wyciągałbym takiego wniosku – zaprzeczył Bentley. – Nie tylko centralny masyw górski jest tą wielką niewiadomą. Podróżnicy, o których wspomniałem, nie mogli zbyt dokładnie badać tych terenów. Poza tym, co udało się jednemu, może nie udać się innym. Niemniej, co nieco już wiemy o Purari i o Górach Owena Stanleya.

– A więc z Port Moresby wyruszamy w kierunku Gór Owena Stanleya – rzekł Smuga.

– Tak, według zapewnień gubernatora, w odległości około stu pięćdziesięciu kilometrów, na wyżynie Popole, znajduje się stacja misyjna. To jest pierwszy lądowy etap naszej wyprawy. Stamtąd pójdziemy na północny zachód ku centralnemu masywowi.

– Jakie ludy zamieszkują Popole? – zapytał Tomek.

– Zwą się one Mafulu – wyjaśnił Bentley.

Smuga znów uważnie pochylił się nad mapą. Po chwili zagadnął:

– Marszruta nasza prowadzi nie tylko przez terytoria należące do Australii. Czy ewentualne przekroczenie granicy Ziemi Cesarza Wilhelma [25] nie spowoduje kłopotów?

– Nie spodziewam się tego – odparł Bentley. – Wprawdzie Nowa Gwinea jest podzielona pomiędzy Holandię [26], Niemcy i Australię, lecz granice są tam do tej pory pojęciem orientacyjnym. Przecież wewnątrz wyspy dotąd nie zostało zbadane. Granicę australijsko-holenderską wytyczono w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym trzecim roku, a Brytyjsko-Niemiecka Komisja Graniczna ma ukończyć swe prace dopiero w końcu roku tysiąc dziewięćset dziewiątego. W głębi wyspy nie napotkamy żadnych posterunków. Powrotną drogę chciałbym odbyć rzeką na łodziach. Dzięki temu łatwiejsze byłoby przetransportowanie nagromadzonych okazów.

– Dlatego też zapewne planuje pan powrotną trasę wzdłuż Purari – powiedział Wilmowski. – Wydaje mi się to bardzo rozsądne. Może uda się nam natrafić na jej źródła.

– Czy zgadzacie się panowie na wyznaczoną przeze mnie trasę? – zapytał Bentley.

– W ogólnych zarysach można przyjąć ten projekt, potem zobaczymy, co czas pokaże –

odrzekł Smuga. – Czy zgadzasz się ze mną, Andrzeju?

– Tak, zgadzam się – potwierdził Wilmowski. – Czy kapitan i Tomek mają jakieś zastrzeżenia?

– W tych sprawach wasze głowy lepsze od mojej – odparł Nowicki. – Skoro orzekliście, że projekt dobry, to nie ma, o czym mówić!

– Jestem tego samego zdania – rzekł Tomek.

PRZYGOTOWANIA DO WYPRAWY

Narada została przerwana, w tej chwili, bowiem drzwi się uchyliły i do palarni zajrzały dziewczęta. Za nimi widać było Zbyszka Karskiego i Jamesa Balmore'a.

– Przygotowałyśmy drugie śniadanie – oznajmiła Sally. – Czy mamy je podać w palarni, czy też może panowie wolą przejść do jadalni?

– To już zależy od naszych gości – odrzekł kapitan Nowicki.

– Proponowałbym kontynuować rozmowy przy śniadaniu. W ten sposób zaoszczędzimy czasu – odezwał się Bentley.

– Święta racja! Wobec tego podajcie nam śniadanie tutaj – zarządził Nowicki.

– Jeśli państwo życzyte sobie przysłuchiwać się rozmowie, to prosimy wszystkich do nas – powiedział Hart. – Chyba nie macie panowie nic przeciwko temu?

– Oczywiście, że nie! Nie chcieliśmy zbyt wcześnie budzić naszej młodzieży, ale informacje pana Bentleya wszystkim się przydadzą – odpowiedział Smuga. – Prosimy!

Pani Allan pomogła dziewczętom nakryć stół i już po kwadransie narada potoczyła się dalej.

– Dotychczas pan Bentley wtajemniczył nas w historię badań w Papui. Teraz dla ogólnej orientacji powinniśmy poznać prace odkrywcze w pozostałych dwóch częściach Nowej Gwinei – zagał Smuga.

– Może zaczniemy od holenderskiej – zaproponował Wilmowski.

– Kolonialne rządy niewiele robią dla naukowego zbadania kraju – zaczął Bentley. – Jak dotąd we wszystkich trzech częściach Nowej Gwinei przeważnie działają geolodzy, wysyłani przez wielkie przedsiębiorstwa górnicze i metalurgiczne. Badania ich ograniczają się więc jedynie do poszukiwań cennych minerałów i surowców. Dlatego też wcale nie badano okolic trudno dostępnych, jak i nie interesowano się krajowcami. [27]

W holenderskiej części Nowej Gwinei do roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego trzeciego prawie wcale nie prowadzono badań wnętrza wyspy. Nieliczne wyprawy docierały jedynie do części wybrzeża. Angielski przyrodnik i podróżnik Alfred Russel Wallace przebywał w połowie dziewiętnastego wieku w Dorei na północnym zachodzie. Jego cenne badania etnograficzne, językowe i w dziedzinie geografii zwierząt objęły wyspy Indonezji od Półwyspu Malajskiego aż do Nowej Gwinei.

– Proszę pana, czy to właśnie ten uczyony stworzył podział całego świata na krainy zoograficzne? – zapytał Tomek.

– Nie mylisz się, mój drogi, jemu to zawdzięczamy – potwierdził Bentley. – Po nim dopiero w roku tysiąc osiemset siedemdziesiątym pierwszym rozpoczął trzykrotne badania Nowej Gwinei rosyjski podróżnik Mikołaj Mikłucho-Makłaj [28]. Badał on północno-wschodni brzeg, zwany odtąd Wybrzeżem Makłaja, oraz wybrzeże zachodnie.

– Czytałam kilka artykułów tego podróżnika w czasopiśmie rosyjskich – zauważyła Natasza. – Wydaje mi się, że musiał być niezwykłym człowiekiem. Przez pewien czas żył wśród Papuasów, uczył ich używania noża i siekiery oraz próbował organizować wspólnotę plemienną. Nazywali go Tamo Ruś. Nigdy bym się nie odważyła sama przebywać wśród ludożerców.

– Ja także czytałem niektóre jego prace drukowane w prasie niemieckiej – wtrącił Wilmowski. – Teraz prosimy pana Bentleya o dalszą relację.

– Mniej więcej w tym samym czasie Włoch Albertis badał pasmo gór Arfak, a Mayer przeszedł od Cieśniny McClure’a do zatoki Geelvink – kontynuował Bentley zerkając w notatki. – Drugi okres badań rozpoczął się dopiero po roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym trzecim. Vraza poszerzył region uprzednio zbadany przez Albertisa i następnie w tysiąc dziewięćset trzecim poszedł w głąb kraju na wschód od Geelvink. W południowej części holenderskiej Nowej Gwinei badał w roku tysiąc dziewięćset czwartym rzekę Digul. Dopiero rok temu dokonano pomiarów na rzekach południowego wybrzeża. Według najświeższych informacji gubernatora w Port Moresby, rozpoczęto badania rzeki Mamberamo. [29]

– A jak przedstawia się sprawa w niemieckiej kolonii? – zapytał Smuga.

– Po zainteresowaniu się przez Niemców Nową Gwineą, Finsch objął pomiarami około tysiąca mil linii brzegowej – wyjaśnił zoolog. – Odkrył Rzekę Cesarzowej Augusty, którą krajowcy nazywają Sepik. W dwa lata później Dallmann przewędrował około czterdziestu mil wzdłuż jej koryta, zaś admirał von Schleinitz i Schrader zbadali ją na odcinku trzystu dwudziestu sześciu mil od ujścia.

Inni podróżnicy badali wybrzeże między zatoką Astrolabe, rzeką Sepik i zatoką Huon. W tysiąc osiemset osiemdziesiątym siódmym Schrader i Schleinitz ponownie badali Sepik prawie do granicy terytorium holenderskiego. Dziesięć lat później Lauterbach wyruszył z zatoki Astrolabe w Góry Bismarcka i odkrył rzekę Ramu. Ostatnio Dammkohler i Frohlich badali okolice rzek Markham i Sepik. Jak więc widzicie, badania nie postępują zbyt szybko we wszystkich trzech częściach wyspy.

– Ma pan rację! Dotychczasowe wyprawy dostarczyły niewiele nowych informacji o wnętrzu kraju – powiedział Smuga. – Będziemy szli w nieznane.

– Niemiaszki tak jak i inni prowadzą w koloniach próżniaczy żywot – wtrącił Nowicki. – Z doświadczenia jednak wiemy, że lepiej dla krajowców, gdy koloniści zbyt nie wpychają swego nosa w ich sprawy.

– Słusznie, kapitanie, nie jestem nawet pewny, czy rozsądnie dla nas byłoby dołączać się do jakiejś rządowej ekspedycji. Nam przecież nie chodzi o podbój kraju. Tym samym łatwiej możemy nawiązać kontakt z krajowcami. [30]

– No, wydaje mi się, że czas już przystąpić do podpisania umów – odezwał się dyrektor Hart. – Proponuje wspólnie udać się do notariusza. Poleciałem sporządzić odpowiednie dokumenty.

– Natychmiast po podpisaniu umów każdy uczestnik otrzyma czek na umówioną zaliczkę – dodał Bentley. – Pieniądze będą potrzebne na zakupienie ekwipunku osobistego. Kapitanie, kiedy pański jacht może wyruszyć w drogę?

– Hm, za dziesięć dni będę gotowy – odparł kapitan po krótkim namyśle.

– A więc za dziesięć dni podnosimy kotwicę – postanowił Bentley. – Teraz bierzemy się do pracy!

Jeszcze tego popołudnia Smuga dokonał rozdziału funkcji między poszczególnych uczestników wyprawy. Przedstawiał się on następująco:

Smuga Jan – kierownik wyprawy;

Nowicki Tadeusz – strzelec-tropiciel i zbrojna straż;

Wilmowski Tomasz – strzelec-tropiciel i zbrojna straż;

Wilmowski Andrzej – prace badawcze;

Bentley Karol – prace badawcze;

Allan Sally – preparatorka i nadzór nad kuchnią;

Natasza Władimirowna Bestużewa – sanitariuszka i nadzór nad kuchnią;

Karski Zbigniew – intendent;

Baltimore James – preparator i prace obozowe;

Stanford Jack – preparator i prace obozowe;

Wallace Henryk – preparator i prace obozowe.

Ponadto podczas żeglugi morskiej wszyscy wchodzili w skład załogi i podlegali kapitanowi Nowickiemu. Stała czteroosobowa załoga “Sity” nie miała brać udziału w ekspedycji na lądzie. Zadaniem jej było czuwanie nad bezpieczeństwem jachtu.

Oczywiście wierny Dingo, którego Tomek otrzymał w podarunku od Sally podczas pierwszej bytności w Australii, miał również ważne zadanie do wypełnienia podczas wyprawy. Był on doskonale wytresowany w tropieniu wszelkiej zwierzyny oraz w pełnieniu służby wartowniczej w obozie i podczas marszu.

Przez cały następny tydzień pracowano od świtu do późnej nocy. Kapitan Nowicki niemal nie schodził z jachtu. Z Dingiem u nogi zaglądał do wszystkich zakamarków, nadzorował robotników zatrudnionych przy wewnętrznej przebudowie jachtu. Inni uczestnicy wyprawy zwozili najrozmaitsze towary zakupione przez Bentleya, które magazynowali w specjalnych pomieszczeniach w parku Taronga, segregowali je, spisywali i pakowali do skrzyń z cienkiej blachy, a w końcu starannie zalutowywali. Natasza nie brała udziału w tych pracach, gdyż w tym czasie odbywała praktyczne przeszkolenie w sydneyjskim szpitalu.

Tomek wprost dwoił się i troił, szkoląc Zbyszka w jego odpowiedzialnej funkcji. Przecież najmniejsze niedopatrzenie mogło potem grozić utratą cennego sprzętu czy

zapasów żywności, nie do zdobycia w dzikiej dżungli. Stopniowo dziesiątki skrzyń przewieziono na statek. Dopiero ósmego dnia Tomek poprosił “sztab” wyprawy o ostateczne sprawdzenie książki intendenta. Wszystkie blaszane skrzynie i wory brezentowe oznaczone były numerami, które figurowały w książce magazynowej wraz z podaniem zawartości, wagi czy ilości różnych towarów. Smuga wolno odczytywał na głos pozycję po pozycji.

Najpierw zaewidencjonowane były przedmioty gospodarcze, a więc:

2 namioty czteroosobowe, 2 dwuosobowe i 2 duże z siatki antymoskitowej do prac naukowych i preparatorskich, 10 moskitier, 4 rozkładane łóżka z bambusa z daszkiem i moskitierami, 10 hamaków, 15 ciepłych, lekkich koców, blaszane miseczki do jedzenia, łyżki, widelce, kubki, garnki, kuchenka spirytusowa, lampa naftowa, składana brezentowa wanienska do mycia, mydło i różne przybory toaletowe, bańka nafty, 3 bańki spirytusu oraz komplet podstawowych narzędzi i apteczka.

W następnej kolejności znajdowały się zapasy żywności: konserwy mięsne i rybne, mąka, kasze, ryż, groch, fasola, sól, cukier, herbata, kawa, miód, suchary i tytoń.

Polem figurowały przedmioty konieczne do prac naukowych: przyrządy pomiarowe, kompas, mikroskop, aparat fotograficzny wraz z wyposażeniem, przybory oraz chemikalia potrzebne do preparowania okazów fauny i flory, siatki do chwytania owadów, pułapki, słoje, blaszane puszki i skrzynki.

Osobisty ekwipunek każdego członka wyprawy składał się z podwójnych kompletów dwóch rodzajów ubrań: do marszu przez dżunglę – miękki płócienny kapelusz, cienka koszula z długimi rękawami, długie płócienne spodnie, których dolną część nogawki chowało się w pół-wysokie sukienne kamasze; do marszu przez lekki teren – szorty, kurtki z krótkimi rękawami, pończochy i pół-wysokie sukienne kamasze.

Ponadto każdy zabierał 4 komplety bielizny, skarpety, brezentową kurtkę z kapturem, buty podbite gwoździami do marszu w górach, a kobiety dodatkowo spódnice i sztylpy.

Przedostatni dział obejmował środki płatnicze dla krajowców: siekiery, różne noże, łuki, strzały, koraliki, lusterka, organki, barwne bawełniane materiały, tytoń w czarnych laseczkach, skrzynie dużych i małych muszel, sól i jako prowiant dla tragarzy – konserwy oraz ryż.

Na samym końcu figurował arsenał wyprawy: sztucery, karabiny, broń krótka, fuzje, karabinki małokalibrowe do polowania na mniejsze ptaki, amunicja i rakiety.

Oddzielne zapasy żywności znajdowały się na jachcie na czas podróży morzem. Przegląd ekwipunku trwał niemal do wieczora; uznano, że przygotowania do wyprawy zostały ostatecznie zakończone. Według oświadczenia kapitana Nowickiego “Sita” miała być gotowa do wyjścia w morze dopiero za trzy dni. Wobec tego gościnnie dyrektor Hart zaproponował podróżnikom zwiedzenie miasta oraz jednodniową wycieczkę na morską plażę w Narrabeen.

Tomek z entuzjazmem podchwycił ten projekt. W czasie pierwszej bytności w Australii

poznał Melbourne, rodzinne miasto Bentleya, teraz więc miał możliwość porównać je z Sydney.

Następnego ranka dwoma powozami wyruszyli do miasta. Dyrektor Hart okazał się doskonałym przewodnikiem. Najpierw, więc przemknęli przez tonące w zieleni ogrodów podmiejskie, południowe dzielnice willowe, poprzecinane zatoczkami i lagunami, po których pływały setki żaglówek.

Potem zwiedzili ogród botaniczny i zoologiczny, muzea, kościoły, robili drobne zakupy w handlowym śródmieściu, a w końcu przybyli do nabrzeża portowego.

Przez cały czas Tomek dzielił się spostrzeżeniami ze swymi młodymi przyjaciółmi, z którymi jechał w jednym powozie. Przede wszystkim wyjaśnił im, że Sydney jest czwartym, a Melbourne piątym miastem pod względem wielkości na półkuli południowej. Tylko południowoamerykańskie miasta: Buenos Aires, Sao Paulo i Rio de Janeiro były od nich większe. W tych dwóch miastach koncentrował się handel, przemysł, instytucje kulturalne i naukowe Australii. Z nich wywożono w świat główne australijskie produkty: wełnę, mięso, skóry i pszenicę.

Całe Sydney miało charakter wybitnie portowy. Południową i północną część miasta rozdzielała zatoka Port Jackson, która wrzynała się w ląd dziesięciokilometrowym lejem, aż do ujścia rzeki Parramatta. Nieregularne linie wybrzeży tworzyły dziesiątki zatok i cichych przystani.

Przystanęli nad brzegiem, aby przyrzeć się panoramie północnej części miasta, położonej po drugiej stronie zatoki Port Jackson. Usiedli na ławkach rozległego zieleńca wysadzanego krzewami i palmami.

– No cóż, Tomku, jak się panu podoba nasze Sydney? – zapytał Hart.

– Nie chciałbym urazić pana Bentleya, lecz wydaje mi się ładniejsze od Melbourne. Jest mniej symetrycznie zabudowane i dzięki temu nie tak monotonne – odpowiedział Tomek.

– Skoro tak, to może zechciałby pan tutaj zamieszkać? – zapytał Hart. – Mógłbym panu zaproponować odpowiednie stanowisko w zarządzie Parku Taronga.

– Nic z tego! Próbowałem kiedyś zatrzymać Tomka w Melbourne – wtrącił Bentley. – W odpowiedzi zaprosił mnie do Warszawy, po odzyskaniu niepodległości przez Polskę.

– Cóż, zdanie można zmienić z biegiem czasu – wesoło powiedział Hart. – Nieraz stosunki rodzinne zmuszają do tego...

Tomek zarumienił się, a Hart dodał:

– Niech się pan nie spieszy z odpowiedzią. Ponowię propozycję po zakończeniu waszej wyprawy do Nowej Gwinei.

– Dziękuję panu, zastanowię się nad tym – odparł młodzieniec.

– Jak amen w pacierzu, Tomek gotów osiąść na mieliźnie – tubalnie szepnął kapitan

Nowicki do Smugi.

– Mnie także podoba się Sydney – rezolutnie zauważyła Sally. – Powinniśmy obrać je za stolicę Związku Australijskiego.

– Oho, przemówiła przez panią mieszkanka Nowej Południowej Walii – zaproponował Bentley, od powstania bowiem Związku Australijskiego w roku 1900 Melbourne i Sydney współzawodniczyły o miano stolicy. [\[31\]](#)

– Przekonacie się państwo, że w przyszłości Sydney będzie jeszcze piękniejsze – zapewnił Hart. – Słyszałem o projekcie, który doda miastu uroku. Mianowicie rozważa się możliwość zbudowania olbrzymiego mostu, który by połączył południowe i północne Sydney. [\[32\]](#)

– Każda pliszka swój ogonek chwali – tubalnie mruknął Nowicki. – Ale mimo wszystko nie ma to jak nasza stara Warszawa!

W wesołym nastroju podróżnicy powrócili na “Site”. Tutaj ostatnie przygotowania do opuszczenia portu również dobiegały końca. Cały jacht lśnił jak lustro, wszędzie unosił się zapach świeżego lakieru.

Pani Allan była bardzo podniecona. Ani na krok nie odstępowała swej jedynaczki, polecała ją opiece przyjaciół. Był to przecież jej przedostatni dzień spędzony razem z córką przed wyruszeniem na wyprawę.

Rozmowy na jachcie przeciągały się do późnej nocy, lecz mimo to podróżnicy już o świcie zerwali się z posłań. Razem z Dingiem podążyli do przystani, skąd promem przepłynęli zatokę do północnego Sydney. Stamtąd wraz z Hartem pojechali powozami na uroczą morską plażę w Narrabeen. Wszyscy korzystali z orzeźwiającej kąpieli, gdyż gładkie, piaszczyste wybrzeże okalała połączona z morzem laguna, zabezpieczająca wycieczkowiczów przed ewentualną napaścią rekinów. Szczególnie Dingo, znudzony długim pobytem na jachcie, wprost szalał z radości. Piękny, słoneczny dzień minął beztrąsko i wesoło.

Wieczorem wszystkie iluminatory “Sity” jarzyły się jasnym światłem. To kapitan Nowicki wydawał dla całej załogi i gościnnego Harta pożegnalną kolację. Już następnego dnia o świcie jacht miał wyjść w morze.

O WŁOS OD ŚMIERCI

Jacht pod pełnymi żaglami spokojnie płynął po niemal gładkim oceanie. Sterowany wprawna dłonią zawodowego marynarza – Indusa Ramasana, nie mógł zbaczyć z kursu, wiodącego wprost na północ wzdłuż wschodnich wybrzeży Australii. Toteż Nowicki jedynie z przyzwyczajenia wchodził od czasu do czasu na mostek kapitański, by zerknąć na widoczne na zachodzie pasmo lądu, i zaraz z powrotem zniknął w kabinie nawigacyjnej. Obecnie stał pochylony nad blatem stołu nawigacyjnego; uważnie przeglądał dziennik pokładowy, do którego każdy oficer wachtowy obowiązany był wpisywać wszystkie ważne szczegóły przebiegu żeglugi. Uśmiechał się wyrozumiale, napotykając czasem w zapiskach własne poprawki w niewłaściwie zastosowanych żeglarskich umownych skrótach, oficerami na “Sicie”, bowiem byli jego uczniowie: Wilmowski, Smuga i Tomek. Umieli już niemało. Podczas rejsu z Indii na Daleki Wschód, a potem w czasie morskiej podróży do Australii pomagali w różnych pracach na jachcie. Jak do tej pory młody Tomek poczynił największe postępy w nauce trudnej i odpowiedzialnej pracy marynarza. Nawet kapitan Nowicki nie mógł nic zarzucić jego meldunkowi z poprzedniego dnia. Zapis ów w dzienniku pokładowym brzmiał:

Brisbane [33], dnia 21 stycznia 1909 roku, czwartek.

O godzinie 9:15 rano “Sita” została przycumowana do nabrzeża w porcie Brisbane, dokąd prowadził pierwszy etap żeglugi z Sydney. Wynosił on 460 mil morskich, przebytych w 5 dni, przy przeciętnej szybkości tylko 3 do 4 węzłów [34] z powodu przeciwnego wschodnio-australijskiego prądu morskiego, który płynąc z północnego wschodu przez cały czas dryfował [35] statek z kursu.

Postój “Sity” w celu uzupełnienia zapasów trwał 7 godzin. Wpompowano 3000 litrów świeżej wody do głównego zbiornika oraz zakupiono: skrzynkę pomidorów, 10 główek kapusty, 50 kilogramów kartofli, 20 kilogramów batatów, skrzynkę jabłek i 20 kilogramów wołowego mięsa. O godzinie 4¹⁵ po południu wyszliśmy z portu.

Oficer wachtowy – Tomasz Wilmowski.

Jak wynikało z dalszych notatek, “Sita” około dwunastu godzin temu minęła Przylądek Piaszczysty, położony sto siedemdziesiąt mil na północ od Brisbane. Kapitan Nowicki dokonał aktualnych obliczeń i oznaczył położenie jachtu na mapie nawigacyjnej. Przebyli już trzy czwarte etapu długości 325 mil z Brisbane do Rockhampton nad rzeką Fitzroy. Tam miał być ich ostatni już przystanek na lądzie australijskim. Według rachuby Nowickiego powinni zawinąć do Rockhampton następnego dnia wczesnym rankiem.

Bezchmurny świt wywabił na pokład prawie całą załogę, wszyscy pragnęli ujrzeć w pełnym blasku dnia południowe krańce Wielkiej Rify Koralowej, która od chwili, gdy James Cook [36] w roku 1770, jako pierwszy Europejczyk, wpłynął na jej wewnętrzne wody, uznawana jest za jeden z cudów świata. “Sita” właśnie zbliżała się do naturalnego, szerokiego jakby kanału, którego lewy brzeg stanowił ląd australijski, prawy natomiast tworzyła znaczna grupa wysp rozsianych po Morzu Koralowym.

Sally Allan dopiero teraz po raz pierwszy w życiu miała ujrzeć ową osławioną i budzącą trwogę w żeglarzach Wielką Rafę Koralową, zwaną w języku angielskim Wielką Rafą Barierową. Toteż niezmiernie zaciekawiona podbiegła do Tomka opartego o prawą burzę.

– Tommy, jak się nazywają te malownicze wysepki? – zapytała, przytrzymując za ucho Dinga łaszącego się u jej nóg. – Czy jeszcze daleko do Rify?

– To tak zwana Grupa Kozioróżca, ślicznotko – wesoło odparł Tomek, naśladowując głos kapitana Nowickiego. – Pytasz, jak daleko do Rify? Oto ona, przypatrz się jej dobrze, tylko nie wychylaj się za bardzo, bo wypadniesz za burzę.

– Nic by mi się nie stało – odparowała Sally, wzruszając ramionami. – Umiem pływać, a poza tym taki sławny podróżnik jak ty na pewno by mnie wyratował!

– Jeśli pozostałoby jeszcze coś do ratowania... Tutaj często wtoczą się rekiny! Byłabyś dla nich łakomym kąskiem!

– Naprawdę myślisz, że jestem łakomym kąskiem? – zalotnie zapytała Sally, bacznie spoglądając na Tomka.

– Hm, skoro tak powiedziałem... – mruknął zmieszany i odwrócił głowę.

– Wspaniały jesteś, Tommy! Przy tobie i przy Dingu nie boję się niczego! Mimo to nie żartuj sobie ze mnie. To ma być ta Rifa?! Chociaż nigdy dotąd nie byłam w tych okolicach, potrafię chyba odróżnić piękne wysepki od niebezpiecznej zapory, jaką niezawodnie tworzy Wielka Rifa Barierowa!

– Wcale nie żartuję – zaprzeczył Tomek. – Właśnie Grupa Kozioróżca jest najdalej wysuniętym na południe krańcem Wielkiej Rify Koralowej, która wbrew dość powszechnemu mniemaniu nie stanowi jednolitej całości. Znaczna jej część składa się z wielu mniejszych raf barierowych oraz różnych grup wysp i wysepek, a dopiero dalej na północy, na przestrzeni około sześciuset mil, rifa zmienia się w jednolity mur. Zresztą sama to wkrótce będziesz mogła stwierdzić.

– Naprawdę myślałam, że tylko żartujesz sobie ze mnie! – odpowiedziała niedowierzająco.

– Zapytaj kogoś innego, jeśli jeszcze masz wątpliwości. Niemal wszyscy oglądaliśmy tę rafę płynąc z Syberii do Australii. Ojciec wiele opowiadał nam o niej.

– Wobec tego określenie “bariera” wprowadziło mnie w błąd!

– Słuchaj Sally, nazwa Wielka Rifa Barierowa po prostu określa jej rodzaj. Chyba pamiętasz z geografii, że rozróżniamy trzy rodzaje raf, a więc: brzeżne, to znaczy ściśle przylegające do lądu, barierowe, czyli ciągnące się w pewnej odległości od niego, oraz atole oddzielone od brzegu lagunami bądź też tworzące swoiste wyspy w kształcie pierścienia z lagunami wewnątrz. Wielka Rifa Koralowa jest właśnie rafą barierową.

– Tak, tak, teraz przypomniałam to sobie! Poza tym rafy mogą być nadwodne i podwodne – zawołała Sally.

W tej chwili rozbrzmiał tubalny głos kapitana Nowickiego:

– Hej, gołąbeczki, skończcie gruchanie! Cała załoga na pokład! Zrzucić grotzagiel i bezanżagiel! [\[37\]](#)

Krótkie rozkazy posypały się z mostka kapitańskiego. Z wyjątkiem sternika i jeszcze jednego marynarza, który na dziobie jachtu dokonywał sondą pomiarów głębokości wody, wszyscy mężczyźni zostali zatrudnieni przy zwijaniu żagli. Obkładali je na bomach [\[38\]](#), potem wyrównywali fałdy, a w końcu przywiązywali juzingami [\[39\]](#).

“Sita” płynąc jedynie na fokżaglu wydatnie zmniejszyła szybkość. Smuga i Tomek na polecenie kapitana ulokowali się na dziobie jachtu, by wypatrywać podwodnych raf. Wkrótce przybili do nabrzeża w Rockhampton, małego portu dogodnego dla mniejszych statków. Kilkunastotysięczne miasteczko było punktem rozdzielczym dla farmersko-mleczarskiej okolicy, toteż kapitan Nowicki polecił zaopatrzyć spiżarnię “Sity” w nabiał, a szczególnie w sery, bez których nie uznawał śniadań. Postój w Rockhampton był bardzo krótki. Zaledwie dokonali niezbędnych zakupów i uzupełnili zapas świeżej wody, zaraz wypłynęli w morze, kierując się na wschód ku Grupie Koziorożca. Tam właśnie, u brzegu jednej z wysepek, zamierzali stanąć na kotwicy, by uniknąć niebezpiecznego w nocy kluczenia wśród raf koralowych.

Trasa żeglugi wytyczona przez kapitana Nowickiego została w pełni zaakceptowana przez jego przyjaciół, z których zdaniem zawsze bardzo się liczył. Po nocnym postoju w Grupie Koziorożca mieli pozełgować do wschodnich krańców grupy wysp zwanych Swain Reefs [\[40\]](#). Stamtąd, już na otwartych wodach Morza Koralowego, trasa znów kierowała się na północ i wiodła w pewnej odległości od zewnętrznej strony Wielkiej Rafy Koralowej, tworzącej jakby ochronną tarczę wschodniego wybrzeża Queenslandu od Zwrotnika Koziorożca aż do samej Nowej Gwinei.

Na pierwszym odcinku trasy kapitan Nowicki zachowywał szczególną ostrożność, ponieważ wiodł on po wewnętrznych wodach Wielkiej Rafy Koralowej. W tym miejscu najdalej wysunięta na południe zewnętrzna część Tafi znajdowała się w odległości prawie stu mil od brzegów Australii. Dopiero dalej na północy, na wysokości miasta Bowen, zaczynała coraz bardziej przysuwać się do lądu, osiągając w okolicy Przylądka Melville’a najmniejszą odległość, zaledwie siedmiu mil. W północnej części Rafy Koralowej zanikały, dość liczne na południu, przerwy w barierze, przez które można było przemknąć się do wybrzeża, a za Przylądkiem Melville’a stanowiła ona już prawie jednolity mur, ciągnący się wprost na północ. Kapitan Nowicki nie chciał ryzykować zbyt częstego żeglowania poprzez przesmyki w barierze rafowej i dlatego Rockhampton miało być ostatnim miejscem postoju “Sity” przed zawinięciem do Port Moresby.

Jacht z postawionym tylko fokżaglem wolno zbliżał się do Grupy Koziorożca. Prawie cała załoga znajdowała się na pokładzie. Dwuosobowa wachta na dziobie statku wypatrywała podwodnych raf, natychmiast informując o nich kapitana, natomiast inni podziwiali tak mało znaną krainę koralowców [\[41\]](#).

Zdradliwy dla żeglugi kanał pomiędzy główną barierą rafową i stałym, górzystym w

tym miejscu łądem przedstawiał niezapomnianą panoramę. Wprost z morza wyrastały piętrzące się na wysokość kilkudziesięciu metrów wysepki okolone brzeżnymi rafami. Skaliste zbocza oraz ich wierzchołki porastała tropikalna dżungla rozkrzyczana głosem różnorodnego ptactwa. Pomiedzy uroczymi wysepkami w szmaragdowym morzu drzemały podłużne lub okrągławe, tajemnicze cienie, które z bliska przeistaczały się w złudne ławice szlachetnych, drogocennych kamieni, połyskujące szeroką gamą różnych odcieni błękitu, opalu i zieleni. Były to podwodne rafy koralowe. Niektóre z nich, widoczne podczas odpływu morza, przypominały kształtem pofałdowania kory mózgowej, natomiast inne, porowate, posiadały w ściankach otworki, prowadzące do rozgałęzionych, wąskich korytarzyków wysianych żywym ciałem polipów o najfantastyczniejszych jaskrawych barwach. Wśród wspaniałych raf koralowych uwijał się rój równie barwnych ryb, rozgwiazd, jeżowców, mięczaków i innych zwierząt mórz południowych. Cały ten przedziwny podwodny świat przypominał jakieś bajkowe lasy lub legendarne rajskie ogrody.

Niezapomniane widoki wywoływały różne uczucia w załodze "Sity". Młodzież zachwycała się tajemniczym pięknem, dwaj naukowcy – Wilmowski i Bentley – podziwiali bogactwo i różnorodność życia podwodnego świata, natomiast kapitan Nowicki zatapiał ponure spojrzenie w zdradliwych dla żeglugi głębinach morskich.

– Aż trudno uwierzyć, że małe polipy koralowe mogły zbudować tak olbrzymie skały – mówiła Sally, wciąż wychylając się za burtę.

– Moja panienko, wprawdzie korale są skromnymi zwierzątkami, lecz mimo to odegrały ogromną rolę w historii geologii – zauważył Bentley. – Ich pozostałości są znajdowane w postaci skamielin w skałach wszystkich okresów geologicznych. Korale budowały duże rafy już około czterystu milionów lat temu. Te starodawne rafy są obecnie znajdowane w wielu częściach wschodniej Australii i Tasmanii, co jednocześnie wskazuje, że dawniej w tych miejscach było morze.

– To naprawdę zadziwiające, szczególnie, gdy porównuje się rozmiary zwierzątek z ogromem oraz trwałością ich budowli – odezwała się Natasza.

– Dla ścisłości należy dodać, że do budowy raf koralowych również przyczyniają się mszywioly i glony wapienne – wyjaśnił Wilmowski.

– Skończcie już z tymi zachwykami, szanowni państwo! Czy zapomnieliście, ile to doskonałych statków poszło na dno przez te diabelskie rafy? – oburzył się kapitan Nowicki. – Swoją niepotrzebną gadaniną możecie jeszcze sprowadzić na nas jakieś nieszczęście!

Głośna dotąd rozmowa zaraz przycichła, ponieważ ponura mina przesądnego kapitana nie wróżyła niczego dobrego. Aby przerwać złowróżbną, jego zdaniem, dyskusję, mógł przecież zaraz zarządzić choćby zbędne szorowanie pokładu. Tylko Dingo nie zwracał uwagi na zły nastrój kapitana. Oparłszy się przednimi łapami o balustradę, uważnie śledził ptaki fruujące nad malowniczymi wysepkami.

Tomek pogrążony we śnie odwrócił się na koi na drugi bok. Czujny Dingo zaraz

powstał z dywanika. Ciche skomlenie nie obudziło śpiącego, więc wilgotnym ozorem dotknął lekko jego twarzy. Tomek tylko uśmiechnął się przez sen. Właśnie przyśniło mu się, że to Sally pocałowała go w policzek, dziękując za ofiarowane jej wspaniałe pióro rajskiego ptaka. Zniecierpliwiony Dingo energicznie polizał Tomka. Teraz młodzieniec przebudził się; otworzył oczy i ujrzał swego ulubieńca.

– Ach, to ty...! – mruknął nieco zawiedziony i natychmiast uzmysłowił sobie, że w kabinie jest już jasno.

“Cóż to znaczy? – pomyślał zdumiony. – Mieliśmy o świcie podnieść kotwicę, a tymczasem na statku nie słychać żadnego ruchu!”

Natychmiast spojrzął w iluminator. Widok jasnego błękitu nieba mocno go zaniepokoił. Dlaczego postój “Sity” został przedłużony? Kapitan Nowicki zawsze przestrzegał punktualności na swoim jachcie. Tomek zerknął na koję Jamesa Balmore’a, z którym wspólnie zajmował kabinę. Jego koja była równo zasłana, jakby w ogóle nie kładł się do snu. To właśnie przypomniało Tomkowi, że Balmore miał wyznaczoną wachtę od dwunastej w nocy do czwartej rano. Zapewne zasnął na służbie i nie obudził następnej zmiany.

– No, nie chciałbym znaleźć się w jego skórze – mruknął Tomek i zerwał się na nogi. Szybko nałożył spodnie, po czym poprzedzany przez Dinga, wybiegł na korytarz. Po chwili był na pokładzie. Coraz bardziej zaniepokojony rozglądał się dookoła. Naraz usłyszał ciche szczeknięcie Dinga. Pies stał przy lewej burcie obok porzuconego na pokładzie ubrania. Tomek podbiegł do niego i od razu rozpoznał zieloną kurtkę Balmore’a, zmarszczył brwi. Nie lubił tego opanowanego, trochę zarozumiałego Anglika.

Dingo, cicho skomląc, nagle wspiął się przednimi łapami na balustradę. “Jamesowi na pewno zachciało się kąpieli...” – pomyślał Tomek. Nachmurzony spojrzął za burtę. O jakieś dwieście metrów od jachtu zieleniły się brzegi małej wysepki koralowej. Na płaskim, piaszczystym wybrzeżu gimnastykował się James Balmore.

Pod wpływem pierwszego impulsu Tomek ruszył ku palarni, zamienionej obecnie na kabinę kapitana. W niej to kwaterowali Nowicki i Smuga. Wystarczyło ich obudzić, aby odpowiednio natarli uszu Balmore’owi za samowolę. Zanim jednak doszedł do drzwi, zatrzymał się zawstydzony. Mimo niechęci do Balmore’a, nie mógł być w stosunku do niego niekoleżeński. Z powrotem podbiegi do burty. Zaczął dawać znaki w kierunku brzegu. Wkrótce Anglik zauważył sygnały. Machnął w odpowiedzi dłonią i podążył do wody. W tej chwili tuż za plecami Tomka rozległ się głos kapitana Nowickiego:

– Do stu tysięcy zgniłych wielorybów, dlaczego wachta nie zrobiła pobudki?! Pół godziny temu powinniśmy byli podnieść kotwicę! Wachtowy, do mnie!

Zanim Tomek zdążył cokolwiek odpowiedzieć, na pokładzie pojawił się Smuga.

– Gdzie Balmore? – zapytał. – On był wyznaczony na nocną wachtę.

– Wiem o tym! Zaraz pokażę mu, gdzie raki zimują – gniewnie odparł kapitan. – Hola, czyje to ubranie? Kogo Dingo wypatruje za burtą?!

– Niech pan się nie gniewa, kapitanie – pojednawczo rzekł Tomek. – James Balmore już płynie do jachtu... Gdyby pan nie obudził się tak wcześnie...

Dingo tymczasem wspinał się z uporem na burtę i cicho skomlał.

– Kąpieli mu się zachciało podczas wachty?! Jak amen w pacierzu, zamknę go w karcerze o chlebie i wodzie – zrzędził kapitan.

– Uciszcie się obydwaj i patrzcie! – naraz odezwał się Smuga zmienionym głosem.

Stał mocno przechylony przez burtę i poblady wpatrywał się w spokojną toń morza. Obydwaj przyjaciele zaintrygowani natychmiast przysunęli się do niego. W milczeniu wyciągnął przed siebie dłoń. Spojrzeli we wskazanym kierunku i zamarli w bezruchu. W pewnej odległości od jachtu, tuż pod powierzchnią przejrzystego, szmaragdowego morza, wolno sunął długi, potężny, stalowoniebieski groźny cień o wrzecionowatym kształcie. Charakterystyczna głowa, spłaszczona i wyciągnięta ku przodowi jak długi dziób, dwie trójkątne płetwy piersiowe od razu pozwalały rozpoznać żarłacza ludojada [42]. Kapitan Nowicki pierwszy pomyślał o pomocy dla nieszczęsnego Jamesa Balmore'a, beztrąsco płynącego w pobliżu groźnego drapieżnika. Bez słowa pomknął do kabiny, skąd zaraz powrócił z karabinem gotowym do strzału. Smuga zaledwie ujrzał broń w jego dłoniach, poblady jeszcze bardziej i cicho zawołał:

– Oszalałeś?! Opuść karabin, jeśli ci miłe życie tego chłopca! Nie powinien się zorientować, że grozi mu niebezpieczeństwo!

– Musimy ostrzec Jamesa, on dotąd nie zauważył rekina! – zaproponował wzburzony Tomek.

– Milczcie i zachowujcie się jak najbardziej naturalnie – sugestywnie odparł Smuga. – Uratować swe życie w tej sytuacji może tylko człowiek nieświadom grożące mu niebezpieczeństwa. Jeśli ujrzy rekina, wpadnie w panikę i zacznie płynąć jak najszybciej. Wtedy będzie wykonywał gwałtowne ruchy, które, jak niejednokrotnie słyszałem, sprawiają na rekinie wrażenie, że napotkał łatwą zdobycz.

– Więc mamy patrzeć biernie?! – zapytał Tomek drżącym głosem.

– W tych warunkach kula nie ugodzi rekina śmiertelnie. Zraniony stanie się jeszcze straszniejszy. Jeśli nie jest głodny, nie zaatakuje. Tutaj jest dużo ryb...

– Gdyby Balmore miał nóż, mógłby się bronić – posepnie rzekł Nowicki.

– Żaden człowiek, moim zdaniem, nie potrafi się zbliżyć do rekina na tyle, by uchwycić lewą dłonią płetwę piersiową, a prawą rozplatać mu brzuch – odparł Smuga.

Zamilkli, a Balmore tymczasem, nieświadom śmiertelnego niebezpieczeństwa, spokojnie przybliżał się do statku. Jeszcze tylko około czterdziestu metrów dzieliło go od burty. Rekin wolno płynął trop w trop za młodzieńcem. Zataczał szerokie półkola, systematycznie zmniejszając odległość między sobą a lekkomyślnym pływakiem.

– Patrzcie, patrzcie! Tam na lewo! Drugi rekin... – szepnął przerażony Tomek.

– Widzę... – cicho potaknął Smuga.

– Teraz im się nie wymknie... – mruknął kapitan.

Pot grubymi kroplami spływał po twarzach trzech przyjaciół bezradnie skupionych przy burcie statku. Rozpaczliwy wzrok wlepili w opalone ramiona pływaka. Dwie żarłoczne bestie morskie sunęły coraz bliżej niego.

Porażonemu grozą Tomkowi wydało się, że minęła cała wieczność, zanim James Balmore uchwycił dłonią szczebel drabinki linowej zwisającej z burty jachtu. Po chwili już pisał się w górę. Dopiero teraz mógł spojrzeć wprost w twarze towarzyszy stojących na pokładzie. Zdumiał się niepomiernie ujrawszy ich niesamowity wygląd. Dingo obnażył kły i warcząc spoglądał w morze. Balmore odruchowo zerknął w dół. Tuż pod nim czerniły się dwa potężne cielska straszliwych ludojadów. Wywarły one na Jamesie piorunujące wrażenie. Niezwłocznie połapał się w sytuacji. Zbladł jak płótno, zachwiał się na drabince i nagle głowa opadła mu na piersi. Omdlewał... Na szczęście czujny Smuga w tej samej chwili chwycił go mocno za ramię. Tomek natychmiast pospieszył mu z pomocą. Wspólnymi siłami wciągnęli Balmore'a na pokład.

Kapitan Nowicki, jak większość ludzi morza, nienawidził rekinów. Toteż zaledwie ułożono Balmore'a na pokładzie, błyskawicznie uniósł karabin do ramienia. Strzał sucho rozbrzmiał w porannej ciszy. Jeden z wolno dotąd pływających rekinów gwałtownie zwinął się jak sprężyna, potężnie uderzając ogonem o bok statku. Nowicki strzelił jeszcze raz. Obydwa stalowoniebieskie potwory zniknęły w głębinie morza.

Huk strzału wywabił na pokład całą załogę. Oczywiście przede wszystkim zajęto się cuceniem Balmore'a, który nie zdradzał oznak życia. Dopiero, gdy Natasza podsunęła mu słoik z amoniakiem, odetchnął głęboko i otworzył oczy. Przerazenie malujące się w jego wzroku znacznie złagodziło gniew kapitana. Zapomniał, więc o karczerze i tylko rzekł ostro:

– Słuchaj, młody człowieku! Przez własną głupotę omal nie stałeś się zakąską diabelskich rekinów. Jeśli jeszcze raz na tym statku zrobisz coś bez mego polecenia, wysadzę cię na ląd i pożegnamy się z tobą.

– Nie było zakazu kąpieli, zapomniałem o rekinach – bąknął James.

– Tylko dzięki panu Smudze uniknąłeś śmierci – odezwał się Tomek. – Chcieliśmy cię ostrzec, gdy płynąłeś. Wtedy zginąłbyś niezawodnie. Napędziłeś nam okropnego strachu!

– Wszystkie rekiny powinno się wytępić – powiedział Zbyszek, na którym straszliwa przygoda Balmore'a wywarła duże wrażenie.

– Zbyt pochopny wniosek – zauważył Bentley. – Karygodna jest tylko lekkomyślność pana Balmore'a. Wbrew ogólnemu mniemaniu nie wszystkie rekiny są groźne dla człowieka. Największe z nich, rekin wieloryb i długoszar, żywią się jedynie planktonem. Poza tym rekiny są również pod pewnym względem nawet pożyteczne; jako pożeracze padliny i wszelkich odpadków oczyszczają morze [43].

– Słuszna uwaga, szczególnie należy się wystrzegać rekina tygrysa oraz małych szarych

rekinów dodał Wilmowski. – Dzisiejszy wypadek pana Balmore’a udowodnił nam, że nawet rekin ludojad nie zawsze atakuje człowieka.

PIRACI MÓRZ POŁUDNIOWYCH

James Balmore bardzo się przejął naganą kapitana. Wprawdzie nikt już później nie robił jakichkolwiek uwag na temat porannych wydarzeń, lecz mimo to, zawstydzony swą lekkomyślnością, unikał ogólnych rozmów. Gorliwie wypełniał wszelkie rozkazy, przodował w pracach pokładowych, a w wolnych chwilach znikał w jakimś zakamarku i stamtąd zasepionym wzrokiem wodził za Tomkiem. Oczywiście nie mógł mu niczego zarzucić. Przecież Tomek zachował się po koleżeńsku, czym nawet naraził się kapitanowi Nowickiemu. Ale bura, jaką oberwał Tomek, jeszcze bardziej podkreślała jego zalety, których Balmore od dawna mu zazdrościł. “Tomek na pewno by nie zemdleł na widok rekinów ludojadów” – z rozgoryczeniem rozmyślał. Tak bardzo zależało mu na opinii Sally! Czyż teraz nie mogła posądzić go o tchórzostwo? Nachmurzony, nawet nie zwracał uwagi na widoki roztaczające się z pokładu. Do uszu jego nie dolatywały zachwyty reszty załogi.

Pomiędzy zewnętrzną barierą rafy, do której podpływali, a strefą skalistych wysepek, często rysowało się w głębinie morza dno pokryte piaskiem, usiane żywymi, barwnymi koralami. Około południa na horyzoncie ukazała się grupa wysp Swain Reefs, rozrzuconych na przestrzeni około pięćdziesięciu mil. Stanowiły one pogmatwany labirynt koralu i wysepek, oddzielonych od siebie koralowymi kanałami. Warunki geograficzne wyciskały tam charakterystyczne piętno na krajobrazie. Od strony nawietrznej wybrzeża wysepek pokrywał czysty piasek, natomiast przeciwne ich krańce porastały mangrowe błota. Toteż w powietrzu unosił się odór błota i gnijącej roślinności. Fauna dostosowana była do bagnistego terenu. Ostrygi i inne skorupiaki oblepiały korzenie, wśród pełzających małży uwijał się rój różnych robaków, a w przybrzeżnych wodach pływały kraby i ryby.

Kapitan Nowicki nie ryzykował żeglowania po zdradliwym labiryncie przesmyków wśród wysepek. “Sita” płynęła szerokim łukiem z południa na północ ku otwartemu morzu, pozostawiając z lewej strony grupę Swain Reefs. W górze ponad statkiem kołowały tysiące różnych ptaków.

Młodzież nie opuszczała pokładu. Tomek uważnie spoglądał na płaskie, piaszczyste wybrzeża. Kilkakrotnie wypatrzył przez lunetę koleiny wyżłobione w piasku. Ciągnęły się wprost z morza do wydm porośniętych krzewami. Była to pora składania jaj przez żółwie. Toteż zdaniem Tomka, owe koleiny na wybrzeżu były śladami pozostawionymi przez samice szylkreta olbrzymiego [44], które co roku wychodzą na ląd, aby złożyć jaja. Ta odmiana żółwi należała do zwierząt typowo morskich i budową różniła się od lądowych. Przednie łapy szylkreta olbrzymiego stanowiły prawdziwe płetwy, natomiast tylne posiadały błoniaste palce. Nic więc dziwnego, iż żółwie te lepiej pływały niż chodziły, i jedynie samice w odpowiednim czasie opuszczały morze, by w piasku zakopać jaja.

Pod wieczór jacht opłynął południowe i wschodnie krańce Swain Reefs. Kapitan Nowicki wyznaczył kurs na północny zachód i odetchnął z uczuciem ulgi. Przed chwilą powrócił z rufy, gdzie odczytał licznik logu [45]. Szybkość “Sity” wynosiła osiem węzłów. Znajdowali się w strefie sprzyjającego im prądu morskiego, płynącego w kierunku północno-zachodnim. Przy korzystnych wiatrach powinni w przeciągu sześciu dni zarzucić

kotwicę w Port Moresby. Za północnym krańcem rozległej grupy wysp Swain Reefs rozpoczynała się główna, zewnętrzna część Wielkiej Rafy Koralowej, wzniesiona na krawędzi najdalej wysuniętego pod powierzchnią morza załomu lądu, który w tym miejscu stromo opadał dalej w głębinę.

W miarę jak "Sita" oddalała się na północ, coraz rzadziej napotymano przesmyki umożliwiające mniejszym statkom dostęp do stałego lądu. Teraz zewnętrzna ściana rafy często sprawiała wrażenie oddalonego od brzegu kamiennego wału, zbudowanego pomiędzy otwartym morzem i tropikalną laguną. Na wewnętrznych wodach tego naturalnego, zdradliwego kanału roilo się od niezliczonych, nadwodnych i podwodnych, skalistych wysepek oraz koralu, dających schronienie różnorodnej faunie. Natomiast na zewnątrz bariera, w większości zanurzona w morzu i widoczna jedynie podczas większych odpływów, była prawie całkowicie pozbawiona życia. Wyłaniała się z fal, niekiedy na przestrzeni wielu mil, niczym gładki, twardy, błyszczący mur. Potężne fale morskie przelewały się przez nią podczas przypływów, wzmagaly swą siłę w czasie tropikalnych burz, uderzały jak taran, lecz gładko wypolerowana powierzchnia bariery bardzo powoli ulegała działaniu erozji. Trwała tam nieustanna walka pomiędzy wciąż rozrastającą się rafą a niszczycielskimi siłami przyrody.

Tomek oraz jego przyjaciele cały czas wolny spędzali na pokładzie. Wielka Rafa Koralowa, jako jedyny tego rodzaju twór na Ziemi, przyciągała ich jak magnes. Bentley nie skąpił im wyjaśnień. Według niego, niszczycielskie fale morza były mniej zgubne dla istnienia rafy niż ulewne deszcze, towarzyszące zazwyczaj cyklonom. Wtedy, bowiem całe potoki słodkiej wody, zabójczej dla koralu, wpływały z rzek do kanału między główną barierą i brzegiem. Twierdził także, iż najmniej dostępna właściwa zewnętrzna bariera jest zarazem najciekawsza. Wprawdzie powierzchnia jej była prawie całkowicie wymarła, ale ostro ściętą część od strony otwartego morza, o kilka metrów poniżej poziomu wody, zamieszkiwały całe zastępy morskich stworzeń. Mało jednak wiedziano o ich życiu, gdyż dostęp do rafy od strony otwartego morza napotykał ogromne trudności, nawet podczas najspokojniejszej pogody.

"Sita" bez przeszkód wciąż płynęła na północ. Dawno już minęła przesmyk w rafie zwany Whitsunday Passage, który umożliwiał dostęp do miasta Bowen; dalej na północy przepłynęła obok Przepustu Trójcy^[46] i w pobliżu małej grupy wysepek Osprey Reef nareszcie zaczęła się oddalać od zdradliwej rafy.

Odtąd Tomek większość czasu spędzał w kabinie nawigacyjnej. Ulubionym jego zajęciem było wpisywanie do dziennika pokładowego wszelkich wydarzeń, jakie zaszły podczas żeglugi. Oprócz czynności nawigacyjnych i pokładowych, w dzienniku notowano mijane statki, wyspy, przylądki, latarnie morskie, rozpoznane punkty wybrzeża, a Tomek, jako doskonały geograf, zawsze dodawał do nich własne, bardzo interesujące informacje. Kapitan Nowicki ze szczególnym upodobaniem odczytywał pouczające uwagi młodego przyjaciela, a ponieważ sam "nie przepadał za pisaniem", polecił Tomkowi prowadzić dziennik nawet podczas swojej wachty. Tomek nie narzekał na dodatkową pracę; monotonna nieraz wachtę urozmaicał sobie oznaczaniem położenia statku na mapie

szlaków morskich, która była jak gdyby negatywem zwykłej mapy, z morzami pełnymi znaków oraz napisów i pustymi, białymi lądami.

Tomek właśnie kończył wachtę. Określił już pozycję statku na mapie, wpisał ją do dziennika. W ciągu ostatniej godziny szybkość jachtu znacznie się zmniejszyła. Mimo to Tomek w doskonałym nastroju wyszedł na mostek kapitański. Za ledwie półtora dnia żegluga dzieliło ich jeszcze od Port Moresby, skąd lądem wyruszyć mieli w głąb tajemniczej wyspy.

Przystanął przy burcie. "Sita" wolno płynęła po otwartym morzu. Duże żagle prawie nieruchomo zwisały na masztach. Nie było w tym nic niepokojącego. W strefie równika znajdował się pas ciszy, w którym prądy powietrzne były ledwo wyczuwalne. Było coraz bardziej gorąco. "Przydałoby się trochę deszczu dla ochłody" – pomyślał Tomek. Z zadowoleniem stwierdził, że niebo od północno-wschodniej strony jakby trochę pociemniało. W strefie tej deszcze padały niemal codziennie w godzinach popołudniowych lub wieczornych. W tej chwili na pokładzie pojawił się Zbyszek Karski. Po trapie wszedł na mostek kapitański. Przystanął obok kuzyna.

– Ma rację mój ojciec mówiąc, że podróże kształcą człowieka – powiedział, wachlując się chusteczką. – Podczas lekcji geografii w szkole zastanawiałem się, dlaczego największe morze świata nazwano Oceanem Spokojnym. Olbrzymie przestrzenie wodne wydawały mi się ogromnie niebezpieczne. Tyle przecież słyszałem groźnych opowieści o tajfunach i cyklonach[47]. Tymczasem rzeczywistość rozwiała wszelkie wątpliwości. Olbrzymi Ocean Spokojny naprawdę "zachowuje się" spokojnie i nie budzi lęku.

Tomek roześmiał się i odparł wesoło:

– Tylko nie mów tego przy kapitanie Nowickim! Czy pamiętasz, jak nas zgromił za zachwyty nad pięknem raf koralowych? Nie jestem tak przesądny jak on, ale na morzu nie czuję się zbyt pewnie. Nazwę Ocean Spokojny nadał tym wodom Magellan[48], który podczas całej podróży po tym oceanie, trwającej trzy miesiące i dwadzieścia dni, nie napotkał ani jednej burzy. W strefie pasatu często zdarzają się dłuższe okresy dobrej pogody. Mimo to przeżyłem już cyklon na pełnym morzu.

– Nie mówiłeś mi o tym! Kiedy to było? – zapytał zaciekawiony Zbyszek.

– To był mój chrzest żeglarski podczas pierwszej wyprawy do Australii. Porządnie się wtedy wystraszyłem!

– Czy cyklon nagle was zaskoczył?

– Wypadki następowały po sobie dość szybko – wyjaśnił Tomek. – Najpierw na horyzoncie pojawiła się mała, czarna jak smoła chmurka. W powietrzu panowała dziwna cisza. Tylko powierzchnia morza zaczęła się marszczyć krótką falą. Wkrótce całe niebo pokryły ciemne chmury. Spadły pierwsze krople deszczu, po nich zaś ogromna ulewa. Zerwał się okropny wichur. Statek miotany na wszystkie strony trzeszczał cały, jakby miał się rozlecieć.

– Tomku, spójrz na horyzont! – przerwał mu zaniepokojony Zbyszek. – Niebo robi się

czarne, zupełnie tak samo, jak mówiłeś przed chwilą!

Przez jakiś czas Tomek badawczo wpatrywał się w niebo na północnym wschodzie. Trochę tylko ciemniejsze pasemko na horyzoncie, na które przedtem sam zwrócił uwagę, obecnie mocno poczerniało. Tomek zmarszczył czoło i pobiegł do kabiny nawigacyjnej. Niebawem pojawił się w drzwiach.

– Pędź, co tchu po kapitana! Ciśnienie gwałtownie spada! – zawołał.

Po dwóch lub trzech minutach Nowicki już wchodził po trapie na mostek kapitański. Widocznie został wyrwany z popołudniowej drzemki, gdyż idąc zapinał kurtkę.

– Barometr leci w dół, kapitanie – meldował podniecony Tomek. – Niech pan spojrzy na północny wschód!

Nowicki popatrzył w niebo, po czym wszedł do kabiny nawigacyjnej. Tomek wsunął się za nim. Stary morski wyga tylko zerknął na barometr, po czym zaraz pochylił się nad mapą.

– Czy to cyklon nadchodzi, kapitanie? – niespokojnie zapytał Tomek.

– Jak amen w pacierzu, możesz być tego pewny – odparł kapitan.

– Kto jest przy sterze?

– James Balmore...

– Zastąp go Ramasanem – rozkazał Nowicki. – Zarządź alarm! Wszyscy na pokład do zmiany żagli. Sztormowe[49] mają być na masztach, zanim cyklon w nas dmuchnie, zrozumiano?! Ja tymczasem zerknę przez lunetę. Gdzieś w pobliżu znajdują się wyspy koralowe. Warto by się schronić w jakiejś zacisznej lagunie.

Tomek wybiegł z kabiny. Ostre dźwięki gwizdka rozbrzmiały w południowej ciszy. Zaraz też cała załoga wyległa na pokład. Nowicki rozchmurzył się, słysząc energiczne rozkazy Tomka. “Sprawne chłopaczysko! – pomyślał. – Z czasem mianuję go moim zastępcą...”

Uzbrojony w potężną lunetę wyszedł na mostek. Długo przepatrywał horyzont; potem pochylił się nad otworem tuby akustycznej, by uprzedzić sternika o mających nastąpić manewrach i sprawdzić jego gotowość do ich wykonania.

– Halo, sternik! – zawołał.

– Ay, ay, sahibie[50] kapitanie, tu sterówka – padła odpowiedź. Nowicki zadowolony uśmiechnął się, Ramasan, bowiem był doskonałym marynarzem. Można było na nim polegać.

– Bądź w pogotowiu! Trzy obroty w lewo! – rozkazał.

– Ay, ay, sahibie kapitanie! Trzy obroty w lewo – jak echo odpowiedział Ramasan.

Nowicki znów przyłożył lunetę do oka. Donośne sygnały gwizdka wciąż rozbrzmiewały na pokładzie. Załoga pracowała w pocie czoła, gdyż gorący podmuch wiatru już marszczył

toń oceanu. Nim minęła godzina, żagle sztormowe łopotały na masztach. Kapitan co chwila pochylał się nad tubą akustyczną. Jacht sterowany wprawną dłonią pruł krótkie, jakby trochę gniewne fale. Oficerowie wraz z Bentleyem weszli na mostek kapitański. Nowicki z lunetą przy oku ustawicznie przepatrywał zachodnią stronę oceanu.

– Tomek mówił, że zamierzasz się skryć w zacisznej lagunie – zagadnął Smuga. – Czy już widać coś na horyzoncie?

– Na mapie zaznaczone są w tej okolicy wysepki koralowe, w których można znaleźć przystań w razie nagłej potrzeby – wyjaśnił Nowicki.

– Jak dotąd nic nie zauważyłem – wtrącił Tomek.

– Nie martw się brachu, fala wysoka, z daleka nie wypatrzysz wyspy nieznacznie tylko wystającej ponad wodę – pocieszył go Nowicki. – Gdy ją w końcu ujrzymy, w kilkanaście minut zwiniemy żagle.

Przez dłuższą chwilę stali w milczeniu. Czarne chmury coraz większym półksiężycem pokrywały niebo na północnym wschodzie. Porywisty wiatr, jako przednia straż cyklonu, uderzał w żagle "Sity", zwiększając teraz jej szybkość.

– Czy nie byłoby bezpieczniej zupełnie zwinąć żagle? – naiwnie zapytał zaniepokojony Bentley. – Cyklon może nas dopędzić, zanim zdążymy znaleźć jakąś przystań. Wtedy napór wiatru na żagle może przewrócić jacht.

– Bez żagli utracimy możliwość sterowania jachtem i niezawodnie roztrzaskamy się na rafach. Czy nie widzi pan, że cyklon mknie ze wschodu na zachód, czyli wprost na Wielką Rafę Koralową? Zaraz widać, że pan nie obeznany z morzem! – odparował Nowicki.

– Kapitanie, kapitanie! Jakież statki przed nami! – zawołał Tomek.

– Jakież statki, powiadasz? – odparł Nowicki. – Ano, to przyjrzyj im się przez lunetę!

– Może to jakaś flotylla zakotwiczona w lagunie? – pospiesznie tłumaczył Tomek. – Widzę jakby las masztów...

Umilkł, przyłożywszy lunetę do oka, owe maszty, bowiem przemieniły się we wspaniałą las tropikalny wyrastający wprost z oceanu.

– Wyspa! – krzyknął uradowany.

– Atol, brachu, atol i laguna, w której bezpiecznie przeczekamy burzę – dodał Nowicki. – Już przed chwilą spostrzegłem gołym okiem "koło ratunkowe" za burtą!

Kapitan trafnie użył przerośni, porównując wyspę koralową do okrętowego koła ratunkowego. Wyspy koralowe tworzyły się zazwyczaj tam, gdzie jakiś podmorski stożek wulkaniczny zamarł i przestał rosnać poniżej powierzchni morza. Na jego wygasłym wierzchołku osiedlały się drobne organizmy morskie o wapiennym szkielecie, a więc czerwone wodorosty i korale głębinowe. Wkrótce obumierały, ale ich szkielety służyły za podłoże dla nowych pokoleń. W ten sposób dookoła wierzchołka góry stopniowo narastał krąg białego wapienia. Gdy podmorska budowla zbliżała się do powierzchni oceanu,

wodorosty utrzymywały się już tylko na najdalszym jej obwodzie, natomiast miejsce koralu głębinowych zajmowały prawdziwe korale rafotwórcze, żyjące w zwartych koloniach o wspólnym pniu. Warunkiem ich rozwoju była styczność z wodą otwartego oceanu, bardzo słoną i mocno falującą. Z tego powodu tylko obwód kręgu rósł szybko w górę i wynurzał się ponad powierzchnię morza w postaci pierścienia ze stojącym jeziorem w środku. Później fale i wiatry nanosiły na brzeg nowej wyspy nasiona różnych roślin; biały pierścień atolu stawał się zielony. Z czasem zdobił go wieniec smukłych i giętkich palm kokosowych.

W tej wszakże niebezpiecznej chwili nikt nie zwrócił uwagi na trafne powiedzenie kapitana. Z mostka posypały się rozkazy, które natychmiast wprawiły w ruch całą załogę. Wilmowski w koszu na dziobie statku sondował ołowianką[51] głębokość wody, inni zrzucali żagle bądź czuwali przy kabestanie[52] gotowi do zrzucenia kotwicy po wejściu do laguny. Kapitan Nowicki wprawdzie kierował statek wprost ku przesmykowi w pierścieniu atolu. Był on dostatecznie szeroki, aby "Sita" mogła wpłynąć na spokojne wody laguny. Mimo to manewr był dość niebezpieczny z powodu wzburzonego oceanu. Toteż załoga błyskawicznie wypełniała wszelkie rozkazy i w napięciu śledziła coraz bliższe wybrzeże.

Z daleka wydawało się, że atol porośnięty jest bujnym lasem tropikalnym, lecz z bliska czarujący obraz uległ nieoczekiwanej zmianie. Całą roślinność wyspy stanowiły jedynie palmy kokosowe i rzadkie krzewy. Nigdzie nie było widać ludzkich sadyb.

"Sita" przemknęła przez przerwę w pierścieniu. Błyskawicznie zrzucona kotwica osadziła ją na miejscu. Ustało kołysanie, palmy, bowiem łagodziły uderzenia wiatru, a wąskie pasmo lądu odgradzało lagunę od wzburzonych fal. Kapitan Nowicki dopiero teraz odetchnął swobodnie. Czarne chmury pokryły już znaczną część nieba. Mimo pełni dnia zapadał zmrok. Północno-wschodni horyzont przybliżył się znacznie, gdyż czarne, ciężkie chmury jakby opadały wprost do oceanu. Nowicki doskonale wiedział, co to oznacza. Wraz z cyklonem nadciągała potężna ulewa, podczas której z nieba spadają całe potoki deszczu. Na szczęście jacht znajdował się już w bezpiecznej przystani.

W tej chwili na pokładzie "Sity" rozległy się okrzyki.

– Statek, drugi statek! – wołała załoga.

Wilmowski, Smuga, Tomek, a za nimi inni pobiegli na mostek kapitański.

– Nie jesteśmy tu sami, z lewej strony laguny stoi jakiś statek – wyjaśnił Wilmowski.

– Dwumasztowiec – dodał Tomek.

– Na pewno skrył się tutaj przed burzą, tak jak my – domyślała się Sally.

Nowicki trochę zły podniósł lunetę. Nie mógł sobie wybaczyć, że sam do tej pory nie zauważył statku zakotwiczonego w pobliżu wybrzeża. Za to obecnie ze zdwojoną uwagą przesunął okiem lunety po jego masztach, długo obserwował pokład.

– Dziwne! – rzekł opuszczając lunetę. – Na maszcie brak bandery, na pokładzie nie widać nikogo!

– Czy nie zdołałeś odczytać nazwy? – zapytał Smuga.

– Nie, na dziobie nie zauważyłem napisu – odparł Nowicki.

– Może coś tam się stało? – wtrącił Zbyszek Karski. – Czytałem o statku, którego załoga zastała dotknięta jakąś zarazą i wymarła z powodu braku pomocy.

– Bajki, młodzieńcze, przecież w takim wypadku wywiesiliby na maszcie żółtą flagę – powątpiewająco odpowiedział Nowicki.

– A może to statek opuszczony przez załogę? – snuła przypuszczenia Natasza.

– Statek bez załogi nie wpłynąłby sam do laguny i nie stanąłby na kotwicy – powiedział Smuga. – Poza tym, któż by się odważył osiedlić na bezludnej, jałowej wyspie?

– Święta racja, do stu zdechłych wielorybów – potaknął Nowicki.

– Gdzie jest statek, tam muszą być i ludzie! Tomek, daj znak raketnicą! Pospiesz się, tylko patrzeć, jak cyklon rozpocznie swój diabelski taniec!

Niebawem biała świetlna smuga oderwała się od pokładu “Sity” i wlokąc za sobą długi ogon zakreśliła w powietrzu szeroki łuk. Wszyscy bacznie obserwowali pozbawiony śladów życia statek. Sygnał raketowy nie znalazł żadnego oddźwięku.

– Cóż się tam mogło wydarzyć? – zdumiał się Nowicki. – Wygląda, jakby na tym statku naprawdę nie było żywego ducha!

Przez chwilę przypatrywał się statkowi, potem zlustrował pobliskie wybrzeże.

– Daj no lunetę, kapitanie – powiedział Smuga.

– Do licha, to jakiś tajemniczy statek – rzekł oddając lunetę. – Wydaje mi się, że jego dziób jest świeżo pomalowany. Nie podoba mi się ta sprawa...

– Musiało się tam wydarzyć coś niezwykłego – rzekł Wilmowski. – Może potrzebują pomocy...

Solidarność ludzi morza w obliczu niebezpieczeństwa natychmiast poderwała kapitana Nowickiego do czynu.

– Potrzebuję trzech ochotników – zwrócił się do załogi.

Z wyjątkiem dziewcząt wszyscy mężczyźni podnieśli dłonie.

– To moja sprawa, ja udam się na ten statek – powiedział Smuga.

– Za przeproszeniem, szanowny panie! Na lądzie pan jesteś kierownikiem wyprawy, lecz na “Sicie” decyzja należy do mnie – zaoponował Nowicki.

– Dobrze, więc zgłaszam się na ochotnika – odparł Smuga.

– Mam pewne powody, aby wybrać, kogo innego – stanowczo rzekł kapitan. – W tej chwili może być pan bardziej potrzebny tutaj. Mówiąc to spoglądał po twarzach stojącej przed nim załogi.

– Andrzej! – przemówił po chwili. – Weź pana Bentleya oraz pana Balmora i sprawdź, co się dzieje na tamtej krypie! Opuścić szalupę na wodę! Tylko Wilmowski zabierze broń!

– Zwariowałeś! – syknął Smuga wprost do ucha kapitanowi. – W razie niebezpieczeństwa ta trójka nic nie zdoła!

– Psst! – uciszył go Nowicki. – Właśnie o to mi chodzi!

Wkrótce duża łódź kołysała się na wodzie. Wilmowski ostatni postawił stopę na sztormpłacie. Wtedy Nowicki pochylił się ku niemu i cicho coś mówił. Po chwili Wilmowski skinął głową i szepnął:

– Słusznie postąpiłeś, już wiem, co mam robić!

– Spieszcie się, musicie zdążyć przed nadejściem burzy – głośno zawołał kapitan.

Bentley z Balmorem chwycili za wiosła, Wilmowski usiadł przy sterze. Łódź zaczęła się oddalać od jachtu. Tomek przybliżył się do Smugi.

– Dlaczego kapitan tak niegrzecznie obszedł się z panem? – zapytał. – Co za mucha go ugryzła?

– Miał do tego prawo – spokojnie wyjaśnił Smuga. – W każdym razie dał dowód, że potrafi logicznie myśleć.

– Nie rozumiem...

– Przygotować karabiny! – zakomenderował kapitan.

Trzech ochotników płynących w łodzi już nie usłyszało tego rozkazu. W milczeniu zbliżali się ku świecącemu pustką statkowi. Wiosłowali coraz szybciej. Mrok gęstniał z każdą chwilą, w dusznej atmosferze wyczuwało się ciszę przed nadciągającą nawałnicą. Wilmowski zapalił ślepą latarkę, gdy przybili do lewej burty statku. Ażurowa balustrada znajdowała się około trzech metrów nad powierzchnią wody. Wilmowski rzucił w górę hak z przymocowaną do niego liną. Za drugim rzutem hak zaczepił o burtę. Przy pomocy towarzyszy wspinał się po linie na pokład. W ślad za nim znaleźli się tam Bentley i Balmora. Umocowali łódź do relingu i podążyli za Wilmowskim, który już rozglądał się po pokładzie.

Naraz Wilmowski przystanął nad obszernym, wystającym ponad pokładem włazem, zamkniętym drewnianą pokrywą. Zdawało mu się, że słyszy stłumione głosy płynące z głębi statku.

– Unieście klapę, ja poświecę – szepnął do towarzyszy.

Z wysiłkiem dźwignęli jeden jej kraniec. Wilmowski wsunął w otwór rękę z latarką. W mdłym świetle zarysowały się ciemne sylwetki ludzi siedzących na podłodze. Nogi ich były zakute w grube i długie drewniane belki. Okropny zaduch powiał z mrocznej czeluści.

– Statek handlarzy niewolników! – cicho krzyknął Wilmowski, oszołomiony niespodziewanym odkryciem.

Cofnął się o krok, usiłując wydobyć rewolwer. Jego towarzysze nie mniej zaskoczeni wypuścili z dłoni klapę. Opadła z głuchym łoskotem. Nagle drzwi nadbudówki na dziobie statku gwałtownie się otwały. Ujrzeni uzbrojonych mężczyzn.

– Ręce do góry, jeśli wam życie mile! – groźnie krzyknął po angielsku barczysty olbrzym, mierząc do nich z rewolweru.

Bentley i Balmore odruchowo zastosowali się do rozkazu, natomiast Wilmowski odważnie postąpił kilka kroków do przodu i odparł wzburzonym głosem:

– Jestem oficerem statku płynącego pod angielską banderą. Jeśli choć włos spadnie nam z głowy, wszyscy zawieście na rejach! Nie wypłyniecie stąd, nasza załoga jest doskonale uzbrojona!

Olbrzym w czapce kapitana wolno zbliżał się do Wilmowskiego, mierząc rewolwerem prosto w jego pierś. Za nim kroczyło gromadką kilkunastu uzbrojonych drabów. Szli w milczeniu, przyczajeni do skoku. Wilmowski nie cofnął się przed nimi. Stał lekko pochylony do przodu. Nieznacznie zerknął ku “Sicie”. Na topie masztu płonęła latarnia. Nagłym ruchem wyszarpnął z kieszeni kurtki rewolwer i wypalił w górę. W tej samej chwili opadła go czereda wrogów.

– Piraci! – krzyknął Balmore tak przeraźliwie, że głos jego rozniósł się po całej lagunie.

Z “Sity” gruchnęła salwa karabinowa. Kule złowrogo świsnęły ponad pokładem pirackiego statku. Napastnicy powalili prawie nie stawiającego oporu Wilmowskiego. Teraz, kryjąc się za burtą, biegli do Balmore’a i Bentleya.

Przerażony Balmore przekonany był, iż wszyscy trzej zginą za chwilę. Wilmowski leżał pokonany, ku niemu wyciągały się zbrojne łapska piratów. W jakimś odruchu desperacji Balmore grzmotnął pięścią w twarz najbliższego napastnika, po czym błyskawicznie dobiegł do burty i jelenim skokiem zniknął za nią. Był doskonałym pływakiem, toteż wynurzył się na powierzchnię dopiero o kilkanaście metrów od statku handlarzy niewolników.

KAPITAN NOWICKI ATAKUJE

Skupiona na pokładzie załoga "Sity" usłyszała umówiony strzał ostrzegawczy Wilmowskiego i okrzyk Balmore'a. Na rozkaz Nowickiego gruchnęła salwa karabinowa w kierunku pirackiego statku. Oczywiście mierzono tak, aby kule przeleciały ponad pokładem. Kapitan Nowicki przez cały czas nie odejmował lunety od oka. Widoczność w półmroku nie była najlepsza, lecz mimo to ujrzał klęskę przyjaciół i desperacki skok Balmore'a do wody. Natychmiast polecił opuścić łódź.

Tomek, Smuga oraz dwóch marynarzy zasiedli do wiosł. Nowicki ujął ster, nie wypuszczając z ręki karabinu. Szybko zbliżyli się do uciekiniera. Kapitan pomógł mu wejść do łodzi, po czym bez przeszkód powrócili na jacht. W tej właśnie chwili spadły pierwsze krople deszczu. Porywisty dotąd wiatr nabral huraganowej siły. Deszcz przemienił się w ulewę. Strumienie wody spływały na rozkołysany pokład. Na szczęście pod osłoną atolu statkowi zakotwiczonemu w lagunie nie groziło zbyt wielkie niebezpieczeństwo. Nawałnica szalejąca w ciemności udaremniała również jakikolwiek atak ze strony piratów. Toteż kapitan Nowicki pozostawił na straży na pokładzie jedynie indyjskich marynarzy, sam zaś z resztą załogi udał się do mesy na naradę. Przede wszystkim Balmore dokładnie opowiedział przebieg wydarzeń. Wysłuchano go w skupieniu; gdy skończył, Nowicki rzekł:

– Ha, to już po raz drugi podczas naszych wypraw natknęliśmy się na handlarzy niewolników. Najpierw było to w Afryce. Pamiętasz, Tomku, tego zuchwalca Castanedo?

– Oczywiście, pamiętam! Stoczył pan z nim straszliwą walkę!

– Ho, ho, silne to było drabisko! Zapłacił głową za uprawianie niecnego procederu! Teraz nasza sytuacja jest gorsza. Oprócz nieszczęsnych niewolników piraci mają w swoim ręku dwóch naszych.

– Przecież przewidywałeś, że tam może czyhać jakieś niebezpieczeństwo! – zauważył Smuga.

– Ano, co tu wiele gadać! Ten niby opuszczony przez załogę statek od razu wydał mi się podejrzany – przyznał Nowicki.

– Wobec tego postąpił pan bardzo lekkomyślnie wysyłając mego ojca, który nie uznaje rozpraw z bronią w ręku nawet z przestępcami – wybuchnął Tomek. – W dodatku przydzielił mu pan Bentleya i Jamesa Balmore'a!

– Nie oskarżaj kapitana o lekkomyślność – zaoponował Smuga. – Moim zdaniem postąpił roztropnie. Nie był pewny, co się kryje na statku, który sprawiał wrażenie opuszczonego, toteż wysłał ludzi rozważnych, unikających stosowania siły. Wprawdzie popadli w opresję, ale teraz my właśnie mamy możliwość przyjść im z pomocą.

– Jak amen w pacierzu, tak myślałem! – potwierdził Nowicki. – Jeśli coś złego stanie się komuś z mojej załogi, piraci zapłacą swoim gardłem!

– Zastanów się, Tomku – ciągnął Smuga. – Oni mogli od razu zabić jeńców, wszakże nie uczynili tego. Nie strzelali nawet do uciekającego Balmore'a.

Tomek opuścił głowę i rzekł:

– Bardzo przepraszam... ale bardzo się niepokoję o ojca i pana Bentleya. Co teraz pocznjemy?

– Nie będziemy czekać z założonymi rękoma – pocieszył go Nowicki.

– Kto pierwszy atakuje, ten już w połowie wygrywa!

– Masz jakiś plan? – zapytał Smuga.

– Kiepskim byłbym kapitanem, gdybym go nie miał! – odparł Nowicki. – Mówiono mi w Rabaulu, że okręty brytyjskie często patrolują Cieśninę Torresa. Ci handlarze zapewne nie skryli się tutaj przed cyklonem! Prawdopodobnie ktoś deptał im po piętach.

– Może masz rację, słyszałem, że Anglicy ostro zabrali się do blackbirdingu. Zbrodnicza działalność blackbirderów przyczyniła się do wyludnienia wybrzeży zatoki Papua oraz samotnych wysepek archipelagu – powiedział Smuga.

– Co to znaczy blackbirding? – zapytała Natasza.

– Blackbirding, czyli polowanie na czarnego kosa, to po prostu łowy na krajowców nowogwinejskich. Przedsięwzięcie bardzo popłatne. Australijscy plantatorzy w Queensland obecnie płacą wysokie ceny za niewolników – wyjaśnił Smuga.

– Swego czasu głośno się o tym u nas mówiło – przyznał Stanford, preparator zabrany na wyprawę przez Bentleya. – Blackbirderzy, zwani również Sępami Oceanu Spokojnego, nieraz dorabiali się znacznego majątku na handlu niewolnikami. Teraz złote czasy skończyły się dla nich! Przechwycenie na gorącym uczynku grozi szubienicą! [\[53\]](#)

– Panie kapitanie, chyba nie pozostawimy nieszczęsnych krajowców w rękach piratów?! – zawołała Sally.

– Niełatwa sprawa – powątpiewająco powiedział Stanford. – Blackbirderzy przeważnie rekrutują się z różnego rodzaju awanturników, wykolejeńców, a nawet więźniów zbiegłych z zesłania na wysepki Oceanii, słowem z ludzi stojących poza prawem. Nie zawahają się przed niczym. Bez walki nie dadzą sobie wyrwać łupu!

– Ano, zobaczymy! – odparł Nowicki, groźnie marszcząc brwi. – Spełnię swój obowiązek!

– Jaki masz plan? – ponowił pytanie Smuga. – Jeśli zamierzasz uderzyć pierwszy, to cyklon szalejący w tej chwili jest naszym sprzymierzeńcem!

– Wprost czytasz pan w moich myślach! – rzekł kapitan Nowicki. – Postanowiłem unieruchomić statek piratów. Wtedy będą zmuszeni przyjąć nasze warunki.

– Więc chciałbyś uniknąć otwartej walki? – niedowierzająco zapytał Smuga. – Przypuszczałem, że zamierzasz w jakiś sposób uwolnić niewolników i razem z nimi uderzyć na piratów.

– Wtedy mielibyśmy liczebną przewagę – dodał Tomek. – Można by ich rozkuć,

korzystając z osłony burzy...

Nowicki westchnął ciężko. Jemu również uśmiechała się taka rozprawa z piratami, lecz tym razem, jako kapitan "Sity", osobiście ponosił odpowiedzialność za bezpieczeństwo własnej załogi. Otrząsnął się, jakby odganiał pokusę, i powiedział:

– Bardzo mnie swędzą łapska na tych drani, ale nie mogę narażać życia moich ludzi. Rozprawię się z piratami bez rozlewu krwi.

Smuga i Tomek oniemieli. Nowicki nigdy dotąd nie unikał otwartej walki. Toteż spodziewali się, że i obecnie zechce skorzystać z okazji. Widocznie zauważył ich zdumienie, ponieważ zaraz się usprawiedliwił:

– Mam na pokładzie dwie kobiety... Poza tym oswobodzenie niewolników nic by nam nie pomogło. Nie znają nas i na pewno nienawidzą białych. W jaki sposób mogliby się zorientować w walce, kto jest ich wrogiem, a kto sprzymierzeńcem? Musimy liczyć tylko na własne siły.

– Nie pomyślałem o tym! Ma pan rację, ojciec będzie dumny z pana! – z zapalem zawołał Tomek.

– Zgoda, na "Sicie" komenda należy do ciebie! Jak zamierzasz unieruchomić statek? – zapytał Smuga.

– Zniszczymy piratom urządzenia sterowe! – wyjaśnił Nowicki.

– Świetny pomysł! – pochwalił Tomek. – Ale jeśli czuwają, może dojść do starcia!

– Ha, wtedy wszyscy będziecie świadkami, że starałem się uniknąć walki – odpowiedział Nowicki z trudem tłumiąc radość, która ogarnęła go na samą myśl o możliwości bezpośredniej rozprawy.

– Może pan na mnie liczyć, kapitanie – poważnie powiedziała Natasza.

– Na nas wszystkich – dodała Sally. – Wkradnę się z panem na statek piratów. Będę stała na straży, podczas gdy pan...

– Nie gadaj głupstw, sikorko! – zgromił ją Nowicki. – Chwali ci się odwaga, ale to męska sprawa. Pan Smuga i Tomek będą moją osłoną. Kto z was pomoże mi zmajstrować ładunek wybuchowy?

– Ja! Robiłam już bomby dla moich towarzyszy w Rosji – zaofiarowała się Natasza.

– Dobrze, proszę do mojej kabiny. Gdy cyklon nieco sfolguje, musimy być gotowi do akcji.

Nim minęły dwie godziny, na koi kapitana leżała dość duża, ciężka paczka owinięta w nieprzemakalny brezent. Teraz Nowicki zwołał całą załogę do mesy. Trójka śmiazków ubrana była jedynie w ciemne obcisłe spodnie i koszule. Talie ich opinały mocno ściągnięte pasy z rewolwerami i myśliwskimi nożami.

– Podczas mojej nieobecności Ramasan obejmuje komendę na statku – krótko

oświadczył Nowicki. – Przekazuję ci moją czapkę kapitańską, ale... lepiej jej nie noś! Masz mniejszą łepetynę, więc wiatr mógłby splatać nam figła!

– Ay, ay, sahibie kapitanie! – odrzekł Indus.

– Już się przyzwyczailem do niej, leży jak ulał – ciągnął Nowicki. – Teraz słuchaj uważnie: jeśli na pirackiej balii gruchną strzały, a my nie powrócimy do świtu, natychmiast rozwinięsz żagle i jak najszybciej popłyniesz do Port Moresby. Tam złożysz odpowiedni meldunek gubernatorowi. On już będzie wiedział, co należy robić.

– Ay, ay, kapitanie!

Niedwuznaczne polecenia Nowickiego wywarły na załodze przygnębiające wrażenie, lecz on sam zupełnie się nie przejmował niebezpieczeństwem. Smuga i Tomek również mieli różne miny. Podczas kolacji Tomek wpałaszował swoją porcję i pocieszał wystraszone dziewczęta, które nawet nie tknęły jedzenia. Balmore wprost nie mógł oderwać wzroku od Tomka, gdyż odczuwał głęboki niepokój na samo wspomnienie groźnych postaci piratów...

Ramasan ze swoimi ludźmi objął wachtę na pokładzie. Reszta załogi oczekiwała poprawy warunków atmosferycznych. Dopiero na jakieś trzy godziny przed świtem wachtowy pokazał się w drzwiach.

– Sahibie kapitanie, wichura nieco słabnie! – zameldował.

– Szalupa gotowa? – zapytał Nowicki.

– Gotowa! Wyznaczyłem dwóch ludzi do wiosel!

– A więc w drogę! Idziemy na bosaka, może będziemy musieli trochę popływać – rzekł Nowicki powstając z fotela.

Po ciemku wyszli na pokład. Deszcz jeszcze zaciął, ale wiatr nie był już tak gwałtowny. Kapitan Nowicki wyniósł z kabiny dużą, ciężką paczkę i butelkę z zamkniętym w niej ultymatywnym pismem do piratów. Ostrożnie umieścił je w łodzi. Owinął się w pasie liną zakończoną hakiem, po czym siadł przy sterze. Tomek uścisnął Sally, która po cichu udzielała mu ostatnich przestroóg, i również zajął miejsce przy Smudze. Dwaj marynarze zsunęli się po linach do łodzi wtedy dopiero, gdy dotknęła powierzchni wody. Odbili od burty. Nowicki sterował łódź w kierunku wybrzeża. W milczeniu opływali lagunę. Tomek i Smuga pomagali marynarzom w wiosłowaniu, trzeba było bowiem uważać, aby wzburzone fale nie rozbiły łodzi o brzeg. Pot spływał po ich czołach, zanim ujrzeli ciemny kontur pirackiego statku. Na masztach ani na pokładzie nie było żadnych świateł. Wiatr i szum fal tłumili wszelkie odgłosy.

Kapitan Nowicki śmiało poprowadził łódź w pobliże dziobu statku, z prawej strony burty. W ten sposób znaleźli się pomiędzy statkiem i lądem. Łódź otarła się o łańcuch kotwiczny zwisający z kluzy[54]. Smuga i Tomek natychmiast uchwycili go rękami i przyciągnęli do niego swoją łódź. Nowicki przywiązał ją sznurem do łańcucha. Na migi wydał ostatnie rozkazy, po czym zręcznie zaczął się wspinać po łańcuchu kotwicznym. Po

chwili był już przy owalnym otworze, w którym zniknął łańcuch. Chwycił dłonią za krawędź kluzy, podciągnął całe ciało do góry. Teraz, przytrzymując się nogami, drugą ręką odpasał sznur z hakiem. Za pierwszym rzutem hak zaczepił się o burłę. Nowicki ostrożnie wspiął się na pokład i przycupnął obok burty. Uważnie rozejrzał się wokoło. Nikogo nie zauważył, więc zaczął się skradać ku odległej o kilka metrów sterówce. Statek uderzany w lewą burłę krótką falą lekko kołysał się na boki. Pokład śliski był od deszczu, który jeszcze nie przestał padać.

Nowicki powoli, ostrożnie dotarł do sterówki. Zajrzał do jej wnętrza. Zaledwie o wyciągnięcie ręki ktoś siedział na ławce. Opuszczona na piersi głowa okryta kapturem pozwalała się domyślić, że drzemie. Nowicki wydobył zza pasa rewolwer, ujął go za lufę. Wśliznął się do sterówki. Rękojeścią broni uderzył w pochyloną głowę; natychmiast przytrzymał bezwładnie osuwające się ciało. Wydobył z kieszeni sznur i knebel. Szybko ściągnął z wartownika kaptur oraz przeciwdeszczowy długi płaszcz. Wprawnie zakneblował mu usta, związał ręce i nogi. Teraz zarzucił go sobie na ramię i podążył ku dziobowi statku. Tam położył zemdłego przy burcie, po czym przywiązał do balustrady. Ubezpieczywszy się w ten sposób, podbiegł do przeciwnej burty. Trzykrotnie szarpnął liną zwisającą z końca haka zaczepionego o balustradę. Wkrótce na pokładzie pojawił się Smuga, a po nim Tomek. Zachowując największą ostrożność, wciągnęli na pokład ciężką paczkę.

– Wartownik związany, idziemy do sterówki – szepnął Nowicki.

– Nocna wachta kończy się o czwartej, teraz jest około trzeciej, mamy dość czasu – cicho rzekł Smuga.

– Oby tylko nikt nam nie przeszkodził... – mruknął Tomek.

Przenieśli paczkę do sterówki. Nowicki podał Tomkowi płaszcz i kaptur.[\[55\]](#)

– Załóż i udawaj wartownika – rozkazał. – Gdybyś zauważył coś podejrzanego, gwizdnij dwukrotnie!

Tomek nałożył ceratowy płaszcz, nasunął głęboko na czoło kaptur. Przystanął przy burcie, skąd mógł obserwować nadbudówkę na pokładzie. Co chwila zerkał ku sterówce. Właśnie błysnęło w niej nagle, żółtawe światelko. “Przygotowują ładunek” – pomyślał. Mimo woli wsunął prawą dłoń pod płaszcz. Dotknął rękojeści rewolweru... Na szczęście na całym statku panowała niczym nie zmacona nocna cisza. Słysząc było jedynie pomruki oddalającej się burzy, szum deszczu i fal. Tomek czujnie nasłuchiwał i rozglądał się dookoła. Za nadbudówką na pokładzie rysował się obszerny kontur włazu. Tomek przypomniał sobie relację Balmora’a. “Tam zapewne trzymają niewolników” – przemknęło mu przez myśl.

Postąpił kilka kroków w kierunku włazu. Naraz uzmysłowił sobie, że przez samowolny czyn mógłby obrócić wniwecz misterny plan kapitana. Z trudem pokonał pokusę. Czas wolno upływał... W końcu jakiś cień wyłonił się ze sterówki. Był to Smuga.

– Wycofujemy się. Nowicki zapala lont. Za minutę nastąpi wybuch... – szepnął.

Cicho przemknęli po prawej burcie i kolejno opuścili się do łodzi. Natychmiast odwiązali ją od łańcucha kotwicznego. Obydwaj Indusi siedzący przy wiosłach gotowi byli do odbicia od pirackiego statku. Nowicki tymczasem klęczał pochylony nad lontem. Podmuchy wiatru zgasiły mu przedwcześnie już trzecią zapalkę. Powietrze było bardzo wilgotne, deszcz wciąż jeszcze padał. “Do licha, lont gotów zgasnąć...” – pomyślał, zafrasowany niepowodzeniem.

Zaniechawszy prób z zapalkami, otworzył ślepą latarkę. Lont przytknięty do ognia najpierw zaskwierczał, potem żółtawy płomyk zaczął się snuć po nim. Nowicki zgasił latarkę i przypiął ją sobie do pasa. Jeszcze przez chwilę upewniał się, czy lont przypadkiem nie zgaśnie, po czym bez pośpiechu wyszedł na pokład. W pobliżu wejścia do nadbudówki postawił butelkę z zamkniętym w niej pismem. Zadowolony odetchnął pełną piersią. Za kilkadziesiąt sekund wybuch zniszczy urządzenie sterowe razem ze sterówką. Już przekładał jedną nogę przez balustradę, gdy naraz otworzyły się drzwi nadbudówki. W smudze żółtawego światła ujrzał wysokiego, barczystego mężczyznę wychodzącego na pokład. Nowicki natychmiast cofnął nogę.

Mężczyzna kroczył ku sterówce.

“Zmiana wachty” – domyślił się Nowicki i jak wąż już sunął ku intruzowi. Nie miał czasu do stracenia. Jeśli mężczyzna wejdzie do sterówki, może w ostatniej chwili zgasić lont. Wtem mężczyzna zawadził stopą o butelkę. Pochylił się po nią. Nowicki w mgnieniu oka dopadł go spod burty. Pięścią uderzył w głowę. Mężczyzna klęknął, lecz musiał posiadać niezwykłą siłę, gdyż zaraz poderwał się na nogi. Nowicki zadał mu cios w podbródek. Mężczyzna odchylił górną część ciała do tyłu, jakby padał, i nagle, zupełnie nieoczekiwanie, sam zaatakował. Po silnym uderzeniu między oczy Nowicki, nieco zamroczony, cofnął się o pół kroku; teraz wyrwał zza pasa rewolwer. Jak huragan zwałił się na przeciwnika. Tym razem potężne uderzenie ręką przchyliło szalę zwycięstwa na jego stronę. Nowicki zdawał sobie sprawę, że lada chwila nastąpi wybuch. Toteż porwał oszołomionego mężczyznę i podbiegł do burty, wspiał się na nią i skoczył... Podmuch towarzyszący detonacji na pokładzie odrzucił go od statku. Nowicki zniknął pod powierzchnią wody, ale mimo to nie wypuścił z rąk nieprzytomnego jeńca. Zaledwie wynurzył się z głębiny, lewą ręką chwycił go za kołnierz i zaczął płynąć w kierunku swojej szalupy.

Smuga i Tomek najpierw wciągnęli do łodzi odzyskującego przytomność jeńca, potem Nowickiego. Szybko odpłynęli od pirackiego statku, na którego pokładzie przerażone okrzyki już mieszały się ze słowami komendy. Spostrzeżono łódź odbijającą od burty. Padło kilka strzałów, niecelnych na szczęście, ciemność, bowiem uniemożliwiała trafienie w cel chybotący na falach.

– Dlaczego marudziłeś tak długo? – zapytał Smuga, krępując jeńcowi ręce. – Czy to on wlaź ci w paradę?

– A jakże, już przełaziłem przez burte, gdy wyszedł na pokład – wyjaśnił Nowicki. – Bałem się, że zgasi lont. Musiałem go unieszkodliwić.

– Po jakie лихо go zabrałeś? – przyganił Smuga. – Mogłeś sam zginąć!

– Gdybym go zostawił nieprzytomnego przy sterówce, poleciałyby razem z nią wprost do piekła – wyjaśnił Nowicki. – Wiąż pan mocno, to twarda sztuka! Rąbnął mnie pięścią wprost między oczy i ogłuszył... Pewno będę miał szpetnego siniaka na czole...

Słyszając to Smuga mocniej zaciskał węzły sznura. Nowicki był powszechnie znany z olbrzymiej siły, pierwszy lepszy nie mógłby mu wymierzyć ogłuszającego ciosu. Tomek i Smuga pospiesznie chwycili za wiosła. Łódź szybciej pomknęła wzdłuż wybrzeża. Piracki statek rozpląnął się w mroku. Teraz Nowicki bez obawy skierował łódź wprost ku "Sicie". Niebawem też zarysowała się jej ciemna sylwetka.

– Ahoy! Ahoy! [56] – zawołał.

– Ay, ay, kapitanie! Już zrzucamy liny! Czy wszystko w porządku?! – odkrzyknął Ramasan.

– W porządku!

Po kilku minutach uczestnicy wypadu wysiadali z łodzi. Kapitan rozwiązał nogi jeńcowi i pomógł mu wyjść na pokład.

– Przyświecić mi latarnią! – rozkazał.

Uważnie przyjrzał się barczystej postaci. Zewnętrzny wygląd pirata wcale nie był odpychający. Wprawdzie obecnie obrzucał załogę "Sity" ponurym spojrzeniem, ale mimo to od razu można było poznać, iż nie jest człowiekiem pozbawionym pewnej inteligencji. Nowicki skinął głową na marynarza i rozkazał:

– Ramasan! Odprowadzić jeńca do karceru i postawić zbrojną straż przed drzwiami. W razie próby ucieczki, kula w łeb.

– Chcę mówić z kapitanem tego statku, zanim kamraci zaczną hulać podczas mojej nieobecności – odezwał się pirat. – Uprzedzam, że później może już nie będziemy mieli, o czym rozmawiać!

– Chcesz mówić z kapitanem?! – zdumiał się Nowicki. – Dobrze, niech i tak będzie! Ramasan! Proszę podać moją czapkę!

Ruchem pełnym godności nałożył czapkę na głowę, po czym zmierzył pirata surowym spojrzeniem i zapytał:

– Kim jesteś, że domagasz się rozmowy z kapitanem?!

– Ukrywanie prawdy w tej sytuacji na nic by się nie zdało – odparł pirat. – Jestem kapitanem tamtego statku.

Oznaki poruszenia wśród załogi "Sity" zostały stłumione karcącym spojrzeniem kapitana Nowickiego, który pochylił się ku jeńcowi i zapytał:

– Jesteś kapitanem statku?! Od kiedy to herszt piratów ma prawo zwać się kapitanem, a balia, niezdolna do wypłynięcia w morze, statkiem?!

Twarz olbrzymiego pirata pokryła się rumieńcem gniewu. Nie zważając, iż ręce ma związane na plecach, postąpił o krok w kierunku Nowickiego i syknął:

– Zuchwalcze! Masz szczęście, że nie mogę ci wepchnąć twoich słów z powrotem do gardła! Ta balia, jak ośmieliłeś się nazwać mój statek, z łatwością wystrychnęła na dudka trzy ścigające ją brytyjskie korwety![\[57\]](#) Gdyby nie one, nigdy byśmy się tutaj nie spotkali.

– Ha, więc sam się przyznałeś, że byłeś ścigany przez brytyjskie okręty! – triumfująco podchwycił Nowicki. – Ja również płynę pod brytyjską banderą, więc wypełnię mój obowiązek! Odstawię cię...

– Nie rzucaj słów na wiatr! Później mógłbyś ich żałować! – przerwał mu pirat. – Los mój wiąże się z losem twoich ludzi uwięzionych na moim statku! W chwili porwania słyszałem wybuch na pokładzie. Moja załoga doprowadzona do ostateczności może poderżnąć gardła jeńcom. Dlatego we wspólnym interesie musimy się jak najprędzej porozumieć.

– Odpowiadasz głową za moich ludzi – ostrzegł Nowicki.

– Nie łudź się, nie znasz mojej załogi, kapitanie! Nie pożałują nikogo, wiedząc, że grozi im stryczek! Moja nieobecność może spowodować smutne dla nas wszystkich następstwa.

– Więc nie jesteś pewny swoich ludzi? – zdumiał się Nowicki.

– Niebezpiecznie jest odwracać się do nich plecami – dwuznacznie odparł pirat. – Dogadajmy się, zanim będzie za późno... Nie zaczepiałem was i nic do was nie mam. Rozejdźmy się tak, jakbyśmy się nie spotkali.

– Nie tak szybko, mój panie! To ja dyktuje warunki, nie ty! – zaproponował kapitan Nowicki. – Uszkodziliśmy urządzenia sterownicze na waszym statku. Jesteście unieruchomieni. Mam czas nawet popłynąć po pomoc. Wtedy wszyscy zawiśnecie na szubienicy. Gotów jestem jednak na małe ustępstwo. Zwróć mi moich dwóch ludzi i oddaj nieszczęsnych niewolników. Wtedy odpłynę stąd do Port Moresby i tam dopiero złożę odpowiedni meldunek o tym, co zaszło. Wybieraj i... spiesz się!

Pirat w milczeniu rozważał propozycję. Do lądu australijskiego było stąd niedaleko. Nawet w wypadku całkowitego unieruchomienia statku mógł tam dotrzeć w łodziach ratunkowych. Znajdował się w potrzasku, nie miał wyboru...

– Dobrze, przyjmuję te warunki – odezwał się po chwili namysłu. – Utraciłem statek, muszę więc również zakończyć polowanie na czarne kosy. Może spróbuję szczęścia jako poszukiwacz złota w Nowej Gwinei.[\[58\]](#)

– To uważaj dobrze, żebyśmy się tam nie zetknęli! Wtedy musielibyśmy dokończyć obrachunki – zagroził Nowicki.

– Nie miałbym nic przeciwko takiemu spotkaniu w dżungli – odparował pirat.

– Ja również, na gałęzi drzewa można tak samo zawiesić stryczek jak na rei – powiedział Nowicki.

PRZEWODNIK Z PLEMENIA MAFULU

W myśl zawartego układu kapitan Nowicki pozwolił hersztowi piratów powrócić na własny statek. O świcie szalupą samotnie popłynął ku swoim. Dopiero w cztery godziny później na maszcie unieruchomionego statku pojawiła się biała chorągiew. Był to umówiony znak, że handlarze niewolników przyjmują podyktowane im przez Nowickiego warunki.

Po burzliwej nocy nastał gorący, słoneczny dzień. "Sita" była już przygotowana do wyruszenia w drogę. Gdy tylko spostrzeżono białą chorągiew, natychmiast podniesiono kotwice. Nowicki wolno podpłynął do pirackiego statku. Nie zaniedbał koniecznych środków ostrożności: czuwał na mostku kapitańskim, nie odrywając lunety od oka, a reszta załogi, rozstawiona wzdłuż prawej burty, miała broń gotową do strzału. "Sita" znieruchomiała o kilkadziesiąt metrów od statku piratów. W tej właśnie chwili herszt bandy wyszedł na pokład. Nowicki uspokoił się, ujrzawszy tuż za nim Wilmowskiego i Bentleya. Nie byli skrupowani. Widocznie zostali powiadomieni o zawartym układzie, gdyż obydwoj powiewali chusteczkami w kierunku "Sity".

– Widzę naszych! – zawołał uradowany Nowicki. – Są cali i zdrowi! Dodajmy im ducha powitalną salwą!

– Mierzyć w górę! – zakomenderował Smuga. – Raz, dwa, trzy, ognia!

Grzmot palby i świst kul w powietrzu wywołały zamieszanie wśród piratów, lecz ostry rozkaz herszta natychmiast przywrócił porządek. Jedni zaczęli opuszczać łodzie, inni otworzyli właz wiodący do pomieszczenia, gdzie więzieni byli niewolnicy. Po jakimś czasie na pokładzie pojawili się Papuasi o cerze ciemnobrązowej, u niektórych nawet całkiem czarnej. Popędzani przez zbrojnych piratów, trwożliwie ustawiali się przy lewej burcie statku. Byli prawie nadzy, tak mężczyźni, jak i kobiety. Wystraszonym wzrokiem spoglądali na swych prześladowców.

Z pokładu opuszczono sznurową drabinę. Piraci brutalnie spychali niewolników do dwóch łodzi, które trzykrotnie podpływały do "Sity". Właśnie ostatnia grupa schodziła z pokładu, gdy młody Papuas wybiegi z nadbudówki i upadł tuż przed Wilmowskim. Jeden z piratów smagnął chłopca pejcem i chwycił dłonią za kędzierzawe włosy. Wtedy Wilmowski pięścią powalił pirata. Kilku innych natychmiast skoczyło kamratowi z pomocą. Nagle herszt swym potężnym ciałem zasłonił Wilmowskiego. W jego dłoni błysnął rewolwer. To ostudziło rozwścieczoną zgraję.

Z "Sity" padła ostrzegawcza salwa. Herszt piratów gniewnie coś tłumaczył Wilmowskiemu, zapewne chcąc zatrzymać młodego Papuasa. Wilmowski jednak nie ustępował. Zdecydowanym ruchem odtrącił dłoń herszta trzymającego niewolnika za kark i ostrożnie zaczął się wycofywać w kierunku lewej burty. Zdawało się, że walka znów wybuchnie na pirackim statku; olbrzymi herszt groźnie pochyłał się ku Wilmowskiemu.

Kapitan Nowicki szybko odłożył lunetę. Poderwał do ramienia karabin z optycznym celownikiem. Huknął strzał... Kula zdmuchnęła czapkę z głowy herszta piratów.

Wilmowski już bez przeszkód zszedł po drabince do łodzi.

Zaledwie w pół godziny później "Sita" wyszła z laguny na otwarte morze. Wtedy dopiero nastąpiły powitania i wyjaśnienia. Młody Papuas, o którego omal nie rozgorzała walka, budził zaciekawienie całej załogi. Według wyjaśnień Wilmowskiego, herszt piratów zrobił go swoim boyem[59] i wbrew obietnicy, iż odda wszystkich niewolników, nie chciał potem zwrócić mu wolności. Jedynie dzięki zdecydowanej postawie białych podróżników został zabrany na "Sitę". Obecnie były jeniec piratów nie przyłączył się do Papuasów zgrupowanych na dziobie statku. Ani na krok nie odstępował od swego obrońcy. Co chwila obejmował go ramionami i własnym nosem pocierał o jego nos. Widząc to kapitan Nowicki odezwał się:

– Popatrzcie, panowie! Niby dzikus, a umie okazać wdzięczność. Pocziwy to musi być chłopak, ale ma osobliwy sposób objawiania przyjaznych uczuć... Wdzięczny jestem losowi, że to nie ja go uratowałem!

Papuas widocznie znał kilka słów angielskich, gdyż domyśliwszy się, że o nim mowa, zawołał:

– Kanak[60] być dobry chłopiec! All right! Dobry master[61] bronić Kanak. Teraz boy służyć dobry master. All right!

Mowa, którą zrazu trudno było zrozumieć, szczególnie zaintrygowała Bentleya. Jeszcze na kilka miesięcy przed wyruszeniem na wyprawę zainteresował się językami nowogwinejskimi i wiedział, że poszczególne plemiona papuaskie, często nawet sąsiadujących ze sobą wsi, mówią odrębnymi językami. Poza tym w holenderskiej części Nowej Gwinei niektórzy krajowcy przyswoili sobie od malajskich myśliwych żargon malajski, natomiast w kolonii angielskiej, niemieckiej oraz na okolicznych wyspach językiem urzędowym, jakim tłumacze porozumiewali się z białymi kolonizatorami, był pidgin-english, czyli zniekształcony język angielski. Pidgin brzmiał dość zabawnie, była to, bowiem dziwacznie wymawiana angielszczyzna z końcówkami i składnią malajską. Papuasi nie mogli sobie przyswoić formy zaimka dzierżawczego, nie potrafili zapamiętać angielskich nazwisk, a ponadto zaznaczali zakończenie zdania, dorzucając do niego "all right", czyli "dobrze".

Bentley ucieszył się stwierdziwszy, że młody Nowogwinejczyk zna pidgin. Zaraz też odezwał się do niego naśladowując żargonowy język:

– Kanak nie być już boy. Ty wrócić do twoja wieś!

– Nie! nie! – zaproponował Papuas. – Wieś daleko, daleko. All right. Tylko biały ojciec tam trafić, ale zły duch wejść do wnętrzości należeć jemu i trząść mocno, mocno. All right. Biały ojciec umrzeć, Kanak zostać sam nad wielka woda, zły master znów złapać Kanak, jeśli Kanak znów nie być boy i nie mieć dobry master. All right. Moja dobry, mnóstwo dobry boy, moja umie gotować herbata i jajko. All right. Teraz moja być boy dobry master, dobry master bronić Kanak. All right.

Dla potwierdzenia swej wielkiej wdzięczności objął Wilmowskiego rękoma za kolana.

– Do stu zdechłych wielorybów, ależ to gaduła! – wtrącił kapitan Nowicki. – Czy zrozumiałeś pan coś z tej paplaniny?!

– A jakże, trochę znam pidgin – potwierdził Bentley. – Opowiedział swoją smutną historię. Był boyem jakiegoś misjonarza, z którym przywędrował z głębi wyspy na wybrzeże. Misjonarz umarł na malarię i wtedy biedny chłopak został porwany przez handlarzy niewolników. On chce być boyem pana Wilmowskiego, ponieważ sądzi, że to może zabezpieczyć go przed ponownym porwaniem. Zapewnia, że umie gotować herbatę i jajka.

– Nic dziwnego, że ten misjonarz przeniósł się na tamten świat, skoro żywił go tylko herbatą i jajami – rzekł dowcipny marynarz. – Cóż teraz pocniemy z tym uparciuchem?

– Słyszałem, że nowogwinejscy boye potrafią okazywać wdzięczność swoim chlebodawcom – powiedział Bentley. – Najlepiej zrobimy przekazując go gubernatorowi razem z innymi uwolnionymi.

– Czy pan nie mógłby go zapytać, z jakiego plemienia pochodzi? – nagle odezwał się Tomek.

– Słuszna uwaga – przytaknął Wilmowski. – Może będziemy wędrowali w pobliżu jego rodzinnych stron.

– On powiedział, że jego wieś znajduje się gdzieś daleko – wyjaśnił Bentley. – Prawdopodobnie nie orientuje się w kierunku. Nowogwinejczycy nie mają zwyczaju odbywać długich wędrówek.

– Spytaj go pan o nazwę plemienia, jak radzi Tomek – odezwał się Nowicki.

– Jak nazywać się twoja ludzie? – zwrócił się Bentley do Papuasa.

– Moja Mafulu – padła odpowiedź.

– Mafulu zamieszkują wyżynę Popole, dokąd wiedzie lądem pierwszy etap naszej wyprawy! – zawołał Tomek.

– Nie mylisz się, ten chłopak dobrze trafił! Możemy odprowadzić go do domu – przyznał Bentley.

Nieżwłocznie powiadomił o tym Papuasa, który zamiast spodziewanej radości okazał duży niepokój. Przysunął się do Wilmowskiego i cicho ostrzegł:

– Mnóstwo dobry master tam nie chodzić! Tam blisko, blisko za rzeką mieszkać Tawade. Oni mnóstwo źli ludzie. Oni kai-kai [\[62\]](#) człowieka...

– Czy on ma na myśli ludożerców? – zapytał Wilmowski.

– Tak przypuszczam – potwierdził Bentley.

– A zatem przestrzega nas przed niebezpieczeństwem – zauważył Tomek.

– Ten zuch może nam się przydać – powiedział Smuga. – Jeśli ma ochotę, niech idzie z nami.

Następnego ranka znów pojawiły się na niebie ciężkie, czarne chmury. Silny południowo-wschodni wiatr uderzył w żagle "Sity". Cała załoga czuwała w pogotowiu, gdyż jacht, dryfowany w kierunku płytkiej Cieśniny Torresa, usianej podwodnymi rafami, był narażony na niebezpieczeństwo. Tym razem jednak ośrodek cyklonu znajdował się bardziej na południe. Po kilku godzinach niebo znów się wypogodziło i Nowicki mógł wybrać właściwy kurs. Według dokonanych pomiarów burza zniosła ich nieco na zachód.

We wczesnych godzinach popołudniowych na horyzoncie wyłonił się ląd Nowej Gwinei. Poza wąskim skrawkiem płaskiego wybrzeża widniały poszarpane, ciemnozielone, potężne łańcuchy górskie. W dali, na tle jasnego błękitu nieba rysowała się najwyższa w Górach Owena Stanleya Góra Wiktorii[63], leżąca na północny wschód od Port Moresby [64].

Cała załoga "Sity" przebywała na pokładzie. Wszyscy chcieli się jak najprędzej przyjrzeć tajemniczej wyspie, lecz kapitan Nowicki nikomu nie pozwalał na beczynność. Przybrzeżna żegluga wcale nie należała do bezpiecznych. Jednostajny błękit krystalicznie czystej morskiej toni zakłócały żółte plamy rozległych mielizn. Pod powierzchnią wody sterczały wielkie głazy i podwodne rafy koralowe, wśród których często można było spostrzec wrzecionowate cielska rekinów. Wybrzeże zbliżało się coraz bardziej. Wzdłuż plaż o koralowym piasku, otoczonych wieńcem palm kokosowych, krajowcy żeglowali w pirogach z bocznymi pływakami. Na widnokregu coraz wyraźniej piętrzył się łańcuch gór porośniętych tropikalnym lasem. Sally i Natasza znajdowały się na mostku kapitańskim, skąd przez lunetę doskonale można było obserwować wybrzeże.

– Panie kapitanie! Widzę wioskę zbudowaną na palach na morzu – zawołała Sally. – Przy brzegu zakotwiczony jest jakiś oryginalny żagłowiec! Na nim odbywa się zabawa! Mężczyźni i kobiety tańczą.

– Kapitanie, cóż to za miejscowość? – zagadnął Wilmowski.

– To zapewne wieś Hanuabada, odległa o kilka mil od Port Moresby – wyjaśnił Nowicki.

– Słyszałem o niej od gubernatora – wtrącił Bentley. – Hanuabada wraz z sąsiednią wsią Elevada znane są na całym południowym wybrzeżu z doskonałych i cieszących się popytem wyrobów garncarskich.

– A ja myślałam, że to rybacy uczują z powodu udanego połowu – powiedziała Sally.

– Mieszkańcy tych wsi nie trudnią się zawodowo rybołówstwem – rzekł Bentley. – Kobiety wyrabiają garnki, natomiast mężczyźni odwożą ich produkty drogą morską nawet do dość odległych miejscowości. W tej właśnie porze zaczyna tutaj wiać południowo-wschodni monsun, toteż mężczyźni szykują się do wyruszenia w daleką drogę, trwającą nieraz około dwóch miesięcy. Kobiety zapewne żegnają tańcami młodych żeglarzy.

– Niejeden z nich znajdzie się w brzuchu żarłoczych rekinów! – dodał kapitan Nowicki. – W zatoce Papua często szaleją burze...

– Na pewno stanowią one poważne niebezpieczeństwo dla tak niezwykłych marynarzy

– powiedział Bentley. – Kapitan takiego statku nie kończy szkoły żeglarskiej. W odnajdywaniu właściwego kierunku posługuje się tylko instynktem lub po prostu płynie wzdłuż lądu.

– Przybliżmy się trochę do brzegu – poprosiła Natasza. – Żaglowiec jest tak oryginalny, że warto mu się przyjrzeć...

– Widziałem takie statki na ilustracjach – odezwał się James Balmore. – Zwą się lakatoi.

– Przecież ten statek wcale nie ma kadłuba! – zdumiał się Zbyszek.

– Bo też jest to raczej wielka pływająca tratwa – wyjaśnił Bentley. – Budowa jej jest bardzo prosta. Mianowicie kilkaset wyciosanych z pni drzewnych łodzi łączy się bokami po sześć lub dziesięć w rzędzie. Następnie napełnione garnkami i powiązane w rzędy łodzie ustawia się w długą kolumnę. Na tym pływającym rusztowaniu układa się podłogę z trzciny i bambusów, na której budowane są domki o bambusowych szkieletach, kryte z wierzchu matami. Na takim prowizorycznym pokładzie, zasłanym trawą, stawia się maszty do zawieszania dwóch olbrzymich żagli napiętych na ramy, upodabniających statek do przedpotopowego ptaka o dziwacznym skrzydłach.

– Czy w Hanuabadzie tylko kobiety trudnią się garncarstwem? – zapytał Wilmowski.

– Tak, to ich dziedziczny zawód – potwierdził Bentley. – Są też odpowiednio zorganizowane. Jedne specjalizują się w modelarstwie, inne w wypalaniu naczyń. Modelarki gołymi rękami nadają glinie pożądany kształt. Następnie druga grupa suszy garnki przez kilka dni w słońcu, a potem wypala je w popiele lub otoczone ogniem.

Podczas tej rozmowy “Sita” znacznie przybliżyła się do wybrzeża. Kilku Papuasów uwolnionych z rąk handlarzy niewolników zapewne pochodziło z tych stron, gdyż na jachcie rozbrzmiały gardłowe okrzyki radości. Na lakatoi i na brzegu zawrzało jak w ulu. Krajowcy zaczęli spychać z płaskiego, piaszczystego wybrzeża długie łodzie z bocznymi pływakami. Kilkunastu wpraw popłynęło w kierunku “Sity”. Kapitan Nowicki rad nierad polecił zrzucić żagle i stanąć na kotwicy. Rój łodzi płynących wpraw otoczył “Sitę”. Teraz już nikt nie potrafiłby powstrzymać Papuasów zgromadzonych na jej dziobie. Na wyścigi wspinali się na burtę i skakali do morza. Tylko jeden Mafulu pozostał na pokładzie, aczkolwiek i on spoglądał na ląd tęsknym wzrokiem. Tomek, wzruszony dowodem wdzięczności młodzieńca, który stale przebywał w pobliżu Wilmowskiego, podszedł do niego i zapytał:

– Dlaczego nie witasz swoich ziomków? Nie obawiaj się, będziesz mógł pójść z nami na wyprawę!

– Moja nie umieć pływać... – z zalem odparł Mafulu.

Tomek parsknął śmiechem i przyłączył się do reszty załogi zgromadzonej przy lewej burcie, skąd opuszczono drabinkę sznurową. Właśnie kilku krajowców wspinało się po niej na pokład. Uroczyście witali kapitana Nowickiego i dziękowali za uwolnienie swoich towarzyszy z rąk handlarzy niewolników. Zapraszali też do wzięcia udziału w zabawie, lecz

Nowicki odmówił, chcąc jeszcze tego dnia dotrzeć do Port Moresby. Zabawa, przerwana na lakatoi nieoczekiwanym powrotem niewolników, rozpoczęła się na nowo. Rozbrzmiała muzyka. Młode, roześmiane kobiety, ubrane jedynie w szeleszczące, sięgające kolan spódniczki z trawy, szybko tańczyły wokół muzykantów i śpiewały. Oryginalne tatuaże pokrywały ich brunatne piersi oraz ramiona, a wieńce z kwiatów i muszelek przystrajały głowy o krótkich, puszystych czarnych włosach. Mężczyźni, w barwnych przepaskach na biodrach i z kwiatami hibiskusa[65] wpiętymi w kędzierzawe włosy, ochoczo wybijali takt rękoma, włączali się do tańca.

Załoga "Sity" ciekawie przyglądała się z pokładu malowniczymu widowisku. Nie opodal znajdowała się wioska wzniesiona na palach ponad wodą zatoki. Drewniane domy posiadały otwarte platformy w rodzaju werandy, zbudowane przy frontowej ścianie, częściowo osłonięte od góry wystającym okapem dachu krytego trawą. Dotrzeć do nadwodnych domostw można było tylko w łodzi lub płynąc wpław. To właśnie najlepiej zabezpieczało mieszkańców wsi przed napadami wojowniczych górskich plemion z głębi wyspy, które żyjąc z dala od morza, nie znały sztuki pływania, a na dalsze wyprawy nie mogły zabierać z sobą ciężkich łodzi. Na skrawku płaskiego wybrzeża, widocznego na tle górskiej panoramy, również znajdowało się kilkanaście domów na palach. U ich stóp bawiły się gromady nagich dzieci. Naśladując starszych, puszczały na wodę miniaturowe bambusowe lakatoi, tańczyły i śpiewały. Zbyszek i Natasza zasmuceni spoglądali na rozśpiewane wybrzeże. Dręczyła ich tęsknota za najbliższymi, łaknęli widoku rodzinnych stron. Żywiołowa radość Papuasów jeszcze bardziej uzmysławiała im własną niedolę. Tomek i Sally zajęci sobą nie zwracali na nich uwagi, lecz Wilmowski wkrótce spostrzegł ich przygnębienie. Zbliżył się do młodej pary i zagadnął;

– Cóż wam się stało, moi drodzy? Dlaczego nagle straciliście humor?

Zbyszek drgnął, jakby zbudzono go ze snu.

– Rozmyślałem właśnie, dlaczego wszyscy ludzie nie mogą wieść tak beztrudnego życia jak mieszkańcy tej wyspy... – wyjaśnił, ciężko wzdychając.

– Tyle tu szczęścia i radości! Chętnie bym się osiedliła na jakiejś wysepce Pacyfiku – dodała Natasza.

– Doskonale was rozumiem, dawniej mnie również nawiedzały podobne pokusy – poważnie powiedział Wilmowski. – Egzotyczne wysepki Oceanu Spokojnego sprawiają na pierwszy rzut oka wrażenie legendarnego raj, w którym mieszkańcy wiodą prawdziwie sielski żywot. Zaciszne laguny, skąpane w słońcu plaże usiane smukłymi palmami, roztańczeni, rozśpiewani krajowcy z barwnymi kwiatami we włosach... Ponętny to, lecz jakże żłudny obraz!

– Wujku, przecież tutaj wszyscy naprawdę się weselą! – zaoponował Zbyszek.

– Akurat przed chwilą rozmawialiśmy na ten temat z panem Bentieyem, mój drogi chłopcze – odpowiedział Wilmowski. – Mieszkanki Hanuabady przez długie miesiące pracowały nad swymi rękodzielami. W tym czasie mężczyźni strzegli wsi przed napadami grabieżczych górskich plemion, zdobywali pożywienie. Dzisiaj kobiety żegnają zuchów,

którzy na kruchych lakatoi mają zawieźć ich produkty na odległe rynki zbytu. Niebezpieczna to droga... Nie wszyscy z niej powrócą. Burze mogą zmieść kogoś z pokładu tratwy, ktoś znęcony lepszym zarobkiem może przystać do poławiaczy pereł... Dlatego cała wieś bierze udział w pożegnaniu. Wszyscy jeszcze raz chcą się wspólnie weselić. Zaledwie jednak żagle lakatoi znikną na horyzoncie, w wiosce zagości smutek. Z nastaniem wieczoru kobiety będą się zamykały w swoich chatach.

– Może niełatwo jest żyć w górzystej, niedostępnej Nowej Gwinei – zauważyła Natasza. – Toteż chętnie bym zamieszkała na jakiejś małej, samotnej wysepce koralowej... Tęsknię za spokojnym życiem!

– Na wyspach koralowych warstwa gleby jest zazwyczaj bardzo cienka i zawiera małą ilość próchnicy. Rosną, więc na nich tylko palmy kokosowe oraz niektóre krzewy. Radziłbym już wybrać jakąś wysepkę pochodzenia kontynentalnego lub wulkanicznego. Dzięki tropikalnemu klimatowi oceanicznemu posiadają one znacznie bogatszą roślinność[66] – rzekł Wilmowski, przekornie uśmiechając się do czupurnej Nataszy. – Mam wszakże pewność, że i tam nie zaznałaby pani tak upragnionego spokoju.

– A to, dlaczego, jeśli wolno prosić o wyjaśnienie?

– Po pierwsze, dlatego, że tropikalny klimat Oceanii nie sprzyja osiedlaniu się Europejczyków. Po drugie wyspy Oceanii często pustoszone są przez cyklony i huragany, które, jeśli nawet pominiemy straty w ludziach i mieniu osobistym, prawie zawsze powodują głód. Pod wpływem wysokich fal palmy kokosowe i drzewa chlebowe, będące głównym pożywieniem krajowców, ulegają zniszczeniu bądź też tracą na kilka lat zdolność do owocowania. Toteż wyspiarze przeważnie głodują nawet i w latach nie nawiedzanych przez klęski żywiołowe. Nie chcę już przypominać o niszczycielskiej działalności wulkanów i trzęsień ziemi...

– Czy naprawdę aż tyle klęsk zagraża mieszkańcom Oceanii? – zdumiała się Natasza.

– Jeszcze nie skończyłem, droga pani – ciągnął Wilmowski. – Przez Oceanie przechodzą szlaki wodące z Ameryki do Azji i Australii. Z tego względu wyspy leżące na Oceanie Spokojnym posiadają znaczenie strategiczne. Od przeszło stu lat trwa walka o panowanie nad nimi. W połowie dziewiętnastego wieku współzawodniczyły w podbojach: Anglia, Francja i Hiszpania. U schyłku ubiegłego stulecia Niemcy zagarnęli szereg wysp Oceanii, wypierając Hiszpanów. Obecnie Stany Zjednoczone również zainteresowały się tymi obszarami.[67] Za misjonarzami wkrótce pojawiają się rozmaici handlarze-spekulanci poszukujący pereł, orzechów kokosowych, kopry, drzewa sandałowego i piór rajskich ptaków. Potem napływają garnizony wojskowe, biali gubernatorzy, plantatorzy, a wraz z nimi nie znane przedtem na tych wyspach choroby. Krajowcy zmuszani są do pracy na plantacjach, co sprawia, że ludności tubylczej ubywa z roku na rok. Tak naprawdę wygląda życie w owym egzotycznym raju Oceanii.

– Już nie zazdroszczę tej odrobiny radości biednym Papuasom – cicho powiedziała Natasza.

W tej chwili na lakatoi przerwano tańce. Nadeszła pora posiłku. Do “Sity” podpłynęła

łódź ze smakowicie pachnącymi pieczonymi rybami, jamsami i taro. Podróżnicy nie odmówili przyjęcia poczęstunku, lecz w zamian ofiarowali krajowcom trochę konserw mięsnych. Kapitan Nowicki niebawem dał rozkaz do wyruszenia w dalszą drogę. Jacht, żegnany przyjaznymi okrzykami krajowców, wolno odpłynął od Hanuabady.

U WRÓT NIEZNANEJ KRAINY

Słońce już chyliło się ku zachodowi. Na niebie, od horyzontu aż do zenitu, płonęła jakby przedziwna tęcza o barwie roztopionego bursztynu, złota i purpury, aż do delikatnych półcieni fioletu i zieleni. Czerwony odbłask padał na okoliczne pasma górskie porośnięte dżunglą oraz na równinę leżącą u ich stóp. Mogło się wydawać, że olbrzymia luna rozpościera się nad gorejącym wnętrzem tajemniczej wyspy. Tomek przysiadł na głazie na skalistym pagórku. Jak urzeczony nie mógł oderwać wzroku od wspaniałego i zarazem groźnego widoku. Zdawało mu się, że sama natura przestrzega ich przed zgłębianiem tajników zapomnianej przez ludzi Nowej Gwinei. Zaledwie wylądowali w Port Moresby, trudności zaczęły się piętrzyć niemal na każdym kroku. Wbrew poprzednim obietnicom i zachętom gubernator odradzał teraz podróż w głąb wyspy. Według nie sprawdzonych dotąd informacji, w kraju Fuyughe, w którym leżał okręg misyjny Mafulu, pierwszy na lądzie etap wyprawy, miała wybuchnąć wojna. Podobno rozpoczęli ją okrutni Tawade. Ziemi zamieszkiwane przez nich wciąż jeszcze stanowiły na mapie białą plamę. Nikt z białych ludzi nie zdołał przekroczyć ich granic. Gubernator nie mógł przydzielić wyprawie odpowiedniej eskorty wojskowej. Nieliczni patrolowi oficerowie brytyjscy kontrolowali jedynie niektóre przybrzeżne okręgi. Ze względów bezpieczeństwa krajowcom nie wolno było bez specjalnego zezwolenia przebywać w Port Moresby po zachodzie słońca.

Ostatecznie po wielodniowych pertraktacjach Bentley wyjednał od gubernatora odpowiednie zezwolenie. Przecież wyprawa była dość liczebna i doskonale uzbrojona. Na jej czele stali doświadczeni podróżnicy. Mimo to Smuga, jako oficjalny kierownik wyprawy, musiał złożyć pisemne zobowiązanie, że bez rzeczywistej, nagłej potrzeby nie będą wkraczali nocą do wiosek i koczowisk krajowców oraz zakładali własnych obozów w ich pobliżu. Zaledwie uporali się ze zdobyciem zezwolenia, natychmiast pojawiły się nowe kłopoty. Mianowicie wśród zamieszkałych wokół Port Moresby plemion Motuan nie można było zwerbować odpowiedniej liczby tragarzy. Krajowcy południowego wybrzeża bardzo się obawiali wojowniczych mieszkańców górskich regionów, którzy nieraz napadali na ich wioski, zabierali żywność oraz młode kobiety.

W przełamaniu obaw tubylców zupełnie nieoczekiwanie przyszedł z pomocą samozwańczy boy Wilmowskiego, oswobodzony z niewoli u piratów. Ain'u'Ku, czyli Słodki Kartofel, jak w języku Fuyughe[68] zwał się młody Mafulu, z zapalem opowiadał współziomkom o nadprzyrodzonej potędze swoich białych opiekunów. Wiara w czary i duchy była głęboko zakorzeniona wśród krajowców Nowej Gwinei, toteż wszędzie znajdował wielu chętnych słuchaczy. Dla nich było rzeczą oczywistą, że tylko czarownicy mogli bez walki zmusić piratów do oswobodzenia niewolników. Zapewne "biali masters" byli nawet duchami, skoro potrafili w czasie burzliwej nocy zjawić się niepostrzeżenie na statku pirackim i potem tak samo zniknąć, uprowadzając herszta. Według wierzeń zabobonnych krajowców, przyczyną wszystkich nieszczęść człowieka, chorób, a nawet śmierci zawsze były złe duchy oraz źli czarownicy. Dlatego też naiwny Ain'u'Ku przekonał ich wymowniej niż obietnice dobrego wynagrodzenia, że pod opieką przemożnych,

dobrych białych duchów nic złego stać się im nie może. Dzięki jego paplaninie około stu Papuasów wyraziło chęć towarzyszenia wyprawie w drodze do stacji misyjnej na wyżynie Popole.

Przysługa oddana przez Ain'u'Ku nie pozostała bez nagrody. Smuga mianował go boss-boyem, czyli kierownikiem tragarzy i pozwolił mu nosić karabin. Wprawdzie, nie chcąc ryzykować jakiegoś wypadku, nie dał mu nabojów, lecz mimo to Ain'u'Ku czuł się niezmiernie zaszczycony. Zaczął ślepo wykonywać wszelkie rozkazy białych masters, a czasem nawet przesadzał w gorliwości i posłuszeństwie.

Tomek, rozmyślając o sytuacji wyprawy, rozchmurzył się wspomniawszy poczciwego boya. Dzięki jego życzliwej pomocy łatwiej będą mogli zyskać zaufanie innych plemion w głębi wyspy. Pokrzepiony na duchu, znów spojrzął w rozplamione niebo. Tarcza słoneczna już prawie całkowicie zniknęła za krawędzią wysokich gór. Czerwonawa luna stała się znacznie bledsza. Ostatnie purpurowe promienie odbijały się na zachodzie od krańców ciemnych chmur, rzucając nikły odblask na wąską górską ścieżynę. Port Moresby, widoczny jeszcze w pełnym blasku dnia na wąskim skrawku płaskiego wybrzeża na południowym wschodzie, obecnie już zaginął w zamglonej dali. Jak zwykle w tych szerokościach geograficznych, wieczór zapadał nagle, prawie nie poprzedzony zmrokiem.

– Tomku...! Tomku...! Wracaj na kolację...! – rozbrzmiało w tej chwili zwielokrotnione przez echo wołanie Sally.

Dingo, który przywarował u stóp młodzieńca, zastrzygł uszami. Zaraz też zwinnym ruchem powstał na cztery łapy i szczeknął głucho, spoglądając na Tomka. Ten ocknął się z zadumy. Pogłaskał swego ulubieńca, po czym rażno odkrzyknął:

– Już idę...!

Powstał z głazu; poprzedzany przez Dinga pobiegł ścieżką w dół górskiego zbocza. Wkrótce znalazł się w kręgu rozbitych namiotów obozowiska. Jego towarzysze siedzieli naokoło ogniska, nad którym dymił kocioł z gorącą zupą. Tomek usiadł obok kapitana Nowickiego.

– Gdzież to szanowny pan przebywał tak długo? – zagadnęła Sally, stawiając przed nim blaszany talerz napełniony zupą.

– Byłem na wzgórzu. Podziwiałem wspaniały zachód słońca – wesoło odparł Tomek. – Purpurowy odblask sprawiał wrażenie, jakby olbrzymia luna unosiła się nad zachodnią częścią wyspy.

– Tylko patrzeć, jak zaczniesz gryzmolić wiersze – ironicznie zauważył kapitan Nowicki.

– Skąd taki nedorzeczny wniosek?! – oburzył się Tomek.

– Ano, brachu, najpierw człek staje się wrażliwy na piękno natury, potem ciężko wzdycha i spogląda ukradkiem na damę jak ciele na malowane wrota, a w końcu zaczyna gryzmolić wierszyki. Wszyscy zakochani młodzieńcy tak robią.

– Czy pan naprawdę sądzi, że Tommy jest zakochany? – filuternie podchwyciła Sally.

Tomek natychmiast pochylił się nad talerzem, by ukryć zmieszanie, a kapitan Nowicki ciągnął dalej:

– A jakże, ale nie tylko on jeden został ugodzony przez Amora. Spostrzegłem, że pan James Balmore często wpatruje się w księżyc i potem zamyślony wpisuje coś do notesu.

Balmore poczerwieniał i zakrztusił się gorącą zupą. Tomek tymczasem zdążył już ochłonąć z zakłopotania i rzekł:

– Co do mnie, trafił pan jak kulą w plot, kapitanie! Nigdy w życiu nie napisałem ani jednej linijki wiersza!

– To szkoda, brachu, wielka szkoda – odpowiedział Nowicki. – Miałyby twoje dzieci, co poczytać w przyszłości! Masz zręczną rękę do pisaniny. Sam z przyjemnością słuchałem twoich liścików, które smarowałeś do jednej australijskiej sikorki. Twoje raporty w dzienniku pokładowym również są bardzo składne. Niejeden mógłby się z nich dowiedzieć wielu ciekawych rzeczy o świecie. Moim zdaniem powinieneś wydać je drukiem.

– Świetny pomysł, drogi panie kapitanie! – zawtórowała Sally. – Posiadam pokaźny zbiór listów, które Tommy pisał do mnie z wszystkich swoich wypraw.

– Skończcie z tymi śmiesznymi pomysłami – rzekł Tomek, wzruszając ramionami. – Kogo by mogły zaciekawić moje listy pisane do ciebie?!

– Tak uważasz?! – oburzyła się Sally. – A więc dobrze, jeśli się na mnie nie pogniewasz, to mogę ci coś powiedzieć!

– Nie pogniewam się! – zapewnił Tomek.

– Dajesz słowo?

– Oczywiście!

– Było to jeszcze w szkolnym pensjonacie w Australii. Właśnie otrzymałam od ciebie list z Afryki, pisany w pociągu, w drodze z Nairobi nad Jezioro Wiktorii. Ze względu na późną porę, wieczorem mogłam przeczytać go tylko jeden raz. Opisy kraju były tak bardzo interesujące, że rano następnego dnia, na pierwszej lekcji, zaczęłam ukradkiem ponownie czytać list. Zajęta pasjonującą lekturą zapomniałam o rzeczywistości. Nagle ktoś wyciągnął mi list spod ławki. Oniemiałam ujrzawszy panią Carlton, nauczycielkę geografii, stojącą obok mnie z twoim listem w ręku. Z niemym wyrzutem w surowym wzroku nauczycielka powróciła do swego stolika i zaraz zaczęła czytać po cichu. Myślałam, że oberwę burę. Przez kwadrans trwała cisza. Potem nauczycielka zawołała mnie na środek klasy i zapytała, kim jest ów młody podróżnik. Odpowiedziałam...

Rezolutna Sally zarumieniła się i umilkła zmieszana, lecz po chwili znów mówiła dalej:

– No, mniejsza z tym co odpowiedziałam. W każdym razie pani Carlton życzyła mi wszystkiego najlepszego i poprosiła, abym tak interesujących opisów różnych krajów nie zachowywała dla samej siebie. Odtąd wszystkie twoje listy odczytywałam na głos na lekcji

geografii jako lekturę uzupełniającą. Pani Carlton zawsze twierdziła, że powinny być wydrukowane.

– A co, nie mówiłem? – triumfował kapitan Nowicki. – Brachu, jak amen w pacierzu masz pewny fach w ręku na stare lata!

Tomek mruknął coś pod nosem. Spod oka bacznie obserwował młodą przyjaciółkę, a tymczasem James Balmore odezwał się karcącym tonem:

– Mimo wszystko uczennice nie powinny się zajmować listami od chłopców na lekcjach.

– Zaraz widać, że dotąd nie otrzymywałeś miłych liścików – wtrąciła Natasza.

– To nie ma nic do rzeczy, podczas lekcji należy zajmować się nauką – upierał się James.

– Nie bądź pan taki skrupulatny, bo zapewne nie tylko o te lekcje panu chodzi... – wtrącił rozweselony Nowicki.

– Nie wszyscy mogą być idealnymi uczniami, panie Balmore – zauważył Bentley. – Zapewne każdy z nas czasem coś przeskrobał w szkole.

– Święta racja, ja na przykład lubiłem prztykać w ucho koleżków siedzących przede mną – przyznał się kapitan Nowicki. – Często też za to obrywałem od belfra po łapie linijką, bo kumple nie mieli odwagi odpłacić mi tym samym!

– Tak, tak, kapitan był niezłym ziółkiem – rzeki Wilmowski, który niegdyś razem z Nowickim uczęszczał do tej samej szkoły. – Trzeba jednak przyznać, że zawsze stawał w obronie słabszych kolegów.

– Mama mówiła, że Tomek miał w szkole u nauczycieli opinię niespokojnego ducha – odezwał się Zbyszek Karski. – Nienawidził rusofilów i zawsze płatał im jakieś kawały. Ale uczył się doskonale!

– Gdybym była chłopcem, chciałabym być tylko taka jak on! – porywczo powiedziała Sally.

– I ja także! – dodała Natasza.

– Czas zająć się pracami obozowymi – przerwał pogawędkę Smuga. – Potem wszyscy kładą się spać, skoro świt ruszamy w drogę. Jutrzejszy odcinek marszu będzie bardziej męczący.

– A jakże, górzyska już wyrastają przed nami – westchnął kapitan Nowicki.

– Tomku, wieczorem straż należy do ciebie – polecił Smuga. – Od dwunastej moja kolej, o drugiej zastąpi mnie kapitan, który robi pobudkę o wschodzie słońca.

– Czy nie uważasz pan, że powinno się zaprawiać młodzież do służby obozowej? – zapytał Nowicki. – Wszyscy muszą nauczyć się pełnienia wachty. Może by tak, na przykład, Sally trochę poćwiczyła z Tomkiem?

Smuga zdziwiony spojrział na marynarza, który porozumiewawczo mrugnął do niego. Poweselał, domyśliwszy się intencji przyjaciela, i odparł:

– Słuszna uwaga, kapitanie, o ile oczywiście Sally ma na to ochotę i nie jest zbyt zmęczona!

– Mogłabym nawet zaraz wyruszyć w dalszą drogę – zawołała uradowana panienka. – Chętnie będę czuwać z Tommym!

– Dobrze, ale najpóźniej za dwie godziny masz pomaszerować do łóżka – dodał Smuga.

Według zapewnień Benlleya, potwierdzonych przez Ain'u'Ku, w Nowej Gwinei po zapadnięciu ciemności białym podróżnikom nie zagrażało niebezpieczeństwo napadu ze strony wojowniczych krajowców. Nadzwyczaj przesądni Papuasi wystrzegali się opuszczania swych chat w nocy; wierzyli, że dżungla staje się wówczas siedliskiem różnych duchów. Tych zaś obawiali się nade wszystko. Dzięki temu zabobonowi wieczorna służba wartownicza polegała tutaj głównie na nadzorowaniu prac obozowych. Sumienny w wykonywaniu swych obowiązków Tomek nie mógł nic zarzucić Zbyszkowi, który po trzech dniach marszu, oprócz zajęć intendenta, objął również funkcję oboźnego. Wieczne porcje żywności zostały już wszystkim wydzielone, a skrzynie z prowiantem i inne bagaże, odpowiednio posegregowane, ułożone były w jednym miejscu w należyтым porządku.

Tomek i Sally zajrzeli z kolei do namiotów. Każdy biały uczestnik wyprawy miał w nich przydzielone miejsce do spania. Tomek stwierdził z zadowoleniem, że nie zaniedbano wstawienia nóg polowych łóżek do blaszanych puszek po konserwach napełnionych wodą, co dość skutecznie zapobiegało włożeniu robactwa do pościeli. Moskitiery nad łózkami również były szczelnie dopięte. Ze względu na to, że w górzystych okolicach Nowej Gwinei noce bywały chłodne, w różnych punktach obozu zgromadzono zapasy chrustu, by można było podsycać nim ogniska aż do świtu.

– Będzie ze Zbyszka pociecha! – pochwalił Tomek, ukończywszy przegląd.

– On jest bardzo ambitny! Wzorowo wykonuje swoją pracę – powiedziała Sally. – Powinieneś zwracać uwagę, aby się zbyt nie przemęczał. Nie odzyskał jeszcze pełni sił po ciężkich przeżyciach na Syberii.

– Pamiętam o tym, Sally, pamiętam – rzekł Tomek. – Rozmawialiśmy na ten temat z ojcem. On jest zdania, że trudy wyprawy zahartują Zbyszka.

– Twój kochany tatuś zawsze myśli o wszystkich – powiedziała Sally.

Tak gawędząc przystanęli przed kręgiem rozżarzonych ognisk, przy których papuascy tragarze mieli spędzić noc pod gołym niebem. Krajowcy właśnie kończyli wieczorny posiłek. Byli wdobrym nastroju, jak zwykle po sutym jedzeniu. Cała świnia, podarowana im przez Smugę, została po upieczeniu sprawiedliwie podzielona na równe porcje. Niektórzy jeszcze wygrzebywali z popiołu zaimprovizowanego na oczekaniu "pieca" słodkie kartofle i jedli je, popijając wodą z liści zwiniętych w różki. Inni żuli betel[69], zbiorowo palili fajki bądź też leżąc wkoło ognisk drapali się po głowie bambusowymi grzebykami, podobnymi do zakrzywionych widełek. W gronie Papuasów rej wodził młody

boss-boy, Ain'u'Ku. Obecnie, ubrany w przydługą dla niego koszulę Tomka opuszczoną aż za kolana, gardłowym głosem głośno coś opowiadał. Spora grupka Papuasów słuchała go w skupieniu, gdyż w kraju, gdzie wszyscy chodzą nago, ubiór dodaje człowiekowi godności. Toteż dumny Ain'u'Ku co chwila zerkał na rozpiętą na piersiach koszulę i nie wypuszczał z dłoni swego nie nabitego karabinu. Naraz któryś z krajowców zanucił melancholijną pieśń. Kilkanaście innych głosów zaraz podchwyciło melodię. Papuasi powstali z ziemi i rozpoczęli tańce wokół ognisk. Wśród leniwie unoszących się niebieskawych dymów ciemnobrązowe, nagie postacie krajowców sprawiały wrażenie rozkołysanych fantastycznych cieni.

Sally, zaniepokojona, przyglądała się widowisku. Od chwili wyruszenia z Port Moresby wieczorne posiłki krajowców kończyły się tańcami, które trwały aż do późnej nocy. Po chwili zagadnęła swego towarzysza:

– Tommy, obawiam się, że nasi tragarze wkrótce zupełnie opadną z sił. Przecież oni prawie wcale nie wypoczywają po forsownych marszach.

– Czy martwią cię ich tańce? – zapytał Tomek.

– O nie właśnie mi chodzi...

Tomek uśmiechnął się i odparł:

– Nie kłopotz się tym! Gdy krajowcy mają ochotę na tańce, jest to najlepszym dowodem, że są najedzeni i weseli. Dobry to znak dla nas. Przecież obawialiśmy się, że jutro odmówią wyruszenia w dalszą drogę. Wkraczamy już na tereny nie kontrolowane dotąd przez rządowych oficerów patrolowych.

– To zapewne, dlatego pan Smuga polecił dać im całą świnie na kolację? – domyśliła się Sally.

– Tak, moja droga! Mięso jest dla nich prawdziwym przysmakiem. W Nowej Gwinei prawie wcale nie ma większej zwierzyny. Dlatego też Papuasi, jako wegetarianie z konieczności, nie odznaczają się okazałą budową fizyczną. Ich codzienny pokarm stanowią słodkie kartofle, taro, dzika fasola, kukurydza i ogórki, korzenie krzewów, trzcina cukrowa, banany, migdały pandami[70], a czasem w dni świąteczne jamsy. Wioskowe świnie zabijają jedynie na niezwykle uroczystości. Niekiedy poszczęści się jakiemuś myśliwemu – ustrzeli papugę, dzikiego gołębia lub rajskiego ptaka. Czasem upoluje małego niedźwiedzia z odmiany oposów, kazuara lub dzikiego odyńca, ale na tym koniec.

– Któż to udzielił ci tak wyczerpujących informacji? – zdumiała się Sally.

– Wczoraj wieczorem w namiocie przysłuchiwałem się długiej dyskusji ojca z panem Bentleyem. Wiesz, że ojciec zbiera materiały naukowe.

– Oczywiście, pamiętam o tym! Gdy opowiada o różnych krajach, mogłabym przez całą noc nawet nie zmrużyć oka.

– Ja również, ale teraz przypomnij sobie polecenie pana Smugi. Czas iść do łóżka. Jutro czeka nas uciążliwy marsz.

– Tommy, pozwól mi zostać jeszcze troszeczkę, dobrze?

– Ale tylko krótką chwilę. Spójrz, księżyc już wschodzi!

Zza krawędzi górskiego łańcucha właśnie wychylił się rąbek tarczy księżyca w pełni. Jak olbrzymia, czerwono-półkująca kula wolno wypływał na mleczno-szare niebo. Gdzieś w dolinie, wśród pagórków porośniętych dzunglą, rozlegało się przeciągłe wycie. Echo niosło je od zbocza do zbocza, aż nowe coraz to bardziej oddalone skowoty przyłączyły się do niego. Sally, trochę zalekniona, mimo woli przysunęła się bliżej do Tomka. Opiekuńczo otoczył ją ramieniem i rzeki:

– Nie bój się, to psy nowogwinejskie wyją do księżyca...

– Psy...? Dzikie psy...? – niedowierzająco szepnęła Sally. – Tommy, a może to naprawdę jakieś nieznane stwory nawołują się nocą w pobliskiej dzungli?

Tomek cicho się roześmiał.

– Zapomnij o naiwnych opowieściach zabobonnych krajowców! – odparł. – Być może dzungle nowogwinejskie kryją niejedną tajemnicę, lecz z całą pewnością nie spotkamy w nich potworów czy duchów. Te ponurawe głosy w dali są jedynie wyciem psów hodowanych przez krajowców.

– Naprawdę...?

– Możesz mi wierzyć – zapewnił Tomek. Pewien podróżnik opowiadał panu Bentleyowi, że w okolicach Merauke[71] słyszał w księżycowe noce wycie domowych psów, które przez cały czas towarzyszyło księżycowi w jego wędrówce ze wschodu na zachód. Nowogwinejskie psy wyróżniają się właśnie tym, że nie potrafią szczekać i wyją tylko przy wschodzie księżyca.

– Tommy, szczekanie australijskich dingo również przechodzi w jakiś nieprzyjemny skowyt – zauważyła Sally już całkowicie uspokojona.

– Nie zostało dotąd stwierdzone, czy tutejsze psy są spokrewnione z australijskimi dingo. W każdym bądź razie przybyły na Nową Gwineę razem z ludźmi i nie zerwały więzi z człowiekiem, zaś australijski dingo żyje obecnie w stanie dzikim. W tej chwili ciche skomlenie rozległo się u ich stóp. Sally zaraz pochyliła się, by pogłaskać swego ulubieńca, i powiedziała:

– Kochane psisko myślało, że o nim rozmawiamy.

Dingo w odpowiedzi otarł się łbem o jej nogi i szczeknął, spoglądając na Tomka.

– Dobre psisko przypomina, że jego pani powinna już od dawna być w łóżku – rzekł Tomek. – Dobranoc, Sally!

– Dobranoc, Tommy! Dingo, odprowadź mnie do “domu”!

– Dingo, pilnuj pani, żeby nie przyśniły się jej jakieś złe duchy dzungli – zażartował Tomek, głaszcząc psa po głowie.

Sally i Dingo zniknęli w namiocie. Tomek przysiadł na głazie; powiódł wzrokiem po obozowisku. W namiotach pogasły światła. Jego towarzysze już spali. Krajowcy także z wolna się uciszali. Kończyli śpiewy i tańce. Jeden po drugim kładli się wokół ognisk i zasypiali. Nie był to jednak sen zbyt długi ani głęboki. Co pewien czas któryś z nich podnosił się, dorzucał parę gałęzi do ogniska, gdyż noce na tych wysokościach były dość chłodne. Tomek spoglądał w ciemną dal. Na jaśniejszym tle nieba wyraźnie rysowały się grzbiety górskich pasm. Na dolinę leżącą u ich stóp opadała szara mgła. Już nikt nie śpiewał w obozie. Wokół rozbrzmiewała przenikliwa, monotonna pieśń nocnych świerszczy.

TCHNIENIE DŻUNGLI

Zaledwie noc poszarzała, kapitan Nowicki urządził pobudkę. Ranek był mglisty i chłodny. Cała dolina zasnuta mgłą sprawiała wrażenie równiny pokrytej śniegiem. Po niebie przepływały niskie, kłębiaste chmury. Podróżnicy z zapalem przystąpili do zwijania obozu, ponieważ chłód i wilgoć wszystkim dawały się we znaki. Krajowcy zziębnięci skupiali się przy ogniskach i osuszali swe nagie ciała z nocnej rosy. Jednocześnie piekli w popiele słodkie kartofle, które wraz z surową wodą, pitą z liści zwiniętych w rożki, stanowiły ich śniadanie. Po skromnym posiłku zakurzyli oryginalne fajki i po pociągnięciu z nich kilka razy dymu gotowi byli do drogi.

Wkrótce chmury rozpięchły się, powoli zniknęły w dali. Słońce nabierało mocy, rozpraszało mgłę. W obozie powstało trochę zamieszania, jak zwykle przy rozdziale pakunków. Każdy z tragarzy chciał nieść najlżejszy i najwygodniejszy dla siebie bagaż, ale energiczny Smuga oraz gorliwy w pełnieniu obowiązków Ain'u'Ku szybko zażegnali wszystkie spory. Karawana rozpoczęła marsz.

Dziki trakt początkowo wiódł wyżynną równiną, porośniętą grubą, wysoką, ostroliśną trawą kunai, sięgającą pieszemu, wysokiemu człowiekowi aż do szyi. Wielka trawiasta równina przypominała żółtozielone morze o nieruchomej w bezwietrzną pogodę toni, ponad którą wystrzelały gdzieniegdzie kępy smukłych drzew eukaliptusowych, niczym na australijskich stepach. Wędrowni przez sawannę, porosłą tak wysoką trawą, że na ogólnicy krajowcy wcale nie byli w niej widoczni, zmusiła Smugę do zachowania szczególnych środków ostrożności. Wchodzili w kraj nie kontrolowany przez patrole, a trawa kunai stwarzała warunki sprzyjające urządzaniu zasadzek. Wszak gubernator w Port Moresby mówił, że grad dzid i pierzastych zatrutych strzał z łuków padał nieraz na podróżników z na pozór bezludnej sawanny. Toteż Smuga prowadził karawanę ubezpieczonym szykiem. Razem z Tomkiem i Dingiem wysunął się o kilkadziesiąt metrów przed maszerującą kolumnę. Obydwaj zwiadowcy bacznie obserwowali zachowanie psa, który podczas poprzednich wypraw niejednokrotnie ostrzegał ich przed niebezpieczeństwem. Sami również rozglądali się na wszystkie strony; co pewien czas jeden z nich wspinał się na barki drugiego i przez lunetę lustrował okolicę. Właściwe czoło karawany stanowił Wilmowski z Bentleyem; za nimi w niewielkiej odległości szły dziewczęta ze Zbyszkiem Karskim i Jamesem Balmore'em; następnie gęsiego kroczył długi wąż tragarzy, na samym zaś końcu kapitan Nowicki oraz dwaj preparatorzy – Stanibrd i Wallace. W tym szyku karawana wędrowała kilka godzin.

Około południa równina zaczęła się stawać coraz bardziej falista. Południowe nizinne sawanny częściej ustępowały miejsca lesistym pagórkom, które wkrótce przemieniły się w biegnące w różnych kierunkach odnogi głównego łańcucha górskiego, stanowiącego jakby kręgosłup wyspy. Potężny, równy jego masyw piętrzył się w dali na horyzoncie, urozmaicony pojedynczymi olbrzymimi szczytami, rysującymi się na tle rozjarzonego słońcem nieba niczym jakieś dawne zamczyska obronne. Smuga ciekawie przyglądał się górskiemu krajobrazowi. W pewnej chwili zwrócił się do Tomka:

– Mina zrzędzie naszemu kapitanowi... Niezbyt to zachęcający widok dla niego.

– Góry wszystkim dadzą się we znaki – odrzekł młodzieniec. – Zanim jednak dojdziemy do nich, czeka nas wędrówka przez dżunglę. Przed chwilą przypatrywałem się jej przez lunetę.

– Masz rację, w tym kraju nie można narzekać na monotonię.

– Właśnie rozmyślałem o tym dzisiaj rano – powiedział Tomek. – Mieliśmy dobrą okazję przyjrzenia się wyspie najpierw z morza, a teraz oglądamy jej wnętrze.

– Zatrzymajmy się na tym wzgórzu i poczekajmy na czoło karawany – zaproponował Smuga. – Mamy nieco czasu, proszę, więc, powiedz, jakie poczyniłeś obserwacje? Ciekaw jestem, czy pokrywają się z moimi.

– Doskonale! Na ostatnim postoju zapisałem w podręcznym notatniku pewne uwagi na temat topografii Nowej Gwinei.

Tomek przysiadł na kamieniu; wydobyl notes z kieszeni bluzy i zaczął czytać:

“Obydwa krańce południowego wybrzeża wyspy posiadają urwiste, mokre brzegi, kryjące kraj falisty, porośnięty trawą kunai i rzadko rozrzuconymi drzewami. Idąc od południowo-wschodniego krańca wyspy w kierunku zachodnim, w niżej położonych regionach znajdujemy palmy kokosowe i przepiękny busz. Jeszcze dalej za nimi leżą rozległe mokradła, w które wdzierają się wielkie rzeki, umożliwiające dostęp w głąb bagnistych okolic. Z południowo-wschodniego wybrzeża w głąb wyspy na północny zachód wiodą równinne bądź faliste sawanny, porośnięte zdradliwą trawą kunai oraz kępami dzikich drzew owocowych i eukaliptusowych. Z wolna przemieniają się one w kraj coraz bardziej pofałdowany i giną w dolinach u stóp pasm górskich, będących odgałęzieniami głównego łańcucha, zalegające wzdłuż całej wyspy ze wschodu na zachód. Stoki górskie i doliny porasta tropikalna dżungla.”

– Poczyniłeś bardzo trafne spostrzeżenia, Tomku – pochwalił Smuga. – Całkowicie zgadzam się z nimi. Notuj dalej wszystko jak najdokładniej, wchodzimy przecież w kraj w ogóle nieznanany.

– Będę to miał na uwadze, proszę pana – odparł młodzieniec. – Oto już zbliżają się nasi.

– Czy wszystko w porządku, Janie?! – zawołał zaniepokojony Wilmowski, pospiesznie wysforowując się z Bentleyem nieco do przodu.

– Jak do tej pory, tak! – odpowiedział Smuga. – Przed nami dżungla. Teraz musimy iść bardziej zwartą kolumną.

Jeszcze przez jakiś czas karawana wędrowała szeroką doliną, zanim kępki eukaliptusów ustąpiły miejsca jakby kolumnadom drzew o jasno ubarwionych pniach, o odcieniu czerwonym lub żółtym. Był to już przedsionek dżungli, która niebawem ukazała się w całej okazałości. Natasza, Zbyszek i James Balmore, którzy dopiero po raz pierwszy znaleźli się w prawdziwym lesie tropikalnym, zamilkli oszołomieni, a nawet nieco zaleknieni jego ogromem i nie oczekiwanym przez nich wyglądem. Wyobrażali sobie

dżunglę jako niezwykle trudny do przebycia, wiecznie mroczny gąszcz drzew, krzewów oraz różnych pnączy. Tymczasem w rzeczywistości drzewa o rzadkich rozgałęzieniach i skąpo ulistnionych koronach przeważnie przepuszczały dostateczną ilość światła. Nawet w miejscach, gdzie liany spleły wierzchołki wysokich drzew, promienie słoneczne, odbijając się od grubych, skórzastych, lśniących liści, rozjaśniały dżunglę cienkimi smugami świetlnymi i migotliwymi odbłyskami.

Wbrew mniemaniu młodych przyjaciół Tomka dżungla nie przedstawiała jednolitego widoku ani ubarwienia. Ponad wierzchołki niższych drzew wystrzelały w górę prawdziwe leśne olbrzymy, tworzące niepokojący obraz. Korony rozmaitych drzew, rosnących obok siebie, zadziwiała różnorodnością kształtu; jedne były stożkowate, inne zaokrąglone bądź też szerokie lub wąskie. Pnie poszczególnych drzew, o właściwym sobie jasnym kolorze, ostro odcinały się na tle ciemnej zieleni runa. W tropikalnym lesie prawie wszystko nabierało niezwykłych, monumentalnych cech. Drzewa rzadko wrastały w ziemię korzeniami palowymi. Aby jednak mogły się skutecznie oprzeć gwałtownym wichrom, szeroko rozpościerały szponowate korzenie prawie na powierzchni ziemi, często wypuszczały z góry swych pni tak zwane korzenie przybyszowe, które rosnąc w dół podpierały drzewo, a niekiedy przekształcały się w korzenie deskowe i tworzyły potężne, pionowo sterczące fałdy, stanowiące dogodny kryjówkę dla zwierząt i ludzi.

Różne liany [72], które w strefie umiarkowanej zazwyczaj należą do roślin zielnych, tutaj, dzięki dostatecznej ilości światła oraz wilgoci, stawały się w większości drzewiastymi pnączami. Wiły się wokół drzew, ich gałęzi, wieńczyły i łączyły w górze korony, oplatały zdrewniałe źdźbła bambusów, osiagających wysokość kilkudziesięciu metrów. Pędy lian, nieraz o grubości olbrzymiego węża, wyglądały jak potężne, skrócone liny bądź też były spłaszczone jak pasy i pofałdowane. Niektóre dławiły, morderczymi uściskami swe podpory, obumierające od wierzchołka. [73]

Światło i wilgoć sprzyjały rozwojowi wielu porośli, czyli epifitów. Pewne gatunki glonów, porostów i mchów rosły wprost na ziemi, inne natomiast zadomowiły się na grubych, poziomych gałęziach słabo ulistnionych drzew, w szczelinach kory oraz w zagłębieniach lian. Oprócz samożywnych roślin zarodnikowych osiedlały się na drzewach także pewne rośliny naczyniowe – paprotniki i kwiatowe. Dzięki nim dżungla przybierała wygląd wielkiej oranżerii i napełniała się ciężkim, aromatycznym zapachem kwiatów, które zwisały z drzew niczym jaskrawożółte lub czerwone festony. Szczególny zachwyt młodych podróżników wywoływał widok różnobarwnych storczyków, wychylających się z zieleni.

– Cóż za przepiękne orchidee! – zawołała Sally, przystając przed zwisającym konarem.
– Tomku, zerwij dla mnie, choć jeden kwiat!

Młodzieniec wszakże gwałtownie odepchnął ją na bok i zanim zdążyła zorientować się w sytuacji, uderzeniem kolby sztucera zmiażdżył łeb zielono-żółtemu wężowi drzewnemu.

Sally trochę przybladła, ale zaraz zapanowała nad sobą i powiedziała:

– Och, Tommy! Niepotrzebnie go zabiłeś, on chyba nie jest jadowity!

– Masz rację, ale to był odruch – odparł Tomek. – Od czasu twego zaginięcia w australijskim buszu nienawidzę węży. Obawialiśmy się wtedy, czy przypadkiem nie zostałaś ukąszona przez jakiegoś jadowitego gada.

– Więc wciąż o tym pamiętasz?! – ucieszyła się Sally i zaraz uściskała przyjaciela.

– Nasz wierny Dingo również ucierpiał od jadowitego węża w Afryce. Prawdopodobnie ocalił mi życie – dodał Tomek.

Starsi uśmiechali się, słuchając tej rozmowy, a gromada Papuasów obstąpiła obydwój młodych, wydając głośne okrzyki radości. Przedsiębiorczy Ain'u'Ku powstrzymał tragarzy i nie mniej uradowany od nich włożył jeszcze drgającego węża do swej podręcznej plecionki z zapasami żywności.

– Młody master dobre oko, prędką ręką, all right – powiedział zadowolony. – Moja upiecze wąż wieczorem. Moja mieć dobre jedzenie, all right.

– Tomku, czy on naprawdę zamierza zjeść to paskudztwo?! – niedowierzająco zapytał Zbyszek.

Zanim Tomek zdążył odpowiedzieć, rozbrzmiał tubalny głos kapitana Nowickiego, który właśnie nadszedł z tylną strażą:

– A cóż w tym takiego dziwnego? Murzyni w Afryce również wcinają węże. To dla nich wielki rarytas! Swego czasu nawet sam skosztowałem jedno dzwonko. Mięso było białe i smakowało jak węgorz.

– Chyba pan żartuje?! – oburzył się James Balmore. – Cywilizowany człowiek nie jadłby czegoś podobnego!

– Widocznie nasz kapitan jest dzikusem – z humorem odparował Tomek. – Podczas wypraw nabrał osobliwych upodobań do wyszukanych potraw. Na przykład w Chotanie, w Turkiestanie Chińskim, nawet delektował się cukrzonymi pijawkami, które podrzucałem mu na talerz jako zakąskę.

– Dobry miałeś wtedy pomysł, brachu – przyznał kapitan. – Dzięki temu wygrałem na uczcie pojedynków na kieliszki ze znajomkiem Pandita Davasarmana, bo pijawki, jako wodne stworzenia, wciąż pobudzały moje pragnienie.

– Ha, przy tak niewybrednym smaku można nie zaznać głodu nawet w dżungli, która zazwyczaj nie obfituje w jadalną zwierzynę. Natomiast pełno tu rozmaitych owadów, pajaków, krocionogów, ogromnych dżdżownic, węży i jaszczurek – z udaną powagą wtrącił Bentley.

– Jeszcze nie próbowałem tych smakołyków, ale kto wie, co uczynię, gdy głód mnie przycisnie – odpowiedział Nowicki.

– W drogę, panowie, w drogę! – ponaglił Smuga. – Niedługo wieczór, musimy znaleźć odpowiednie miejsce na rozłożenie obozu.

Obfite, gęste i wysokie runo utrudniało wędrówkę przez dżunglę. Jak zwykle w

widniejszych lasach, przeważały paprocie o pionowo ułożonych pióropuszcach liści oraz często kilkumetrowej wysokości paprocie drzewiaste z wielkimi koronami, wsparte na korzeniach przybyszowych. Rosły tam również bambusy, różne gatunki ukośnie o jaskrawych, dziwacznych liściach i inne nie znane naszym podróżnikom rośliny o pstrych ogonkach liściowych, obsypane kwieciem lub barwnymi owocami.

Teraz na przedzie karawany kroczyło dwóch krajowców z długimi, ciężkimi nożami. Gdy zachodziła potrzeba, torowali nimi drogę wśród ciernistych drzew z rodziny pandanowatych, których pnie jeżyły się ostrymi kolcami. Szczególnie boleśnie zetknięcie z nimi odczuwali nadzy krajowcy. Ponadto ich bose stopy ustawicznie były narażone na ataki różnego rodzaju robactwa, wżerającego się w skórę pomiędzy palcami nóg.

Kilku godzinne przedzieranie się przez tropikalny las wyczerpywało siły podróżników. Toteż coraz częściej potykali się o porośnięte mchem korzenie drzew i kamienie, z trudem omijali zwalone przez czas lub burze pnie drzew, które pod dotknięciem stopy rozsypywały się w pył dzięki niszczycielskiej działalności różnych grzybów i owadów. Już nie cieszył ich widok różaneczników o śnieżnobiałych kielichach i krwistoczerwonych kwiatach. Głośne wrzaski papug wydawały im się szyderczym śmiechem z bezradności człowieka wobec groźnej potęgi bezmiernej puszczy tropikalnej.

Smuga nie zważał nawet na wyczerpanie dziewcząt i stale przynaglał do szybszego marszu. W tych szerokościach geograficznych, po za zwyczaj słonecznym ranku, około południa następowało pogorszenie pogody. Popołudniowe deszcze padały tu przez cały rok nadzwyczaj regularnie, z tą jedynie różnicą, że w porze deszczowej trwały dłużej, w suchej krócej. Poprzez korony leśnych olbrzymów widać już było na niebie kłębiaste, ciemne chmury. Smuga chciał rozłożyć obóz jeszcze przed deszczem; dla wszystkich konieczny był dłuższy wypoczynek. Toteż gdy natrafili na pagórek, na którym rosło tylko jedno potężne drzewo o nisko rozgałęzionych konarach i rozłożystej koronie, dał hasło do zatrzymania się na noc.

Biali podróżnicy natychmiast przystąpili do rozbijania namiotów w pobliżu drzewa, podczas gdy krajowcy wycinali krzewy i w przewidywaniu burzy budowali dla siebie prowizoryczne szałas z gałęzi. Rozpalono ogień. Zanim dziewczęta pobrały prowiant na wieczór, pierwsze krople deszczu zaszumiały na twardych liściach olbrzyma. Błyskawica rozdarła czarne chmury, daleki grzmot przetoczył się po okolicznych górach. Na ziemię spadły całe potoki deszczu. Ognisko zgasło. Mężczyźni umacniali linki namiotów, zabezpieczali ładunek wyprawy. Ostre słowa komend Smugi z trudem utrzymywały, jaki taki ład, ale porywisty wiatr wciąż wyrządzał nowe szkody. Niebawem wszyscy do nitki przemokli. Strumienie wody szumiały u stóp pagórka. Drzewa w dżungli pochylały się pod uderzeniami wichury, trzeszczały złowieszczo. Wiatr wył w lesie i napełniał go tajemniczymi odgłosami.

– Wszyscy do namiotów – krzyknął Smuga widząc, że i tak nie zdołają zapobiec pewnym szkodom, gdyż tropikalna burza stawała się coraz gwałtowniejsza.

Wtem oślepiająca błyskawica rozplómiła niebo tuż nad wzgórzem. Rozległ się ogłuszający huk. Ognista kula uderzyła w samotne, olbrzymie drzewo. Stuletni olbrzym w

jednej chwili rozbłysnął płomieniami jak fajerwerk. Okrzyki trwogi rozbrzmiały w całym obozowisku; z rozszczepionego przez uderzenie piorunu starego pnia drzewa posypały się wokół na pagórek płonące jak żagwie odłamki gałęzi oraz ludzkie czaszki i kości. Niesamowite wydarzenie podczas gwałtownej burzy wywarło na wszystkich wstrząsające wrażenie. W świetle błyskawic obóz sprawiał wrażenie rozgrzebanego cmentarzyska. Wystraszone dziewczęta ukryły twarze na piersi Wilmowskiego, który akurat znajdował się obok nich; James Balmore pobladł, jakby miał zemdleć, a Zbyszek Karski i inni byli nie mniej oszołomieni bliskością uderzenia piorunu oraz padającymi na nich szczątkami ludzkimi. Smuga nie stracił przytomności umysłu. Natychmiast zdał sobie sprawę, że niezwykle wypadek szczególnie przerazi zabobonnych krajowców. Toteż zaledwie zorientował się, że jego towarzyszący nie przydarzyło się nic złego, zaraz zawołał donośnie, przekrzykując szum wichru i deszczu:

– Nowicki i Tomek do mnie, reszta do namiotów!

– Do stu zdechłych wielorybów! – klął Nowicki. – Cóż to za diabelski pomysł rzucać w człowieka łepetyną umarlaka jak piłką?!

– Przeraziłem się w pierwszej chwili – dodał Tomek, ciężko oddychając, wiatr bowiem zapierał dech w piersiach. – Cóż pan tak ściska pod pachą?!

Nowicki podsunął druhowi przed oczy ludzką czaszkę i wyjaśnił:

– Uderzyło mnie to prosto w ramię!

– Makabryczny podarek... – mruknął Tomek, nieufnie zerkając na rozorany, dymiący pień drzewa.

– Musimy uspokoić krajowców – zawołał Smuga. – Zapewne się przestraszyli... Możemy mieć jutro kłopoty.

Minęło sporo czasu, zanim trójka przyjaciół znalazła się w namiocie, gdzie ich towarzysze przygotowywali wieczorny posiłek.

– Czy nasi tragarze są bardzo przerażeni? – zapytał wchodzących Wilmowski.

– A jakże, uderzenie piorunu akurat w to drzewo, na którym mieszkańcy tych stron składali zwłoki zmarłych, wzięli za ostrzeżenie dane im przez duchy przodków – odparł Smuga.

– Wszyscy przerażiliśmy się nie na żarty – zauważył Balmore.

– To był naprawdę okropny widok! – zawołała Natasza.

– Po raz pierwszy w życiu bałam się naprawdę – wyznała Sally.

– Będziemy musieli pełnić wartę przez całą noc – rzekł Bentley. – Znaleźlibyśmy się w trudnym położeniu, gdyby tragarze uciekli.

– Już raz nam się tak przydarzyło w Afryce – zauważył Tomek, zdejmując mokrą koszulę. – Na szczęście tutejsi krajowcy boją się w nocy wędrować przez dżunglę.

– Święta racja – powtórzył Nowicki. – Zaszli się w szałasach jak susły w norach. W nocy nie zrobią nam psikusa.

– Jestem tego samego zdania, w nocy nie uciekną, a nad ranem musimy jakoś dodać im odwagi – powiedział Smuga, – Oni są bardzo zabobonni...

TAJEMNE “MOCE”

Burza ucichła wieczorem. Na bezchmurnym niebie zajaśniał księżyc. Świerszcze rozpoczęły swą monotonną pieśń. Podróżnicy przystąpili do porządkowania obozu. Najpierw zebrali strząśnięte z drzewa ludzkie kości i złożyli je w wykopanym dole. Następnie zabezpieczyli przed wilgocią bagaże, a w końcu rozwiesili na sznurach własne przemoknięte ubrania. Późną nocą wszyscy, z wyjątkiem straży, udali się na spoczynek.

Smuga obawiał się, że niefortunne uderzenie piorunu może przysporzyć im kłopotów z krajowcami. Toteż w towarzystwie Nowickiego i Tomka postanowił czuwać aż do świtu. Właśnie w tej chwili powrócił z Dingiem z obchodu. Przysiadł przy ognisku obok przyjaciół. Zamyślony, nabijał fajkę tytoniem.

– Wyniuchałeś pan coś nowego? – półszepem zagadnął Nowicki.

– W każdym razie nic dobrego dla nas – odparł Smuga. – Od czasu do czasu tragarze po kilku skupiają się przy ogniskach, niby to dla pociągnięcia dymu z fajki, lecz gdy nie widzą nikogo z nas w pobliżu, naradzają się po cichu.

– Masz pan rację, po tej szeptaninie mogą się postawić okoniem. Niepotrzebnie rozbiliśmy obóz pod tym drzewem-grobowcem.

– Jak mogliśmy odgadnąć, że są na nim szczątki zamieszkałych niegdyś w tej okolicy ludzi? – odezwał się Tomek. – Nasi tragarze również o tym nie wiedzieli. Trudno przeglądać wszystkie drzewa w dżungli przed zatrzymaniem się na wypoczynek.

– Brachu, czy przypominasz sobie pogrzeb Czarnej Błyskawicy w Meksyku? Indiańcy również pochowali go na drzewie – rzekł Nowicki.

– Słuszna uwaga, kapitanie! Wśród pierwotnych ludów zwyczaj składania zwłok na drzewach był szeroko rozpowszechniony.

– Aż mnie lichy bierze, gdy pomyślę, że przez wiele miesięcy leżały sobie te kości spokojnie na drzewie, a właśnie dzisiaj musiały zlecieć nam na łepetyny – zżymał się Nowicki. – Chyba jakiś czort nasłał tę burzę!

– Drogi kapitanie, tak samo właśnie rozumują nasi tragarze – powiedział Tomek i cicho roześmiał się rozweselony.

Smuga również się uśmiechnął, albowiem dobroduszny marynarz był nieco przesądny. Wypuścił kłęb niebieskawego dymu z fajeczki i zapytał:

– Czas płynie, Tomku. Czy wymyśliłeś już jakieś “czary” dla naszych tragarzy?

– Mam pewien pomysł – odparł Tomek, uśmiechając się szelmowsko.

– Cóż to za sztuczka? – zaciekawiał się marynarz.

– Wolnego, kapitanie, wolnego! – zaoponował Tomek. – Czarownicy nie zwykli zdradzać wszystkich swoich sekretów!

– Ręka mnie świerzbi na tego chłopaka – zniecierpliwił się Nowicki.

Smuga rozweselił się na dobre, gdyż doskonale znał słabostki Nowickiego. Tomek nieznacznie mrugnął do Smugi i wcale nie spieszył się z zaspokojeniem ciekawości marynarza.

– Gadaj, brachu, coś wymyślił!

Tomek ociągał się jeszcze chwilę, a potem rzekł:

– No, po starej znajomości powiem tylko, że zagrozę krajowcom spaleniem wody w rzekach.

– Ejże, brachu, nie kpij ze mnie! Wprawdzie wiem, że jesteś sprytny jak liszka, ale czy przypadkiem bliskie uderzenie piorunu nie pomieszało ci klepek w łepetynie?! Przecież będziesz musiał im udowodnić, że potrafisz palić wodę, a to bzdura!

– Zaraz widać, że w szkole niezbyt pilnie uczył się pan fizyki – odciął się Tomek. – Cała sztuczka jest niezwykle prosta, a nawet naiwna. Wystarczy wykorzystać różnicę ciężaru właściwego dwóch cieczy.

– Panie Smuga, co ten chłopak wygaduje? – zapytał zbity z tropu marynarz.

– Mówi wcale do rzeczy – odparł Smuga, który w lot odgadł zamiary Tomka. – Dobrze, zgadzam się, palenie wody powinno wywrzeć odpowiednie wrażenie.

– Słuchaj, brachu, weź mnie za pomocnika. Wiesz, że przepadam za takimi psikusami – poprosił Nowicki.

– Co pan o tym myśli? – zwrócił się Tomek do Smugi, udając powagę.

– Jeśli nie spełnisz prośby kapitana, gotów sam spłonąć z ciekawości – odpowiedział Smuga.

– Cóż, nie mogę narażać na szwank życia tak wybitnej osobistości. Dobrze, będzie mi pan pomagał.

Kapitan ucieszony klepnął Tomka w plecy, zaraz pochylił się ku niemu i zawołał:

– No, teraz gadaj!

Smuga ponownie nabił fajkę tytoniem. Z ukosa spojrzął na Dinga. Pies leżał przy ognisku. Tylko od czasu do czasu strzygi uszami i nasłuchiwał. Nowicki tymczasem cicho rozmawiał z Tomkiem. Z uznaniem poklepywał go po ramieniu i solennie obiecywał dokładnie odegrać swoją rolę.

Świt zastał podróżników przy śniadaniu. Wokół ognisk krajowców panowała niepokojąca cisza. Tego dnia jakoś nie kwapili się do posiłku. Długie, grube fajki wędrowały z rąk do rąk. Rozkazy Ain'u'Ku nie były wykonywane. W końcu jeden z tragarzy powstał, a za nim uczyniło to kilku innych. Przywołali Ain'u'Ku i coś długo mu tłumaczyli. Zafrasowany boy niepewnie spoglądał na białych podróżników; w końcu na czele gromady tragarzy zbliżył się ku nim.

– Master, oni nie iść dalej, all right! – oznajmił krótko. – Oni żądać zapłata teraz, all

right.

– Umówili się, że dojdą z nami do Popole – rzekł Smuga. – Powiedz im, że tylko tam dostaną zapłatę.

Ain'u'Ku przetłumaczył delegacji słowa Smugi. Krajowcy długo się naradzali, po czym jeden z nich udzielił boyowi odpowiedzi.

– Więc co postanowili? – krótko zapytał Smuga.

– Oni nie iść dalej, oni wrócić bez zapłata, all right – odparł Ain'u'Ku.

– Dlaczego nie chcą dotrzymać umowy? – indagował Smuga.

– Duchy mówią: nie iść dalej. Iść dalej, kości twoje leżeć na ziemi. Duchy zesłać piorun i ostrzec, all right – wyjaśnił boy.

– Nie dopuścimy do tego, aby ktokolwiek zrobił im krzywdę! W Popole otrzymają zapłatę i wrócą do swoich wiosek, powtórz im to – polecił Smuga.

Dłuższe wywody boya, w których zapewne nie omieszkał użyć i własnych argumentów, spowodowały jedynie lakoniczną odpowiedź.

– Duchy mówić nie iść dalej. Kanak nie iść dalej – wyjaśnił Ain'u'Ku. – Złe duchy robić czary. Kanak zginąć! Dalej mnóstwo bardzo źli ludzie.

– Źli ludzie nie napadną na nas, bo my mamy karabiny, natomiast duchy uspokojmy naszymi czarami. Powiedz im, że mogą iść z nami bez jakiegokolwiek obawy – odrzekł Smuga.

Ain'u'Ku powtórzył krajowcom słowa Smugi. Znow naradzali się długo, powątpiewająco potrząsając głowami. W końcu Ain'u'Ku oznajmił ich decyzję:

– Oni mówić: master nie umie robić czary. Źli ludzie bać się tylko czary, all right!

– Jesteśmy silniejsi od złych ludzi i waszych duchów – ostro powiedział Smuga. – Jeśli tragarze nie pójną z nami do Popole, spalimy wodę w rzekach. Wtedy na pewno wszyscy umrzecie z pragnienia.

Ain'u'Ku niepewnym głosem powtórzył jego słowa krajowcom. Tym razem wywołały one krótką dyskusję i śmiech. Boy, całkowicie zbity z tropu, odezwał się:

– Master nie móc spalić woda, woda gasić ogień, all right!

– Tak sądzicie? A więc dobrze, pokażemy wam, co potrafimy. Daj jednemu z nich wiadro i niech biegnie do strumienia po wodę!

Tym razem rozkaz został szybko wypełniony, kapitan Nowicki bowiem zaraz wręczył przygotowane wiaderko najstarszemu tragarzowi. Zanim ten ostatni zdążył powrócić, wieść o próbie czarów dotarła do wszystkich krajowców. Zaintrygowani, dużym półkolem obstąpili Smugę, który najobojętniej w świecie pykał fajeczkę.

Papuasi zazwyczaj nosili wodę w grubych bambusowych rurach, zagważdżanych na obydwóch końcach; toteż krajowiec nieprzywykły do noszenia wody w otwartym wiadrze

rozlał jej trochę po drodze.

– Ain’u’Ku, powiedz im, żeby skosztowali, czy to jest woda – rozkazał Smuga, gdy postawiono przed nim wiadro.

Kilku tragarzy dłońmi zaczerpnęło wody; potakiwali głowami na znak, iż nie mają wątpliwości. Poza tym jeden z nich przyniósł ją ze strumienia. Smuga bez pośpiechu wytrząsnął popiół z fajki, uderzając nią o dłoń, po czym przywołał Tomka.

– Teraz twoja kolej, przyjacielu – rzekł po polsku. – Odegraj swoją rolę tak, jak to kiedyś uczyniłeś w Afryce!

Tomek skinął głową, pochylił się nad wiaderkiem.

– Dlaczego tak mało woda? – zapytał łamaną angielszczyzną, aby jak najwięcej tragarzy mogło go zrozumieć. – Moja palić całe rzeki! Ain’u’Ku, dolej jeszcze mnóstwo dużo woda! Daj tę, którą rano przyniosłeś dla nas!

Kapitan Nowicki czuwał w pogotowiu, zaraz też podał boyowi drugie wiaderko. Krajowcy zacieśnili półkrąg, podczas gdy ich towarzysz własnoręcznie dopełniał wiadro stojące przed Tomkiem.

– Teraz wasza dobrze patrzeć! – głośno powiedział Tomek.

Zaczął wykonywać rękami niby to jakieś kabalistyczne znaki nad wiadrem. Potem znieruchomiał z wyciągniętymi przed siebie rękami i głośno w polskim języku wypowiedział “straszliwe zaklęcie”:

“Litwo! Ojczyzno moja! ty jesteś jak zdrowie;

Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie,

Kto cię stracił. Dziś piękność twą w całej ozdobie

Widzę i opisuję, bo tęsknię po tobie.”

Smuga, słysząc owo “wezwanie do nadprzyrodzonych mocy”, omal nie parsknął śmiechem. Szybko więc pochylił głowę na piersi. Wilmowski poczerwieniał i natychmiast zakrył twarz dłońmi, a Zbyszek Karski aż otworzył usta ze zdumienia. Kapitan Nowicki nie gorzej od współziomków znał “Pana Tadeusza”, toteż z wielkim trudem zapanował nad sobą i półgłosem zawołał:

– A niech cię wieloryb połknie!

Tomek natomiast, nie spuszczając wzroku z krajowców, ponurym głosem zakończył recytację i zawołał łamaną angielszczyzną:

– Woda palić się!

Powolnymi ruchami wydobył z kieszeni pudełko zapalek, wyjął jedną i zapaliwszy ją pochylił się nad wiadrem.

Jęk przestachu czy niezmiernego podziwu wyrwał się z ust Papuasów. Woda w wiadrze buchnęła płomieniem. Przygarbieni, ostrożnie cofali się krok za krokiem od

wiadra, w którym płonąła woda. Tomek mierzył ich wzrokiem spod przymrużonych powiek. Niezmiernie rad z tak olbrzymiego wrażenia, zdjął kurtkę i szybkim ruchem nakrył wiadro. Po chwili odkrył je. Pomruk ulgi rozbrzmiał wśród krajowców. Ogień został zgaszony.

– Ain'u'Ku, spytaj ich, czy teraz pójdą z nami. Jeśli odmówią, polecę zapalić wodę w strumieniu – odezwał się Smuga.

Boy, zalekniony potężnymi czarami, pospiesznie zwrócił się z zapytaniem do tragarzy. Tym razem na odpowiedź nie czekał długo.

– Teraz oni wszyscy idą do Popole, all right – oświadczył. – Master mnóstwo wielki czarownik!

– Późno już, szybko rozdziel bagaże i ruszamy w drogę – rozkazał Smuga.

Tragarze bez jakichkolwiek sporów brali wyznaczone im przez Ain'u'Ku pakunki, wciąż jeszcze komentując “niezwykłe” wydarzenie. Tomek tymczasem został otoczony przez młodych przyjaciół.

– Tommy, jak tyś to zrobił? Pierwszy raz widziałam coś podobnego! – zawołała Sally głosem pełnym podziwu.

– Byłeś wspaniały, Tomku! – zachwyciła się Natasza.

– Czy w tym drugim wiaderku, które pan kapitan podał boyowi, naprawdę była woda? – niedowierzająco zapytał James Balmore. – Tutaj chyba jest klucz do rozwiązania twojej sztuczki?!

– Zaledwie wstałem dzisiaj rano, pan kapitan zażądał ode mnie jednego litra nafty... – wyjaśnił Zbyszek Karski.

– Od razu domyśliłem się tego – powiedział Balmore. – Muszę przyznać, że nawet w cyrkach nie widziałem zręczniejszych wykonywanych sztuczek!

– Jeśli nie będziesz chciał pisać książek, jak doradzał ci pan Nowicki, to na stare lata masz jeszcze jeden fach w ręku! Mógłbyś zostać sztukmistrzem – zażartował Zbyszek.

– Przestańcie pokpiwać ze mnie – ofuknął ich Tomek. – To raczej smutne, że są jeszcze na świecie ludzie, których można otumanić bzdurnymi sztuczkami!

– Oczywiście, wszyscy zgadzamy się z tobą, ale nie jesteśmy temu winni, że rządy kolonialne nie troszczą się o Papuasów, którzy od wieków tkwią w najrozmaitszych przesądach i zabobonach – odpowiedział Zbyszek.

– Im bardziej są zacofane podbite ludy, tym łatwiej można je wykorzystywać – poważnie dodała Natasza. – Taką samą politykę stosuje Rosja carska wobec krajowców zamieszkałych na Syberii. Wierzę jednak, że niedługo upomną się oni o swe słuszne prawa.

– Znajdujemy się w bardzo trudnej sytuacji, nie mamy wyboru – wtrącił Balmore. – Różne argumenty nie przekonałyby naszych naiwnych tragarzy tak wymownie, jak

niezrozumiała dla nich zabawna sztuczka.

– Tylko, dlatego zgodziłem się ją zademonstrować – powiedział Tomek. – Mój ojciec nie pochwała takich metod. Spójrzcie, jaki nachmurzony.

– Pan Wilmowski jest niezwykle szlachetnym człowiekiem – stwierdził Balmore. – Na pewno doskonale rozumie nasze położenie i nie ma do ciebie żalu.

– Wiem o tym, ale mimo to jest mi przykro – odparł Tomek. – Przypomnijcie wieczorem, to opowiem wam, jak w Afryce pokonałem pewną sztuczką opór złośliwego czarownika, a później wyjaśniłem wszystkim naszym tragarzom, na czym ona polegała.

– Splatałeś doskonałego figla temu czarownikowi – śmiejąc się przyznały Natasza.

– Dzięki temu nie mógł potem oszukiwać nią naiwnych współziomków – zakończył Tomek.

Karawana znów szła ubezpieczonym szykiem. Wolno wspinała się dziką ścieżką na spłaszczony grzbiet górski. Po jej brzegach rosły kępy drzew pandanowych, przypominające wyglądem wielkie świece o długich, zielonych płomieniach. Smuga i Tomek wysunęli się znacznie do przodu. Od czasu do czasu przystawali w przestronniejszych miejscach i przez lunetę upewniali się, czy krocząca za nimi karawana nie zbacza z właściwego kierunku. Sally właśnie wypatrzyła zwiadowców odpoczywających na występie skalnym i zaraz zawołała:

– Oho, znów przystanęli i obserwują nas! Wobec tego również możemy się zatrzymać na krótki odpoczynek!

– Zgoda, tragarze zostali nieco w tyle, poczekajmy na nich – odparł Wilmowski.

Bentley przysiadł na zwałonym pniu drzewa. Inni poszli za jego przykładem. Wilmowski zapalił fajkę, podczas gdy młodzież spoglądała na panoramę rozciągającą się u ich stóp. W licznych załomach odnog głównego łańcucha górskiego drzemwały mgliste doliny, przez które przebijały sobie drogę wartko płynące, kręte strumienie. Głęboko wciśnięte w doliny, łudziły wzrok swą pozorną bliskością, lecz w rzeczywistości dotarcie do nich pochłaniało nieraz kilka dni uciążliwego wspinania się i schodzenia po stromych stokach. Z wysoko położonego górskiego grzebienia cała okolica przypominała gruby, puszysty, zielony dywan.

– Jakże malownicze są te wiecznie zielone lasy! – wyrwał się Zbyszkowi okrzyk zachwytu. – Wprost nie mogę oderwać wzroku od tego wspaniałego, surowego pejzażu!

– Czy sądzisz, że wszystkie drzewa w tropikalnym lesie bez przerwy są pokryte liśćmi, kwitną i owocują? – zapytał Wilmowski.

– Oczywiście, przecież niejednokrotnie czytałem w książkach podróżników o wiecznie zielonych lasach w ciepłych krajach – odparł Zbyszek. – To, co sam widzę obecnie, całkowicie potwierdza ich relacje.

Wilmowski uśmiechnął się wyrozumiale i odrzekł: – A jednak mylisz się, mój chłopcze! Opowieści o wiecznie zielonych drzewach są wynikiem dość powierzchownego

poznania dżungli. Wystarczy przeprowadzić dokładniejsze obserwacje, aby stwierdzić, że w tropikalnym lesie jedynie nieliczne gatunki drzew rosną bez przerwy[74], podczas gdy prawie wszystkie inne przechodzą kolejno okresy wzrostu i odpoczynku. Złudzenie wiecznej zieloności dżungli sprawia fakt, iż poszczególne drzewa z tego samego gatunku tracą ulistnienie w różnym czasie. Dlatego też obok pemoulistnionych rosną drzewa bezlistne oraz pokryte młodymi liśćmi.

– Nigdy o tym nie słyszałem, wujku – zdumiał się Zbyszek. – Czyżby mylili się podróżnicy, którzy odbywali wyprawy przez dżungle?!

– Po prostu opierali się na powierzchownych spostrzeżeniach. Lasy tropikalne sprawiają wrażenie “wiecznie” zielonych, ponieważ zawsze przeważają w nich drzewa ulistnione. Łatwo to zrozumieć, skoro już wiemy, że drzewa należące do jednego gatunku kwitną w różnym czasie. Nie jest to jednak zjawisko powszechne wśród roślin lasu tropikalnego.

– To właśnie chciałem podkreślić – wtrącił Bentley. – Dość znaczna liczba roślin posiada niezmiernie oryginalną właściwość jednoczesnego zakwitania na znacznych obszarach, nawet w tym samym dniu. Wystarczy dla przykładu wspomnieć storczyki...

Pojawienie się na ścieżce Ain’u’Ku na czele długiego łańcucha tragarzy przerwało rozmowę. Bentley zaraz powstał z pnia i rzeki:

– Ruszamy w drogę! Nasi zwiadowcy również już ukończyli odpoczynek.

Przez jakiś czas wspinali się na grzbiet masywu górskiego, w końcu wkroczyli na wąski próg leżący nad skrajem przepaści. Nie było tam żadnych śladów ludzkiego życia. Dziką ścieżkę pokrywała gruba warstwa zwiędłych i skruszonych liści, pod którymi zdradliwą pułapkę dla stóp wędrowców stanowiły niewidoczne korzenie drzew oraz kamienie. Mech porastał olbrzymie pnie, zwisające nisko tub złamane gałęzie tarasowały drogę. Korony gęsto w tej okolicy rosnących drzew tworzyły w górze zwartą zasłonę, toteż głębia lasu była ponura, pełna niepokojącej ciszy. Karawana w milczeniu przedzierała się przez leśną głuszę. Idący na przedzie często byli zmuszeni torować drogę, wycinając nożami liany. Dopiero około południa utrudzeni podróżnicy z radością powitali długi, łagodnie opadający stok górski. Wprawdzie i teraz szli przez gąszcz tropikalnej zieleni, lecz nieostrożne stąpienie nie groziło już, komu stoczeniem się w przepaść. Huk wody strumienia, przecinającego dolinę leżącą u stóp górskiego masywu, stawał się coraz silniejszy. Las z wolna rzednął, promienie słoneczne rozjaśniały półmrok. Na brzegu strumienia Smuga dał hasło do odpoczynku. W tym miejscu szerokość koryta nie przekraczała trzydziestu metrów; można było przeprowić się na drugi brzeg przeskakując z kamienia na kamień. Teraz jednak, po gwałtownym deszczu, wezbrana zielonkawa woda pieniała się i kłębiła pomiędzy oślizłymi głazami i drzewami zwalonymi ze stoku.

W pierwszej chwili nikt nie myślał o przeprowie ani o posiłku. Balmore zaraz rozesłał na ziemi koc dla dziewcząt, inni siadali na omszałych kamieniach i pniach drzew. Tylko Smuga z Tomkiem dozorowali tragarzy składających na ziemię bagaże.

Kapitan Nowicki przysiadł obok Sally i zagadnął:

– Ejże, czy jeszcze nie uprzykrzyła ci się ta diabelska wyprawa? Pannie Nataszy mina nieco zrzęda! Zmęczone jesteście, ale mimo to radzę najpierw sprawdzić, czy przypadkiem nie oblażyły was te obrzydliwe zwierzaki.

– Jakie zwierzaki ma pan na myśli? – zapytała Sally, podejrzliwie zerkając na lubiącego żarty marynarza.

– Czy to możliwe, żebyście same nic nie spostrzegły?! – zdziwił się Nowicki. – Pijawki sypały się z drzew jak ulegałki w sadzie u mego dziadka, mieszkającego w Jabłonnie koło Warszawy, a one nawet ich nie zauważyły!

– Niech pan nas nie straszy, kapitanie! – zawołała Natasza.

– To naprawdę nie żarty, proszę pani! – odezwał się Stanford, który razem z Nowickim szedł w tylnej straży. – Nasi tragarze prawie przez całą drogę strzäsali ze swych nagich ciał to robactwo! Im też szczególnie dało się ono we znaki. Jak zauważyłem, w tej okolicy aż się roi od lądowych pijawek.[\[75\]](#)

– A jakże, pełno ich było w trawie, na krzakach i drzewach – dodał Nowicki. – Naprawdę zmyślne zwierzaki! Widocznie potrafią wyniuchać swą ofiarę nawet z pewnej odległości, gdyż z liści drzew gromadnie spadały na naszych nagich tragarzy. Zobaczcie tylko, jak mocno są poranieni!

Przerażone dziewczęta natychmiast zaczęły oglądać swe nogi, ale na szczęście długie buty, sztylpy oraz ubrania ochroniły białych podróżników przed napaścią pasożytniczych robaków. W tej właśnie chwili nadszedł Tomek; widząc obydwie panienki przepatrujące swe ubrania, zapytał:

– Czy pijawki dały się wam we znaki? Mnie spadła jedna na kark. Nie mogłem jej zdjąć, dopóki jak bąk nie napeęzniała krwią. Nataszo, daj mi trochę waty i nadmanganianu potasu. Muszę wydezynfekować rany na ciałach naszych tragarzy.

– Może mam ci pomóc, Tomku? – natychmiast zaproponowała Natasza.

– Dziękuję, lepiej odpocznij. Damy sobie radę z panem Smugą.

– To męska sprawa, szanowna pani – odezwał się Nowicki. – Czekaj, brachu, idę z tobą! Wiesz przecież, że w potrzebie potrafię nawet kulę wyłuskać z rany! Tylko pociągnę łyk mojej jamajki i zaraz będę gotów!

Krajowcy okazali się bardzo wytrzymali na ból. Po ciałach wielu z nich, z ran zadanych przez pijawki, krew płynęła strużkami, ponadto podczas marszu przez dżunglę inne robactwo pożerało im się w skórę pomiędzy palcami nóg. Papuasi odrywali pijawki zaostrozonymi patykami, natomiast bambusowymi nożami wycinali robaki usiłujące zagnieździć się w ich stopach. Nikt się nie skarżył i nie narzekał. Smuga polecił Ain'u'Ku przynieść wiadro wody ze strumienia. Krajowcy zaintrygowani natychmiast otoczyli go zwartym kołem. Nadejście Tomka z Nowickim jeszcze bardziej zwiększyło ich zaciekawienie. Po porannym pokazie "palenia" wody spodziewali się zapewne nowego dowodu czarnoksięskiej mocy białego master.

– Tomku, wsyp nieco więcej nadmanganianu do wody, rany po ukąszeniu pijawek nie przestają krwawić. Przypuszczam, że w wydzielinie tych robaków znajduje się jakaś substancja przeciwdziałająca krzepnięciu – powiedział Smuga. – Należy również wysmarować tragarzom skórę między palcami nóg. Niektórzy powycinali sobie kawałki ciała razem z robakami.

– Dobrze, proszę pana, zaraz przygotuję odpowiedni roztwór – odparł Tomek, po czym otworzył słoik i zaczął wsypywać nadmanganian potasu do wody w wiadrze. Głuchy szmer podziwu rozległ się wśród krajowców. Zdumieni wpatrywali się w wodę, która przybierała coraz ciemniejszy fioletowy kolor.

– Master mnóstwo wielki czarownik! – zawołał Ain'u'Ku.

– Wielki czarownik! – powtórzyli inni.

– A to ci heca, brachu! – po polsku szepnął kapitan Nowicki. – Jak amen w pacierzu zostaniesz tutaj królem czarowników!

Trójka przyjaciół nie mogła wprost nadążyć w dezynfekowaniu okaleczeń. Wszyscy tragarze chcieli być pomalowani czarodziejską wodą. Nawet ci, którzy nie posiadali otwartych ran, sami kłuli się nożami. Nie pomogły żadne perswazje. Dopiero całkowite wyczerpanie się roztworu w wiadrze umożliwiło podróżnikom ciężko zapracowany odpoczynek.

DOLINA SŁOŃCA

Bali podróżnicy odpoczywali nad strumieniem. Krajowcy tymczasem rozpoczęli przygotowania do przeprawy na drugi brzeg. Naścinali w dżungli pęki długich, cienkich lian i upletli z nich mocny, elastyczny sznur. Następnie gromada tragarzy udała się w górę strumienia. W odległości około stu pięćdziesięciu metrów od miejsca postoju jeden z nich obwiązał się w pasie sznurem, po czym wskoczył w spieniony nurt. Krajowcy na brzegu trzymali pływaka jakby na uwięzi i z wolna popuszczali sznura. Głośne okrzyki zaniepokoiły dziewczęta.

– Ten człowiek tonie! – zawołała Natasza, dłonią osłaniając oczy przed blaskiem słonecznym.

– Śpieszmy na ratunek – zawtórowała Sally.

– Niech się panie uspokoją, nie ma obawy, on nie utonie – powiedział Bentley, przez lunetę obserwując śmiałka.

– Prąd bardzo gwałtowny, pełno tu wirów... – mówiła Natasza. – On utonie...!

– Jest uwiązany na linie, nic mu się nie stanie, o ile nie napadną go krokodyle – odparł Bentley.

– Czy są tutaj te gadziny? – zaniepokoił się Nowicki.

– Do licha, zapomnieliśmy o krokodylach... – zawołał Tomek. – Tylko pan Smuga czuwa z karabinem w dłoni. Kapitanie, chodźmy do mego!

Po chwili obydwaj uzbrojeni w sztucery zbliżyli się do Smugi.

– Zuch z tego chłopaka – pochwalił Nowicki. – Jak na szczura lądowego wspaniale sobie radzi w wodzie!

Smuga skinął głową, nie odrywając wzroku od powierzchni strumienia. Porywisty prąd szybko znosił pływaka, który kilkakrotnie całkowicie pogrążał się w spienionym nurcie. Krajowcy trzymający linę biegli za nim wzdłuż wybrzeża.

– Pan Bentley mówił, że tutaj są krokodyle – powiedział Tomek, uważnie przepatrując poszarpane wybrzeże.

– Należy się z tym liczyć, dlatego też tragarze czynią tyle hałasu – potwierdził Smuga. – Myślę, że podczas gwałtownego przyboru krokodyle pokryły się w norach pod skarpami. One nie lubią wirów.

Umilkli, pływak właśnie dał nura tuż przed wirującym lejem. Po długiej, denerwującej chwili jego czarna, wełnistowłosa głowa i brunatne ramiona wynurzyły się z białych pian wody, z furją uderzającej o stromy brzeg. Teraz kilkoma silnymi wyrzutami rąk przybliżył się do urwiska, z którego zwisały obnażone korzenie drzew. Udało mu się jedną ręką uchwycić oślizłego korzenia. Przez jakiś czas trwał nieruchomo w tej pozycji, potem ostrym wyrzutem ciała zdołał drugą ręką przywrzeć do korzenia. Teraz wolno podciągnął się do góry i stopami dotknął skarpy. Wkrótce był na lądzie. Odwiązał linę, opasał nią pień

drzewa, mocno zaciskając węzły; potem, zmęczony, przykucnął obok na ziemi. Tragarze na przeciwległym brzegu strumienia również przymocowali swój koniec liny do nadbrzeżnego drzewa. W ten sposób ponad powierzchnią rozhukanej wody została przewieszona gruba lina z lian, tworząc chybotliwe połączenie obydwóch brzegów.

Ain'u'Ku zadowolony stanął przed Wilmowskim i oznajmił:

– Mnóstwo dobry most gotowy, all right! Nasza może iść, tylko uważać na fua[76], one mnóstwo za bardzo lubić kai kai człowieka, all right!

– Oszalał! – oburzył się James Balmore. – Ten jego “most” nie nadaje się do przejścia na drugą stronę nawet dla linoskoczków!

– Masz pan rację, ponadto mówi, że tu są krokodyle – powiedział Nowicki.

– Patrzcie państwo, oni naprawdę będą przechodzili po linie! – niepokoila się Natasza.

Tragarze wprawdzie nie zamierzali dokonywać cyrkowych popisów, lecz minio to pośpiesznie przygotowywali się do przeprawy. Własny skromny dobytek w siatkach przywiązywali na głowach linami, natomiast duże bagaże przymocowywali do długich żerdzi. Potem po dwóch brali jedną żerdź opierając ją na barkach i śmiało wchodzili do huczącego strumienia. Dzięki takiemu przenoszeniu bagaży, mogli rękoma przytrzymywać się liny przewieszanej ponad korytem.

Na szczęście strumień w tym miejscu okazał się nie tak głęboki; woda przeważnie sięgała Papuasom do piersi. Wszyscy wrzeszczeli jak opętani, chcąc wrzawą odstraszyć krokodyle. Pierwsi tragarze już wspinali się na przeciwległy brzeg, inni dopiero wchodzili do strumienia. Podczas przeprawy najwięcej ucierpiały zwierzęta przeznaczone do zjedzenia w czasie marszu przez dżunglę, gdzie zaopatrzenie licznej karawany w świeży prowiant było prawie niemożliwe. Bentley uprzednio zakupił kilka żywych świń oraz kilkanaście kur. Musiały one być transportowane w stanie żywym, inaczej, bowiem ich mięso szybko uległoby zepsuciu z powodu gorąca, wilgoci i insektów. Nieszczęsne zwierzęta, przez całą drogę niesione na żerdziach, przywiązane do nich za nogi głową w dół, dawały żaloszny widok, szczególnie przy przechodzeniu tragarzy przez strumień.

– Do stu zdechłych wielorybów! Biedne prosiaki poduszają się pod wodą – martwił się kapitan Nowicki, obserwując przeprawę.

– Nie mogę na to patrzeć... – powiedziała Sally i odwróciła głowę.

– Okrutne to, lecz nie możemy tragarzy i siebie zamorzyć głodem – wtrącił Smuga. – Obawiam się, że po tej przeprawie będziemy zmuszeni zjeść na kolację resztę naszego żywego prowiantu, a potem...

– Nie kłopotz się pan przed czasem – przerwał mu Nowicki. – Teraz lepiej pomyślmy, w jaki sposób przeprawimy przez strumień nasze panie.

– Podczas poprzednich przepraw szczęśliwie natrafialiśmy na płytsze brody lub wiszące mosty uplecione z lian – odezwała się Natasza.

– Tutaj prąd jest bardzo gwałtowny. Przemokniemy do suchej nitki...

– Przeniesiemy was na drugą stronę – zaproponował Tomek. – Niskim krajowcom woda niemal zakrywa głowy, lecz takiemu olbrzymowi, jak nasz kapitan, sięgnie najwyżej do piersi. Naprędcę zmajstrujemy lektykę, której uchwyty będzie można oprzeć na ramionach, W ten sposób nawet stóp nie zamoczyć.

– Dobry pomysł, brachu – pochwalił Nowicki. – Twój szanowny ojciec prawie dorównuje mi wzrostem. We dwóch jakoś je przeniesiemy. Weźmy się do roboty!

Nim minęło pół godziny Nowicki i Wilmowski wchodzili do strumienia. Sally trochę przybladła na noszach chybotających się na wszystkie strony, ale wkrótce suchą nogą stanęła na drugim brzegu. Po niej przyszła kolej na Nataszę, a następnie w ten sam sposób przeniesiono broń i amunicję. Wszyscy szczęśliwie przepawili się przez strumień i bez zwłoki ruszyli w dalszą drogę.

Następnego dnia, po przebyciu jeszcze bardziej stromego pasma górskiego, karawana wkroczyła do rozległej, płytkiej doliny Dilava. Jakże ponętny widok przedstawiała ona dla podróżników, którzy przez kilka dni przedzierali się przez mroczne, bezludne lasy porastające stoki gór! W pełnej powietrza i słońca dolinie rosły palmy betelowe[77] o pierzastych pióropuszcach, dzikie bananowce o dużych, jasnozielonych, zawsze drżących liściach, słodkavo pachnące drzewa cynamonowe[78] oraz palmy sagowe, przypominające wspaniałe kolumny uwieńczone pękami długich, wachlarzowatych liści[79]. Obecność palm sagowych świadczyła o bliskości rzeki i żyzności gleby. Wkrótce też ukazały się uprawne poletka, na których rosły słodkie kartofle, taro i jamsy.

W tej chwili rozbrzmiał przeciągły dźwięk, bardzo przypominający tony spowodowane przez dęcie w muszlę. Smuga natychmiast przystanął i dał znak Tomkowi, aby nie szedł dalej. Obydwaj zaczęli nasłuchiwać. Daleki pojęk przetoczył się po górach i zamarł w dali.

– Niech pan patrzy! – cicho zawołał Tomek, unosząc dłoń.

Smuga natychmiast spojrział we wskazanym przez młodzieńca kierunku. Przed nimi wzbijał się w górę ponad drzewa biały, jakby drgający w powietrzu obłok.

– To chyba jakieś wspaniałe, olbrzymie motyle... – szepnął Tomek urzeczony niezwykle czarującym zjawiskiem.

Smuga przyłożył do oka lunetę.

– Nie, to nie motyle! – powiedział. – Do licha, ależ to białe kakadu[80]! One zwykły żyć gromadnie... Na głowach żółte czuby, krótkie ogony, tak, to kakadu! Ktoś je spłoszył z drzew...

– Nie ulega wątpliwości, że w pobliżu znajduje się jakaś osada – odezwał się Tomek.

#– Jestem tego samego zdania – powiedział Smuga. – Musimy poczekać na naszych towarzyszy.

– Zapewne ktoś tam się czai, ptaki wciąż okazują niepokój – szepnął Tomek.

Niebawem czoło karawany wynurzyło się zza pagórka. Smuga gestem nakazał milczenie.

– Co się stało, Janie? – zapytał Wilmowski.

– W pobliżu znajduje się jakieś osiedle – wyjaśnił Smuga. – Przed nami w głębi doliny ktoś spłoszył stadko białych kakadu. Prawdopodobnie krajowcy już nas spostrzegli i obserwują. Spójrzcie na Dinga! Bez przerwy nadstawia uszu!

– Słyszeliśmy dziwne odgłosy! Może był to sygnał ostrzegawczy – dodał Tomek.

– Nie myślałem, że w tym górzystym kraju mogą kryć się tak urocze zakątki – zdumiał się Zbyszek, spoglądając na dolinę.

– Prawdziwie rajska oaza w oceanie mrocznej dżungli – wtrącił Balmore.

Tomek pochylił się do ucha Zbyszka i szepnął:

– Kapitan ma chyba rację, że James pisze wierszydła. Czy zauważyłeś, jak on się wyraża?

Zbyszek potaknął głową. Tragarze wkroczyli w wylot doliny.

– Panie Zbyszku, proszę nakazać im ciszę i przywołać do mnie Ain'u'Ku – polecił Smuga.

Zanim rozkaz mógł być wykonany, tragarze samorzutnie przerwali monotonną pieśń. Od razu wypatrzyli wirującą w powietrzu chmurę kakadu i zrozumieli, co to oznacza. Ci, którzy nieśli z sobą dzidy, silniej zacisnęli na nich dłonie. Ain'u'Ku stanął przed Smugą.

– Według moich rachub znajdujemy się już w twoim kraju – odezwał się podróżnik. – Czy rozpoznajesz tę okolicę?

– Może moja rozpoznaje, a może nie, moja nie wie, all right! – odpowiedział boss-boy.

– Nie jesteś pewny, trudno, ruszamy! Karabiny trzymać w pogotowiu, lecz strzelać wolno tylko na moje polecenie – powiedział Smuga.

– Panie Balmore, proszę natychmiast ostrzec tylną straż!

Zwiadowcy razem z Ain'u'Ku znów nieco wyprzedzili karawanę. Smuga trzymał Dinga krótko na smyczy; bacznie obserwował jego zachowanie i jednocześnie przepatrywał okoliczne zarośla. Nie miał wątpliwości, że czatują w nich papuascy wojownicy. Dingo jeżył sierść na grzbiecie i ani na chwilę nie przestawał warczeć. Smuga obejrzał się na swych towarzyszy. Tragarze szli teraz zwartą gromadą. Na samym końcu widać było kapitana Nowickiego, który wszystkich znacznie przewyższał wzrostem. Ostrzeżony przez Balmore'a, nikomu nie pozwalał pozostawać w tyle i uważnie rozglądał się wokoło. Ostrożność Nowickiego uspokoiła Smugę. Mógł nie kłopotać się o tyły.

– Już widać wioskę, proszę pana! – cicho zawołał Tomek.

– Zwróć uwagę na Dinga! Widzisz! Zapewne obserwują nas z zarośli – powiedział Smuga.

– Spostrzegłem to już przedtem – odparł Tomek.

Była pora popołudniowa, w której promienie słoneczne codziennie toczyły walkę z

kłębiastymi chmurami wynurzającymi się wtedy z głębokich dolin. Z daleka wioska krajowców tworzyła romantyczny widok. Ozłocone słońcem domy na tle ciemnej zieleni wyglądały jak wielkie ule zbudowane wśród drzew. Wystarczyło jednak podejść bliżej, aby okazały się niestarannie zbudowanymi, nędznymi szałasami. Niektóre wznosiły się na palach wysoko nad ziemią lub po prostu były osadzone na obciętych konarach drzew. Dachy pokryte grubymi, ciężkimi liśćmi drzewa pandanowego tworzyły wygięty do góry łuk. Wąskie, mroczne wejście we frontowej ścianie domu, zwróconej na obszerny plac, osłaniał szczyt dachu wystającego ponad małą platformę w rodzaju werandy. Wchodziło się na nią po drabinie uplecionej z gałęzi. Zazwyczaj krajowcy większość dnia spędzali na swych werandach, teraz wszakże były one całkowicie opustoszałe. Jedyne pasemka dymu leniwie przesączaające się przez szczeliny w liściastych dachach świadczyły, iż domy w obecnej chwili nie były opuszczone przez ludzi.

Trójka zwiadowców pierwsza wkroczyła do wioski. Dingo, krótko trzymany na uwięzi, wciąż strzygł uszami, węszył i skomlał. Pierwsza z brzegu chata wznosiła się na palach trzy lub cztery metry ponad ziemią. Otwór drzwiowy w szczytowej ścianie zagrodzony był dwoma skrzyżowanymi gałęziami.

– Niech pan spojrzy, kilka hamaków jest rozwieszonych pomiędzy palami pod podłogą domu – odezwał się Tomek. – Zapewne krajowcy wylegiwali się na nich przed naszym nadejściem, lecz ostrzeżeni sygnałem przez wartownika, gdzie się pokryli. Może teraz siedzą w domach albo schowali się w pobliżu w wysokiej trawie.

– Chyba się nie mylisz! Dym uchodzi przez dachy – powiedział Smuga.

– Wejdem na werandę i zajrzę do chaty – zaproponował Tomek.

Zaczął się wspinać po drabinie, lecz Ain'u'Ku przytrzymał go za nogę i rzekł:

– Tam nie ma Papuas, twoja widzi znak na drzwi!

– Czy masz na myśli te dwie złożone na krzyż gałęzie? – zapytał młodzieniec.

– Teraz twoja dobrze mówi – potaknął boss-boy. – Taki znak mówi: nikogo nie ma, twoja nie wchodzi, duchy pilnują dom! Twoja nie słucha, będzie mnóstwo bardzo źle! Twoja zostawi bagaż w lesie i buduje taki znak naokoło, nikt nie ruszy! Twoja rozumie?

– Dziękuję, Ain'u'Ku, za przestrożę, doskonale cię zrozumiałem. Gdy się zastaje znak ze skrzyżowanych gałęzi, nie należy wchodzić do domu ani brać przedmiotów, które one ogradzają. Oznacza on, iż należą do kogoś, kto do nich lub po nie powróci. Czy tak?

– Twoja dobrze mówi! Wtedy duchy pilnują.

Tomek zeskoczył z drabiny na ziemię.

– Co teraz zrobimy? – zwrócił się do Smugi.

– Może uda nam się wywabić krajowców z ich kryjówek – odparł Smuga i zawołał: – Zbyszku, proszę podać tytoń i sól!

Karawana przystanęła kilkanaście metrów przed pierwszymi zabudowaniami. Zbyszek

natychmiast wykonał polecenie. Smuga zerwał z krzewu dwa liście, położył je na kamieniu, po czym na jeden z nich nasypał trochę tytoniu, a na drugi odrobinę soli. Potem razem z Tomkiem siedli po turecku na ziemi i jak gdyby nigdy nic zapalili fajki.

– Ain’u’Ku, powiedz im, że ten tytoń i sól przeznaczaliśmy dla starszego wioski, niech bez obawy przyjdzie i weźmie je sobie – rozkazał Smuga.

Boss-boy przyłożył do ust dłonie złożone w tubę i rozpoczął głośną przemowę. Po jakimś czasie z trawy rosnącej na skraju wioski podniósł się wąty starszy mężczyzna. Krok za krokiem ostrożnie podszedł do kamienia, na którym leżały podarunki. Nie odrywając wzroku od białych podrózników, sięgnął ręką po liść z solą i zjadł ją od razu. Z kolei powąchał tytoń, zwinął go razem z liściem w długi rulon, po czym spokojnym głosem wypowiedział jakiś rozkaz.

Tomek aż przybladł z wrażenia. Zaledwie o kilkanaście metrów od nich w wysokiej trawie powstali wojownicy. W rękach dzierżyli łuki napięte do strzału. Niektórzy uzbrojeni byli w dzidy. Twarze ich były pomalowane żółtą i czerwoną farbą, a na szyjach nosili naszyjniki z psich zębów oraz muszelek. Dingo przysiadł, jakby chciał rzucić się na nich, lecz Smuga przytrzymał go dłonią.

– Popatrz, jak niewiele brakowało, abyśmy już tutaj zakończyli naszą wyprawę – mruknął do Tomka. – Przez cały czas celowali do nas z łuków...

Dopiero teraz można było dostrzec pewną różnicę w odcieniu koloru skóry starszego wioski w porównaniu z innymi wojownikami. Była ona nieco jaśniejszej barwy. Jeden z wojowników podał mu bambusową fajkę, w której wypalone były na wierzchu dwa otwory. Starszy wioski zatknął liść zwinięty w rulon w jeden otwór fajki. Do drugiego przyłożył usta. Podsunęto mu płonąca gałązkę. Starszy wioski zapalił “cygaro”, napełnił całą fajkę dymem, zaciągnął się nim i podał fajkę Smudze.

Był to niewątpliwie swoisty sposób wyrażania gościowi swego szacunku, toteż Smuga z powagą przyłożył usta do otworu fajki i wolno wypuścił kłęb dymu. Potem Tomek powtórzył tę ceremonię. Starszy wioski uśmiechnął się do podrózników. Jego wojownicy zdjęli strzały z cięciw łuków. Smuga odwrócił się ku swoim; dał znak, że mogą się zbliżyć. Nadeszli całą gromadą i półkolem otoczyli zwiadowców. Smuga i Tomek powstali z ziemi. Rozpoczęła się właściwa ceremonia powitalna. Starszy wioski podszedł do Smugi. Wskazał siebie palcem i kilkakrotnie powtórzył:

– Galum’ur’i!

– Smuga – rzekł podróznik, zrozumiawszy, że krajowiec wymienił swoje nazwisko.

Nie pomylił się, starszy wioski objął go mocno, wymawiając jego nazwisko wiele razy. Potem przesunął dłonią po ciele gościa, a w końcu potarł swym nosem o jego nos. Następnie rozpoczął przemowę. Na szczęście mówił językiem znanym Ain’u’Ku, który zaraz tłumaczył jego słowa białym podróznikom.

– Z radością witamy was w naszej osadzie i przyjmujemy do naszej społeczności – mówił. – Nasza ziemia jest waszą ziemią, nasze domy są waszymi domami, nasze kobiety i

dzieci również należą do was. Nie mamy nic, ale damy wam jarzyn. Damy wam także jedną świnie, aby okazać wdzięczność za to, że raczyliście przybyć do nas.

Odwrócił się do wojowników i coś zawołał w miejscowym narzeczu. Odpowiedzieli głośnym okrzykiem. Widocznie w ten sposób wyrazili swoją zgodę, ponieważ kilku z nich zaraz pobiegło w busz poza domem. Powrócili po chwili niosąc za nogi głośno kwiczącą świnie. Z rozmachem rzucili ją na ziemię. Jeden Papuas zdzielił zwierzę maczugą w łeb. Dwóch innych zaczęło ćwiartować świnie bambusowymi nożami, a tymczasem wszyscy wojownicy malowali swe ciała żółtą farbą. Chłopcy i dziewczęta wyszli z buszu, powiewając zielonymi gałązkami.

Starszy wioski przystąpił do rozdzielania darów. Smuga otrzymał grzbiet świni, Tomek jedną tylną nogę, potem zaś kolejno wszyscy biali podróżnicy dostawali odpowiednie porcje. Tragarzom ofiarowano jelita i głowę. Smuga chciał przekazać swój podarunek starszemu wioski, lecz Ain'u'Ku pośpiesznie wyjaśnił mu, że byłoby to wielkim nietaktem. Świnia ta należała do mieszkańców wioski, więc traktowano ją jako równorzędnego członka społeczności, a członkowie tej samej społeczności nigdy wzajemnie siebie nie zjadają.

– Cóż on wygaduje!?! – oburzył się kapitan Nowicki.

– Nietrudno odgadnąć ukryty sens w tym rozumowaniu, jeśli tutaj naprawdę jeszcze uprawia się kanibalizm – odpowiedział Smuga. – Najlepiej ofiarujmy im jedną z naszych świń.

– W ten sposób będzie wilk syty i owca cała... – zaaprobował decyzję Wilmowski.

Ludzie i półbogowie

Po pierwszej wymianie darów kobiety zaczęły przynosić podróżnikom jarzyny. Każda z nich składała na ziemi produkty ze swego poletka. Były to: pasiaste dynie, laski trzciny cukrowej, taro, słodkie kartofle i zielone łodygi miejscowej rośliny, które po ugotowaniu smakowały jak szparagi. Były to podarunki ofiarowywane w dowód przyjaźni, lecz do dobrych obyczajów należało odwzajemnić się jakimś drobnym upominkiem. Toteż Smuga polecił Zbyszkowi rozdać kobietom po łyżce soli. Papuaski były z tego bardzo zadowolone i chowały przysmak do rożków ze zwiniętych liści. Mężczyźni otrzymali po kawałku czarnego, mocno sprasowanego tytoniu.

Rozpoczęto przygotowania do uczty. Mężczyźni rozpalili ogniska, aby kobiety mogły rozgrzać w nich aż do białości duże, płaskie kamienie. W tym czasie dwaj Papuasi poćwiartowali bambusowymi nożami świnie ofiarowaną im przez podróżników, nawet nie oskrobując jej z błota. Kobiety ułożyły na dnie dołu wykopanego w ziemi warstwę rozgrzanych kamieni, przykryły je aromatycznymi liśćmi, a następnie wrzuciły na nie poćwiartowaną świnie razem z nie oczyszczonymi jelitami oraz jarzyny. Piec naładowany po brzezi zasypano ziemią.

Gościnni krajowcy przygotowali taki sam "piec" dla swoich gości, lecz biali podróżnicy nie mieli odwagi skorzystać z niego. Przecież według zapewnień gubernatora, w kraju Fuyughe jeszcze miało być uprawiane ludożerstwo. Jeśli tak było naprawdę, to na tych samych kamieniach krajowcy mogli piec również ciała zabitych wrogów. Przezorny kapitan Nowicki razem z dziewczętami zajął się gotowaniem wieczerzy. Papuasi zdumieni obstąpili ich kołem, głośno robiąc różne uwagi. Po raz pierwszy widzieli, aby ktoś zadawał sobie tyle trudu z "niepotrzebnym" czyszczeniem mięsa i jarzyn. Nie mogli także pojąć, w jakim celu biali ludzie zabierają w podróż tyle zbędnych przedmiotów. Osobisty dobytek Papuasa nie sprawiał mu w drodze, jakichkolwiek trudności. Każdy z nich był całkowicie zadowolony, jeśli posiadał dzidę, kamienną siekiere, zdobne pióra i farby wojenne, bambusową fajkę, szczyptę tytoniu oraz słodkie kartofle do jedzenia. Jeśli ktoś ponadto miał świnie, uważany był za bardzo zamożnego. Nic, więc dziwnego, że obóz podróżników, rozłożony obok wioski, stał się przedmiotem ogólnego zainteresowania.

Krótkotrwały deszcz nie przerwał przygotowań do wieczerzy. Wilmowski, Bentley i Tomek, posługując się Ain'u'Ku jako tłumaczem, starali się zebrać jak najwięcej informacji o życiu krajowców. Udało im się nawet zajrzeć do największej budowli na końcu placu, zwanej emone. Służyła ona starszyźnie oraz wszystkim mężczyznom za miejsce zebrań. Również w niej nocowali kawalerowie. Po obydwóch stronach placu stały pojedyncze rzędy domów poszczególnych rodzin. Zwały się eme i były domami kobiet. W ich wnętrzach wiecznie panował mrok. Przy nikłym żarze węgla, palących się w rowku umieszczonym wzdłuż nadziemnej podłogi, zaledwie można było dostrzec ciemne sylwetki mieszkańców. Wszystkie domy zionęły ostrym odorem uryny, sadzy, nie mytych ciał i suszonych liści pokrywających dach. Ostatnie promienie zachodzącego słońca padały na dolinę. W wiosce kończono uroczysty wieczorny posiłek. Tomek szybko zjadł kolację, po czym przysunął się do ogniska i zapisywał w notesie swe spostrzeżenia. Było to jego

codziennym zajęciem o tej porze. Minęło sporo czasu, zanim schował notes do kieszeni. Sally zaraz przysunęła się do niego i zagadnęła:

– Zapewne poczyniłeś dzisiaj ciekawe obserwacje? Znacznie dłużej pracowałeś niż zwykle...

– Tak, moja droga, dzisiejsze popołudnie przyniosło nam bardzo interesujące informacje etnograficzne – przyznał Tomek. – Nie tylko ja, lecz również ojciec i pan Bentley byli nimi zaskoczeni.

– A więc to dlatego zaszyli się w swoim namiocie i dyskutują? – domyśliła się Sally.

– Właśnie uzgadniają treść notatki naukowej na ten temat – potwierdził Tomek.

– Dlaczego nie bierzesz udziału w tej naradzie? – zdziwiła się Sally.

– Podzieliliśmy się pracą. Oni się zajęli organizacją plemienną, podczas gdy ja badałem przekazy podaniowe.

– Opowiesz nam? – Nie czekając na jego odpowiedź, zawołała półgłosem: – Panie kapitanie! Nataszo! Tomek poczynił ciekawe spostrzeżenia! Chcecie posłuchać?

Kapitan Nowicki natychmiast usiadł przy ognisku obok Tomka. Natasza i pozostała młodzież obsiedli ich kołem.

– Smuga, Stanford i Wallace pierwsi mają wachtę. Mamy, więc sporo czasu! Chętnie posłucham tych ciekawostek – rzekł Nowicki i zaczął nabijać fajkę tytoniem.

– Czy przypominacie sobie nasze rozmowy na temat Nowej Gwinei, zanim wyruszyliśmy w głąb wyspy? – zapytał Tomek.

– Doskonale pamiętamy! – odpowiedział Zbyszek. – Przecież tyle dyskutowaliśmy na ten temat!

– Jeśli chodzi o topografię kraju, nasze przewidywania prawie całkowicie się sprawdziły – stwierdził Balmore.

– Tak, pod tym względem nie spotkały nas zbyt wielkie niespodzianki – odparł Tomek. – Również aż do dzisiejszego popołudnia nie spodziewaliśmy się jakichś rewelacji w zwyczajach krajowców. Przypuszczaliśmy, że wszyscy Papuasi nie posiadają organizacji plemiennej. Nawet gubernator w Port Moresby niewiele mógł nam o tym powiedzieć.

– A jakże, pamiętam doskonale, co mówił – wtrącił Nowicki. – Był przekonany, że to zupełnie dzicy ludzie, całkowicie żyjący w anarchii.

– Tak samo i my myśleliśmy – powiedział Tomek. – Dopiero dzisiaj przekonaliśmy się, że nasze przypuszczenia były błędne. Mianowicie poszczególne plemiona ludów Fuyughe, do których również należą Mafulu, rządzone są przez outame, tworzących tutejszą arystokrację.

– Ciekawe rzeczy opowiadasz! – zdumiał się Nowicki. – Któż to są ci outame?

– Legenda o ich pochodzeniu wiąże się z mitologią ludów Fuyughe – wyjaśnił Tomek.

– Mianowicie, według miejscowych wierzeń, pierwotni mieszkańcy Nowej Gwinei byli całkowicie dzikimi, bezpłciowymi istotami niższego rzędu. Nie mieli domostw, psów ani świń. Nie znali uprawy roślin. Dopiero bóg Tsidibe, który ucieleśnił się wychodząc z pewnego drzewa rosnącego w dolinie Tsirime, przyniósł do krajów Fuyughe outame, czyli pierwowzory różnych roślin i zwierząt, oraz pierwowzór prawdziwego człowieka, nazwanego outame.

Dobrodziejstwa, jakich bóg Tsidibe nie szczędził pierwotnym dzikim istotom oraz obecność outame, pierwowzoru człowieka pochodzenia półboskiego, spowodowały, że otrzymały one płęć i odtąd mogły się rozmnażać. W ten sposób powstały dwie klasy ludzi: jedna uprzywilejowana, pochodząca od outame, zwana an'ita, to jest “piękni i dobrzy”, oraz druga a'gata, czyli buluranis – poddani wywodzący się od dawnych pierwotnych istot. Bóg Tsidibe zorganizował życie buluranis. Podzielił ich na szczepy i na czele każdego z nich postawił jedną rodzinę outame. Najstarszy mężczyzna w tej rodzinie automatycznie zawsze jest naczelnym wodzem szczepu. Outame cieszą się wielkim szacunkiem, albowiem krajowcy wierzą, że dany szczep istnieje i może się rozmnażać tylko dzięki ich obecności. Posiadają oni nieograniczoną władzę życia i śmierci nad wszystkimi członkami szczepu, wypowiadają wojnę, lecz nigdy nie noszą broni i są mężami pokoju. Gdyby outame przypadkiem znalazł się w wirze walki, nikt by go nie zaatakował, gdyż jego życie jest święte.

– Ładni mężowie pokoju, którzy wypowiadają wojny i decydują o śmierci swych poddanych! – oburzył się Nowicki.

– Outame osobiście nie dowodzi wojownikami i nigdy nie bierze udziału w walce – odparł Tomek. – Wojnę prowadzi Emel'u'Babl, ojciec dzidy. Oprócz niego outame posiada starszych wodzów jako doradców i administratorów oraz mniejszych wodzów, zajmujących się sprawami wyżywienia, bogactwa i innymi. Wśród Fuyughe pełnią oni podobną rolę jak ministrowie w państwach europejskich.

– Nigdy bym nie przypuszczał, że nagusy, którzy nieraz z trudem liczą zaledwie do czterech i zupełnie się nie orientują w czasie, potrafią sobie zorganizować rząd na wzór europejski – dziwił się Nowicki. – To naprawdę wielka niespodzianka! Teraz rozumiem, o czym twój ojciec i Bentley tak zawzięcie rozprawiają w namiocie!

– Podanie tych wiadomości wywoła nie lada sensację! – przyznał James Balmore.

– Interesujący jest również sposób dziedziczenia funkcji naczelnego wodza wśród członków rodziny outame – dodał Tomek. – Otóż, jeśli outame nie ma własnego syna, władzę obejmuje brat lub jeden z jego synów, a gdyby i ten nie posiadał męskiego potomka, funkcję, naczelnego wodza dziedziczy syn córki outame. Istnieje tu także niepisane prawo, kto i z kim może zawierać małżeństwo oraz co do piastowania różnych godności.[\[81\]](#)

– Tommy, czy już wiesz, kto pełni w tej wiosce funkcję outame? – zapytała Sally. – Nie spostrzegłam nikogo wyróżniającego się zewnątrz!

– Nic dziwnego, autorytet outame wśród krajowców wynika z faktu posiadania przez

niego władzy. Zewnętrznie outame niczym się nie wyróżnia. Tutaj jest nim ten niepozorny mężczyzna, który pierwszy wyszedł z ukrycia, aby nas powitać – odparł Tomek.

– Czy spostrzeżliście, że on ma nieco jaśniejszą skórę od innych? – wtrąciła Natasza.

– Ojciec i pan Bentley od razu zwrócili na to uwagę – odpowiedział Tomek. – Ich zdaniem, odłamy ludów z różnych kontynentów przybywały na przestrzeni wieków i osiedlały się w Nowej Gwinei. Nowi przybysze spychali swych poprzedników w głąb wyspy, a czasem częściowo się z nimi łączyli. W ten sposób wytworzyła się tutaj różnorodność typów rasowych, zwyczajów oraz wielka liczba odrębnych języków. Najpierw prawdopodobnie przybyli na Nową Gwineę Pigmejowie[82], po nich kolejno napływali negroidzi[83], przedstawiciele rasy weddyjsko-australoidalnej[84], a w końcu europeidzi[85], dzięki którym powstał w Oceanii typ polinezyjski. Podczas długiej żeglugi na wschód niektórzy europeidzi, z własnej woli bądź też z konieczności, osiedlali się na napotykanym po drodze wyspach i mieszały się z krajowcami. Pan Bentley jest przekonany, że ów bóg Tsidibe oraz potomkowie pierwszego outame wywodzą się od jakiejś grupki europeidów, którzy wylądowawszy na wybrzeżu Nowej Gwinei, przedarli się przez góry w głąb wyspy do dolin zamieszkałych przez prymitywnych Fuyughe. W tych warunkach chyba z łatwością mogli wytworzyć wokół siebie mit półboskiego pochodzenia i ująć władzę w swoje ręce.

– Bardzo logiczny wywód – rzekł James Balmore. – Inteligentniejsi i lepiej zorganizowani przybysze zagarnęli dla siebie funkcje wodzów oraz ziemię.

– Tego nie powiedziałem! – zaprzeczył Tomek. – Ziemia pozostała własnością buluranis, czyli pierwotnych mieszkańców. Stanowi ich wspólnotę majątkową. Jeśli outame chce sam uprawiać poletko dla siebie, musi wydzierżawić ziemię od swych poddanych.

Czas szybko upływał młodemu podróżnikowi na rozmowie o zwyczajach Papuasów. Tymczasem w wiosce gwar z wolna przycichał. Kobiety i dzieci gromadziły się na uboczu, mężczyźni przysiadali wokół ognisk płonących w pobliżu domów. Palenie tytoniu bądź żucie betelu należały do największych przyjemności krajowców. Toteż jedni, niemal w uroczystym skupieniu, podawali sobie z rąk do rąk grube, bambusowe fajki, drudzy natomiast żuli betel. Niektórzy po prostu kładli do ust świeże liście pieprzu betelowego, posypane popiołem, inni zaś w bardziej udoskonalony sposób przygotowywali swe prymki. Mianowicie z banki, zrobionej z wydrążonej dyni, wydobywali drewnianą łopatką wapien ze sproszkowanych muszelek, którym posypywali liście betelu, po czym zawijali w nie pokrojone w plasterki orzechy palmy areki, dodając szczyptę tytoniu. Zwolenników żucia betelu zawsze z łatwością poznawało się po czerwono-brunatnych zębach i ustach jakby ociekających krwią[86].

Biali podróżnicy przerwali pogawędkę. Z okolicznej dżungli płynął przenikliwy krzyk cykad. Ciemne sylwetki chat wzniesionych ponad ziemią, odbłask ognisk pełzający po nagich, brązowych ciałach milczących krajowców i jasne, zimne niebo migoczące gwiazdami tworzyły wprost urzekający obraz. Naraz ktoś przy ognisku nieśmiało zanucił jakąś pieśń. Po kilku pierwszych tonach coraz to nowe głosy stopniowo zaczęły się

przylączyć do samotnego śpiewaka. Wkrótce cała wieś nuciła melancholijną piosenkę.

– Jak pięknie śpiewają... – szepnęła do przyjaciół wzruszona Natasza.

– Nawet pan Wilmowski i pan Bentley przzerwali pracę, żeby posłuchać tej smutnej pieśni – dodała Sally.

W tej właśnie chwili Smuga przybliżył się do grupki zasłuchanej młodzieży.

– Kto by pomyślał, że ci prymitywni ludzie posiadają tak romantyczne usposobienie – zagadnął. – To pieśń miłosna, jak twierdzi Ain'u'Ku.

– Faktycznie, nigdy bym ich o to nie podejrzewał – odparł Nowicki. – W dzień orzą tymi swoimi czarnymi ślicznotkami niczym mułami, a wieczorem śpiewają im o miłości!

– Co kraj to obyczaj, kapitanie – odezwał się Wilmowski, który razem z Bentleyem przystanął przy ognisku. – Wypytywaliśmy naszych gospodarzy o ich dziwne dla nas zwyczaje. Oni także zadali nam kilka pytań. Na przykład ciekawiło ich, ile u nas trzeba zapłacić rodzicom za taką żonę jak panna Natasza lub Sally. Odpowiedziałem, że my nie płacimy za żony. Na to ze zrozumieniem potaknęli głowami, a jeden z wojowników odparł: słusznie, białe kobiety do niczego, trzeba im pomagać w pracy.

– Tak, tak, moje panie! Papuaski wykonują wszystkie ciężkie roboty, toteż za żonę płaci się tutaj jedną lub nawet dwie świnie – wesoło dodał Bentley.

Dziewczęta wybuchnęły śmiechem, lecz rozmowa zaraz urwała się, ponieważ krajowcy rozpoczęli przygotowania do tańców. Na środku placu ukazało się trzech Papuasów z podłużnymi bębnami[87] o korpusach rezonansowych zwężających się ku środkowi, dzięki czemu przypominały starożytne klepsydry, jakich używano do mierzenia czasu. Wkrótce zahuczały bębny... Mieszkańcy wioski razem z tragarzami białych podróżników ruszyli w tan.

– Czas na spoczynek – odezwał się Smuga. – Tańce na pewno przeciągną się do późnej nocy, a tymczasem jutro musimy dotrzeć do Popole.

Ranek był mglisty i wilgotny. Tragarze mimo nie przespanej nocy rażno przygotowali się do drogi. Oczekiwali jedynie na powrót kobiet, które udały się do odległego strumienia po wodę zdatną do picia. Smuga zżymał się na nieprzewidziane opóźnienie. Wioska leżała niemal na brzegu wartko płynącego strumienia, lecz krajowcy twierdzili, że jest on nawiedzany przez złe duchy i każdy, kto by się odważył pić z niego wodę, mógłby ulec jakiemuś nieszczęściu. Dlatego też codziennie o świcie kobiety wędrowały do odległego strumienia, by w bambusowych rurach przynieść odpowiedni zapas wody uznanej przez czarowników za nadającą się do picia. Smuga niecierpliwił się opóźnieniem wymarszu, ale mimo to nie pozwolił nawet własnym towarzyszom czerpać wody z pobliskiego strumienia.

– Czy musimy ulegać śmiesznym zabobonom tych prymitywnych ludzi? – oburzył się James Balmore.

– Moglibyśmy ośmieszyć czarowników pijąc tę wodę, przecież na pewno nie będą

próchniały nam po niej zęby ani też nie wykrzywi nam twarzy, jak twierdzą ci szarlatani – dodał Zbyszek.

– Dość gadania, moi panowie! – zgromił ich Smuga. – Jesteście nowicjuszami na tego rodzaju wyprawie! Jeszcze wiele musicie się nauczyć. Śmieszny na pozór przesąd może przecież mieć jakieś logiczne uzasadnienie.

– Czy pan naprawdę tak sądzi? – zdumiała się Natasza.

– Oczywiście, proszę pani – odparł Smuga. – Czy nie przyszło wam do głowy, że woda w tym strumieniu może zawierać jakieś szkodliwe roztwory mineralne?

– A może też jakieś gnijące w niej rośliny czynią ją niezdrową dla człowieka? – dodał Tomek. – Zauważyłem, że krajowcy wrzucają do strumienia swoje odchody i wszelkie odpadki.

– Nam również radzili tak czynić – wtrącił Wilmowski. – Według tutejszych przesądów, czarownik chcąc rzucić urok na kogoś, musi posiąść jakikolwiek przedmiot, który należał do ofiary lub miał coś z nią wspólnego. Krajowcy wierzą, że każdy przedmiot wrzucony do wody staje się nieosiągalny dla czarowników oraz złych duchów.

– Ten śmieszny przesąd nikomu nie wyrządza krzywdy, a kto wie, czy woda w strumieniu naprawdę nie jest szkodliwa – powiedział Smuga. – Głupotą, więc byłoby psuć dobre stosunki z krajowcami z powodu takiego drobiazgu.

– Oto już po kłopotcie! Nadchodzą nosiwody – zawołał Nowicki.

Długi szereg kobiet właśnie wkraczał do wioski. Szły parami, a każda z nich niosła na ramionach dwie rury bambusowe zatkane na końcach jakby korkami z pachnących roślin. Wszyscy zaczęli gasić pragnienie. Niektórzy krajowcy nalewali sobie wody w zwinięte duże liście, inni pili wprost z bambusowych rur. Podczas nocnej zabawy tragarze zaprzyjaźnili się z mieszkańcami wioski, toteż wielu mężczyzn miejscowych, na czele z outame, postanowiło towarzyszyć karawanie przez część drogi do Popole. Każdy z nich dobrowolnie objuczył się jakimś pakunkiem, nie wyłączając nawet outame. Wkrótce ruszono w drogę.

Tragarze byli w doskonałym nastroju. Jako mieszkańcy okręgów leżących w pobliżu wybrzeża morskiego, zawsze odczuwali lek przed plemionami górskimi, które urządzały na nich wojenne wyprawy. Teraz szli w jak najlepszej zgodzie ze swymi odwiecznymi wrogami, dzielili się z nimi betelem, powszechnie tu uznawanym za symbol pokoju. Przyjaźń została nawiązana za pośrednictwem białych, podróżników, którzy okazali się potężnymi czarownikami. Z pobliskiego już Popole mieli powrócić do rodzinnych wiosek na morskim wybrzeżu. Toteż obecnie szli radośni i chóralnie śpiewali pieśń, naprędce ułożoną przez miejscowego poetę na cześć niezwykłych białych podróżników[88].

Radosny nastrój nie uległ zmianie nawet wtedy, gdy na jednym z postojów outame oznajmił, że musi już wracać do swojej wioski. Spokojnie wypowiedziane przez niego słowa były jedynym rozkazem, jaki wydał podczas całego marszu. Zaraz też można było poznać, jak wielkim autorytetem cieszył się wśród swoich ludzi, bez najmniejszego

sprzeciwu, bowiem natychmiast poczęli się żegnać z pozostałymi tragarzami i białymi podróżnikami.

– Proszę, outame niepozorny człeczyna, ale cieszy się nie lada mirem – odezwał się kapitan Nowicki, obserwując bacznie krajowców. – Uczyć się nam od nich dyscypliny!

– Szanują go jak rodzzonego ojca – wtórował Tomek. – Zastanawiałem się nad tym przed chwilą i pewne skojarzenie przyszło mi do głowy.

– Cóż takiego wymyśliłeś? – zapytał Nowicki.

– Zachowanie się outame pod pewnym względem przypomina mi postępowanie pana Smugi. On również zawsze cieszy się wielkim autorytetem i wydając polecenia prawie nigdy nie podnosi głosu.

– Jak amen w pacierzu, słuszne spostrzeżenie! – zdumiał się Nowicki.

– Jednak istnieje między nimi pewna różnica. Smuga jest okazałym mężczyzną, a tamten mikrusem!

– Tu chodzi o zalety wewnętrzne, a nie o wzrost.

– Ha, pewno masz rację, bo gdyby najwyższy miał rządzić to chyba ja zawsze byłbym wodzem! Cóż, rodzice chcieli jak najlepiej dla mnie, nie poskąpili mi męskiej postawy, tylko, że ja ciut za mało garnąłem się do książek – smutno rzekł Nowicki.

– Nie ma powodu do narzekania, kapitanie. Nigdy nie jest za późno na uzupełnienie wiadomości, a sam chciałbym mieć taki posłuch u ludzi, jak pan ma wśród załogi na swoim statku. Wszyscy w ogień by za panem poszli!

– Naprawdę tak sądzisz?! – ucieszył się Nowicki.

– Jestem tego najlepszym przykładem – odpowiedział Tomek. – Ojciec zawsze mówi, że staram się naśladować pana...

– Do licha, a tośmy się dobrali! – odparł Nowicki zadowolony. – Ty bierzesz wzór ze mnie, a ja z ciebie. Wiesz, postanowiłem nauczyć się tak pięknie pisać raporty w dzienniku pokładowym jak ty!

Mówiąc to wydobyl z lewej, dużej kieszeni bluzy gruby notes.

– Spójrz, ile nagryzmoliłem – rzekł. – Z każdej mojej wachty na lądzie sporządzam raport. W wolnej chwili będziesz mi poprawiał różne opisy, dobrze?

– Może pan na mnie liczyć – zapewnił Tomek. – Widzę, że tę sprawę wziął pan sobie głęboko do serca, skoro nosi pan ciężki notes w kieszeni na lewej piersi...

– Nie kpij, brachu, wiesz, że mam nieco przyciężką łapę do pióra i niełatwo mi to przychodzi...

Znów ruszyli w drogę. Tragarze szli rażno, bliskość celu wędrówki dodawała im sił. Górskie pasma coraz wyżej piętrzyły się ku niebu. Dopiero na krótko przed zapadnięciem wieczoru utrudzeni podróżnicy dotarli do płaskowyżu Popole. Ain'u'Ku wysunął się na

czoło karawany, zapewniał, że rozpoznaje rodzinne strony. Niebawem ukazała się rzeczka. Na jej przeciwległym brzegu znajdowała się wioska okolona drewnianą palisadą. Tym razem również nikt nie wyszedł na powitanie karawany, lecz Ain'u'Ku bez chwili namysłu w bród przebył rzeczkę. Pobiegł ku wiosce; osłoniwszy usta dłońmi, wołał coś donośnym głosem. Zza palisady wychyliło się kilka głów. Nastąpiło obopólne poznanie. Wrota w ogrodzeniu otwały się szeroko. Starszy mężczyzna, ojciec Ain'u'Ku, pierwszy wybiegł na spotkanie. Najpierw mocno objął syna ramionami, głośno wielokrotnie wymawiał jego imię. Potem położył swą głowę na ramieniu Ain'u'Ku, pocierał swoim nosem o jego nos i lewą dłoń przesunął po całym ciele syna, jak ślepiec, który tylko dotykiem może rozpoznać dobrze wyryte w pamięci kształty ukochanej osoby.

– Jak się cieszę, że poczciwy chłopiec odnalazł swoich najbliższych – powiedziała Sally do Tomka.

– No, teraz już nie zechce iść dalej z nami – zauważył Zbyszek.

– Zapewne długo nie było go w domu.

Krótką relacją Ain'u'Ku pozbawiła wszelkich obaw mieszkańców wioski. Gromadnie wybiegli na powitanie. Każdy chciał jak najprędzej ujrzeć potężnych białych czarowników. Wkrótce cała karawana znalazła się w obrębie palisady.

Podróżnicy ciekawie rozglądali się po wiosce. Widok domostw wymownie świadczył o nadzwyczaj prymitywnym życiu Mafulu. Większość z nich gnieździła się w zwykłych szałasach bez okien i drzwi, skleconych z gałęzi oraz skórzastych liści. Sprawiały one wrażenie wielkich uli, do których wnętrza człowiek mógł z trudem wczłogać się jedynie przez wąską szczelinę. Główne szkielety niektórych domów tworzyły po prostu pnie rosnących w pobliżu siebie palm, obudowane liściastymi ścianami. Często nie obcięte korony tych “naturalnych słupów” sprawiały wrażenie strzępiastych parasoli rozpiętych nad zieloną chatynką. Jedynie dom mężczyzny, emone, zbudowany na palach, szkółka i chatka misjonarza stanowiły budowle przypominające ludzkie sadyby.

Po oficjalnych powitaniach białych podróżników spotkała przykra niespodzianka; zbliżył się ku nim krajowiec, ubrany w niebieską koszulę sięgającą łydek, i rzekł:

– Moja kis baibe[89], wielki biały ojciec iść do duża woda, wasza może spać dom, który należeć jemu, all right!

Ain'u'Ku pospieszył z wyjaśnieniem jego słów. Okazało się, że misjonarz jest nieobecny. Wyruszył w kierunku wybrzeża.

– Kiedy powróci wielki biały ojciec? – zapytał Bentley.

– Mnóstwo wiele księżyców – odparł krajowiec. – Złe duchy gniewać się na wielki biały ojciec. On budować dom modlitw, złe duchy gniewać się, one trząść ziemia, góry, drzewa, przewracać domy. Wielki biały ojciec mówi: nasza budować inny dom z inny dach. Wtedy złe duchy go nie przewrócić i iść precz za góry do źli ludzie. My dobry ludzie!

Mówiąc to z dumą wskazał ręką krucyfiks i świstawkę zawieszoną na sznurku na jego

piersi.

– Do licha, zapewne trzęsienie ziemi niedawno nawiedziło tę okolicę – domyślił się Bentley. – Misjonarz, na którego informacje tak liczyliśmy, prawdopodobnie udał się na wybrzeże po jakieś trwalsze materiały budowlane.

– Niefortunne to dla nas – zafrasował się Wilmowski. – Zmarnujemy wiele czasu czekając na jego powrót.

– Później zastanowimy się, co powinniśmy uczynić. Teraz musimy pomyśleć o odpoczynku – powiedział Smuga. – Kis baibe radzi skorzystać z domku misjonarza. Ulokujemy w nim nasze panie.

– Rada dobra, wygodniej im tam będzie niż w namiocie – przytaknął kapitan Nowicki.

Chatynką misjonarza zbudowana była z szorstkich pni palm. Wielkie płyty kory przymocowane z zewnątrz do belek miały zasłaniać szczeliny pomiędzy nimi, lecz z powodu częstych w tych okolicach burz i wiatrów w ścianach pełno było szpar, umożliwiających zagłębienie do wnętrza chatki. W jedynym okienku tkwił kawałek drucianej siatki, a wykoślawione drzwi zrobione były z rozpołowionych pni młodych palm. Spadzisty dach z wierzchu pokrywała twarda trawa i liście. Przewiewna chatka naprawdę wyglądała bardzo nędznie, lecz za to z małej werandy, ukrytej pod okapem dachu, rozpościerał się wspaniały widok. Płaskowyż zewsząd otaczały łańcuchy górskie, które na północy tworzyły masyw spiętrzonych szczytów. Purpurowy odbłask zachodzącego słońca dodawał im tajemniczego uroku. Smuga uniósł drewnianą zasuwę i otworzył drzwi. Umeblowanie małej izdebki stanowiły jedynie dwa posłania sporządzone z bambusowych ram wplecionych lianami, stół zaimprovizowany z większej drewnianej skrzynki i krzeselko z mniejszej. Kapitan Nowicki, zawiedziony, rozejrzał się dookoła i rzekł:

– Ha, moje drogie, nie ma wam, czego zazdrościć!

– Hotelik skromny, ale aromat drzew cynamonowych bardzo przyjemny – rzekł Tomek, wnosząc do chatki podręczne bagaże dziewcząt. – Szpary w ścianach mają pewną zaletę. Będziecie mogły podziwiać panoramę nie podnosząc się z łóżek!

– Niech wieloryb połknie taką panoramę! – burknął Nowicki. – Chodź, brachu, trzeba pomóc rozbijać obóz. Głodny jestem!

ŁOWY NA RAJSKIE PTAKI

Przeciągły krzyk nocnego ptaka wyrwał Tomka z półsnu. Zanim otworzył oczy, jego prawa dłoń zacisnęła się na kolbie tkwiącego za pasem rewolweru. Uniósł się na łokciu, po czym wychylił głowę przez otwór szalasu zbudowanego na konarach rozłożystego drzewa. Gdzieś w pobliżu rozległ się trzepot skrzydeł, a potem zapadła cisza. Ciemność w dżungli była obecnie jeszcze bardziej nieprzenikniona. Był to nieomylny znak, że niebawem nastanie dzień. Tomek, uspokoiony, z powrotem legł na pachnącym posłaniu z trawy i liści. Krzyk ptaka nie przebudził ojca. Przez chwilę Tomek wsłuchiwał się w jego głęboki, trochę ciężki oddech. Ostrożnym ruchem nakrył ojca swoim kocem. Chłodne powietrze przesiąknięte było wilgocią. Młodzieniec zastanawiał się, czy zastosowany przez nich papuaski fortel myśliwski ułatwi im polowanie. Krajowcy często przygotowywali na drzewach zamaskowane zasadzki i ukryci w nich strzelali z łuków do ptaków nie podejrzewających niebezpieczeństwa. Obydwaj Wilmowscy skorzystali z doświadczeń krajowców; już czwartą noc czatowali w nadziemnym szałasie sporządzonym z gałęzi i lian, aby móc obserwować rajskie ptaki, żerujące na sąsiednich drzewach pandanowych obfitujących w ziarno. Życie i zwyczaje tych oryginalnych ptaków były dotąd w ogóle bardzo mało znane, toteż wszelkie obserwacje, poczynione w naturalnych warunkach, mogły posiadać dla ornitologii olbrzymie znaczenie; ponadto miały one umożliwić stworzenie rajskim ptakom, hodowanym w ogrodach zoologicznych, jak najdogodniejszych warunków bytowania, zbliżonych do naturalnych.

Podczas czterodniowych czat Wilmowski zanotował wiele cennych uwag. Okolice nie była nawiedzana przez krajowców; dzięki temu rajskie ptaki codziennie o świcie przylatywały do drzew pandanowych i żerowały, dopóki palące promienie słoneczne nie zmusiły ich do ukrycia się w cienistym buszu.

Poprzedniego wieczoru Wilmowski uznał, że posiada już dostateczny zbiór informacji o królewskim rajskim ptaku [90], spotykanym w większości niżej położonych regionów Nowej Gwinei. Nadchodzący ranek miał zakończyć czaty upolowaniem jednego lub kilku okazów tego gatunku rajskiego ptaka. Wiadomość ta bardzo ucieszyła Tomka; trochę było mu tęskno za Sally. Gdy tylko nie przebywali razem, zaraz niepokoił się o nią. Wiedział, że bardzo pragnie wyróżnić się jakimś sukcesem łowieckim podczas tej pierwszej w jej życiu wyprawy. Dlatego też obawiał się, aby nie popełniła jakiegoś nierozważnego czynu, który mógłby narazić ją na niebezpieczeństwo. Wyruszając z ojcem na kilkudniowe rozpoznanie, zlecił opiekę nad Sally kapitanowi Nowickiemu. Był pewny, że ten wierny druh wskoczyłby za nią w ogień. Mimo to pragnął już jak najprędzej znaleźć się w obozie. Niepokój Tomka nie był pozbawiony podstaw. Przeszło trzy tygodnie temu rozstali się w Popole z tragarzami najętymi w okolicy Port Moresby. Przy pomocy wiernego Ain'u'Ku zwerbowali nowych tragarzy i nie mogąc doczekać się powrotu "wielkiego białego ojca", odważnie wyruszyli w nieznaną kraj, rozciągający się na północ od płaskowyżu Popole. Teraz obozowali w pobliżu terenów wojowniczych Tawade, na których samo wspomnienie tragarze Mafulu dostawali gęsiej skórki. Wprawdzie gadatliwy Ain'u'Ku podtrzymywał na duchu swoich ziomków opowiadaniem o czarnoksiężskiej potędze białych masters, lecz

trudno było przewidzieć, jak zachowają się w razie nieoczekiwanego spotkania z okrutnymi wrogami. Rozmyślając o Sally, łowach i niebezpieczeństwach czyhających w głębi wyspy, Tomek ani się spostrzegł, że noc nagle poszarzała. Dopiero wrzask papug budzących się ze snu przywrócił go do rzeczywistości. Spojrzał w otwór szałas. Już dniało. Odwrócił się do ojca. W tej właśnie chwili Wilmowski odrzucił koce i usiadł na posłaniu.

– Dawno już nie śpisz? – zapytał syna. – Nic nie słyszałem... Oddałeś mi swój koc, zmarłeś zapewne?

– Krzyk jakiegoś nocnego ptaka zbudził mnie nad ranem i już nie mogłem zasnąć – wyjaśnił Tomek.

– Posilmy się trochę – zaproponował Wilmowski. – Zaraz rozpoczniemy czaty i polowanie. Może poszczęści nam się dzisiaj...

Tomek wyjął z myśliwskiej torby resztkę zapasów: kilka sucharów, małą puszkę konserw mięsnych oraz manierkę z wodą. W milczeniu pospiesznie zjedli śniadanie, po czym ostrożnie rozsunęli zbudowane z roślin ścianki nadziemnego szałas. Tak ukryci w listowiu mogli obserwować wszystko, co się działo wokół nich, nie zwracając na siebie uwagi pierzastych, krzykliwych mieszkańców dżungli. Tropikalny las budził się do życia, witając świt prawdziwą fanfarą ptasich głosów. Wśród barwnych kwiatów, zwisających jak wspaniałe girlandy z gałęzi drzew, nie mniej barwne papugi prowadziły ożywione "dyskusje". Małe białe kakadu o siarkowożółtych czubach gromadnie obsiadały dzikie drzewa owocowe; pokrewne im czarne kakadu [91], wielkie ptaszyska, żerowały na drzewach orzechowych, z łatwością krusząc twarde łupiny swymi dużymi, silnymi dziobami; na ciemnozielonym tle zieleni połyskiwały niezbyt wielkie lory [92] o upierzeniu czerwonym z dodatkiem jasnej zieleni lub purpury. U stóp drzew rozbrzmiewało w zaroślach gardłowe gruchanie leśnych dzikich gołębi, zwanych korońcami. Były one typowo ziemnymi ptakami o nieco ciężkiej budowie, które chroniły się na drzewach jedynie uciekając przed jakimś niebezpieczeństwem. Z łatwością poznawało się te największe z żyjących gołębi po niebiesko-szarym upierzeniu z purpurowo-czerwonym nalotem na piersiach oraz po charakterystycznych wielkich czubach na głowie, rozpostartych niczym wachlarze. Niektóre posiadały czuby po prostu rozstrzępione, inne natomiast miały na końcach tych piór niewielkie wydłużone, trójkątne chorągiewki [93].

Wilmowscy ciekawie przyglądali się krzykliwym mieszkańcom tropikalnego lasu. Naraz w ptasim rozgwarze rozbrzmiał nieprzyjemny, przeciągły gwizd. Wilmowski położył dłoń na ramieniu syna. Tomek potaknął głową, że zrozumiał znak. Rajskie ptaki nadlatywały na żerowisko. Niebawem też kilka z nich, trzepocząc skrzydłami, osiadło na widlasto rozgałęzionych drzewach pandanowych. Tomek, skupiony, obserwował ptaki, lecz po chwili zawiedziony cicho szepnął:

– Cóż to, widzę tylko samice?!

– Cicho, słuchaj! – uspokoił go ojciec.

Umilkli. Wibrujący, przeciągły gwizd znów rozbrzmiał w pobliżu, potem dołączyły się do niego nowe głosy. Wilmowski uniósł się, przykucnął; zachowując jak największą ostrożność z wolna wychylił się z szałas. Przez jakiś czas trwał nieruchomo w tej pozycji, lecz w końcu cofnął się do wnętrza i rzekł mocno podniecony:

– Tomku, kilka wspaniałych samców urządza niezwykle widowisko. Stąd nie będziemy mogli ich obserwować, musimy zejść na ziemię!

– Spłoszą się, gdy nas ujrzą! – odparł Tomek.

– Nie sadzę, Bentley zapewniał, że na początku okresu godów samce zbierają się na toki na specjalnie w tym celu wybranych drzewach. Wtedy podobno są tak zajęte sobą, że można do nich podejść zupełnie blisko.

– Cóż, musimy zaryzykować! – odparł Tomek zrezygnowany, gdyż obawiał się, że w razie niepowodzenia nie powrócą tego dnia do obozu.

– Bierz flobert [\[94\]](#), ja wezmę fuzję – powiedział Wilmowski.

Tomek pierwszy wyczołgał się z szałas na gruby konar, do którego przywiązana była drabinka upleciona z lian. Opuścił ją i zaczął schodzić po niej w dół. Upłynęło nieco czasu, zanim obydwaj z ojcem znaleźli się na ziemi, nie chcieli bowiem jakimś szybszym ruchem spłoszyć ptaków. Na szczęście dla nich nikt w tej okolicy nie urządzał polowań, ptaki nie poznały dotąd swego najgroźniejszego wroga, człowieka. Tomek najpierw sprawdził, czy karabin przygotowany jest do strzału, potem przewiesił go na pasie przez plecy i dopiero wtedy, z flobertem w rękę, ruszył za ojcem. Przemykając od pnia do pnia, znaleźli się w pobliżu tokujących ptaków. Próżność ich była tak zabawna, że wkrótce Tomek całkowicie zapomniał o wszystkich swych osobistych sprawach.

Na szczycie drzewa znajdowały się trzy samce, a każdy z nich starał się przyćmić swą wspaniałością pozostałych rywali. Dwa rajskie ptaki królewskie, o szkarłatnym upierzeniu grzbietu, piersi lśniącą zielonej, pomarańczowym łebku i szyi rubinowoczerwonej, z dumą stroszyły kępki jasnożółtych piór, rozpościerających się jak małe wachlarze na tle szarobiałego podbrzusza. Przeszępowały z nóżki na nóżkę, trzepotały czerwono-brązowo-zielonymi skrzydłami i, krygując się, z samouwielbieniem spoglądały na wystające z krótkiego ogona dwie bardzo wydłużone sterówki, pozbawione chorągiewek i tylko na samym końcu tworzące jakby zaokrąglone płatki.

Trzeci samiec należał do ptaków rajskich wielkich [\[95\]](#). Przewyższał rozmiarami rywali. Przysiadł nisko na gałęzi naprzeciwko napuszonych zarozumiałców, jakby zamierzał rzucić się na nich, i wznosił do góry wyrastające z boków kity długich, delikatnych, żółtawo-białych piór, które niby puszysty płaszcz osłoniły prawie cały jego grzbiet. Żółta plama na łebku, gardziel zielona o jasnym połysku oraz brązowe skrzydła, plecy i piersi wspaniale uzupełniały jego strój godowy.

Tomek w niemym zachwycie spoglądał na przepiękne ptaki. Nie dziwił się już, iż powstało o nich tyle romantycznych legend. Zapomniał nawet o ostrożności; coraz to bliżej skradał się do tokujących samców.

One tymczasem, jakby odgadując zachwyty nieostrożnego młodzieńca, coraz śmielej i bezczelniej pozwalały się podziwiać. Sfruwały na niższe gałęzie, odwracały się bokiem, tyłem, rozpościerały skrzydła, puszyły kity i jedynie ich przenikliwe, nieprzyjemne głosy zakłócały harmonijny obraz piękna.

Tomek wprost nie dowierzał swoim oczom. Teraz nie miał już wątpliwości – obydwaj zostali spostrzeżeni przez rajskie ptaki! One zaś wciąż chełpiły się swą wspaniałością. W końcu też zwróciły na siebie uwagę samic żerujących w pobliżu. Trzy z nich z trzepotem skrzydeł opadły na gałęzie sąsiednich drzew; przekrzywiając lekko łebki przyglądały się swoim mężom, jak aktorom na scenie.

Wilmowski znów dotknął dłonią ramienia syna. Tomek drgnął, zerknął na ojca. Ten wzrokiem wskazał na flobert. Tomek nie bez żalu pomyślał o konieczności pozbawienia życia tak wspaniałych ptaków. Rozumiał jednak, że teraz nie wolno było tracić czasu. Lada chwila ptaki mogły się poderwać do lotu. Słońce przygrzewało już dość mocno. Toteż tylko westchnął cicho, oparł się lewym bokiem o pień drzewa i wolno uniósł małowalibrowy karabinek do ramienia. Ptak rajski wielki akurat krzyknął przenikliwie. Tomek ujrzał jego pierś odsłoniętą na krótką chwilę. Pewnie nacisnął spust. Samiec zatrzepotał skrzydłami, niemal brzuchem dotknął gałęzi, po czym bezwładnie zsunął się na miękki mech u stóp drzewa.

Pozostałe dwa samce nawet nie zwróciły uwagi na cichy strzał i nagłe zniknięcie rywala. Krygowały się dalej, umożliwiając Tomkowi oddanie dwóch następnych celnych strzałów. Samiczki również nie wyczuły niebezpieczeństwa. Przyfrunęły do swych mężów, zdumiewając się ich nagłym znieruchomieniem. Dopiero gdy Tomek zabił jedną z nich, poderwały się do lotu, lecz wtedy Wilmowski wypalił z luf fuzji i obydwie opadły na ziemię.

– Wspaniały połów! – zawołał Wilmowski. – Zdobyliśmy trzy pary za jednym zamachem!

– Udało nam się, ojcze! – cieszył się Tomek, nieświadom nawet, że tylko głośny huk strzałów z fuzji ocalił co najmniej jednemu z nich życie.

Wilmowscy zajęci polowaniem nie wiedzieli, że ktoś przyczajony w pobliskich zaroślach obserwuje ich od dłuższego czasu. Był to młody wojownik ze szczepu Tawade, który przekradł się w celach zwiadowczych na tereny Mafulu. Jego nagie, brązowe ciało pokrywały pomalowane na przemian czarne i białe pasy. Czerwono-żółte koła, otaczające czarne jak węgiel oczy, oraz kość kazuara przeciągnięta przez chrząstkę nosową nadawały jego twarzy okrutny wyraz.

Zwiadowca Tawade po raz pierwszy w swym życiu ujrzał białe istoty. Przeraził się i nawet chciał uciekać, ponieważ wziął je za duchy, lecz ciekawość przewyciężyła strach. Ukryty w zaroślach nie spuszczał z nich wzroku. Z drżeniem serca obserwował czary, za pomocą których zabijali czarodziejskie rajskie ptaki. Nieznane białe istoty chciały zapewne przyozdobić swe głowy piórami własnoręcznie zabitego ptaka, aby nie imają się ich strzały z łuków ani dzidy.

Młody Tawade poszarżał na twarzy, gdy jeden z duchów uniósł dziwny, cicho huczący kij, a potem wspaniała rajski ptak spadł martwy z drzewa na ziemię! Potem widział kolejno zabijane dalsze ptaki. Według niepisanego prawa Tawade, tylko ich wielcy wojownicy mieli prawo polować na czarodziejskie ptaki. Toteż do głębi oburzony zwiadowca nałożył pierzastą strzałę na cięciwę, napiął łuk i mierzył do białej zjawy gwałcącej ich odwieczne prawo. Nagle druga zjawa podniosła swój kij. Potężny huk, jak i widok dwóch naraz padających ptaków do reszty przeraził młodego wojownika. Czy mógł walczyć sam z tak potężnymi duchami? Drżącymi rękoma ostrożnie zwolnił cięciwę łuku nie wypuściwszy morderczej strzały. Wiedział, że nikt nie zdoła zabić ducha...

Nieznane istoty wkrótce odeszły, zabierając zabite ptaki. Pozostał po nich tylko szalas zbudowany na konarach drzewa. Tawade był przekonany, że w tym lesie musiało się czać więcej złych duchów. Nie oglądając się za siebie, pobiegł w kierunku granicznej rzeki. On też pierwszy przyniósł do swojej wsi straszliwą wiadomość o pojawieniu się potężnych białych duchów.

Powrót obydwóch Wilmowskich z kilkudniowego wypadu wywołał w obozie zrozumiałą radość. Przyjaciele obstąpili ich kołem, szczerze winszowali sukcesu. Trzy pary rajskich ptaków stanowiły nie lada zdobycz! Tomek serdecznie uściskał zaróżowioną ze wzruszenia Sally i nie wypuszczając jej dłoni ze swej ręki, zadowolony wysłuchiwał pochwał. Lubił, gdy podziwiano celność jego strzałów.

– No, no, spisaliście się na medal! – mówił tubalnym głosem kapitan Nowicki. – Dobrze jednak, że już wróciliście! Zaczynaliśmy się o was niepokoić...

– Szczególnie jedna z pań wprost nie mogła się doczekać waszego powrotu – wesoło dodał Zbyszek.

– O którego z nas jej chodziło? – zażartował Wilmowski.

– O obydwóch, proszę pana – odpowiedziała Sally.

– Tylko nie myślcie, że stęskniła się za waszym widokiem! Brody wam urosły jak zbójcom – pokpiwał Nowicki. – Ona po prostu chciała się jak najprędzej pochwalić swoim szczurem!

– Tommy, nie wierz przewrotnemu panu kapitanowi! – zaoponowała Sally. – Wprawdzie byłam ciekawa, czy mój łup was ucieszy, ale przede wszystkim naprawdę za wami tęskniłam!

– Nie indycz się, ślicznotko – wesoło odrzekł Nowicki. – Powiedziałem tak, dlatego, aby nareszcie zwrócić uwagę na ciebie!

– Sally, o jakim to szczurze wspominał kapitan? – zaraz zainteresował się Tomek.

– Panna Sally miała wielkie szczęście – wtrącił Bentley. – Szczur ten jest naprawdę rzadkim okazem, drogi chłopcze!

– Skoro tak, to natychmiast musimy go obejrzyć – powiedział Wilmowski. – Gdzie ten szczur?

– W naszym laboratorium – wyjaśniła Sally. – Pan kapitan prawie kończy już wyprawę skóry.

Podróżne “laboratorium” znajdowało się w dużym namiocie z przeciw moskitowej siatki, w którym można było pracować nawet wieczorem przy świetle lampy naftowej. Łowcy gromadą obstąpili namiot, tylko Wilmowscy z Sally weszli do środka. Na prowizorycznym stole, zrobionym z desek drewnianej skrzyni, leżała rozpięta skóra z ogonem pokrytym łuskami.

– Pierwszy raz widzę podobny okaz – zdumiał się Wilmowski, – Ten szczur jest wielkości królika! Ani jedno muzeum europejskie nie może się pochwalić podobnym eksponatem!

– Zaledwie jeden egzemplarz, i to poważnie uszkodzony przez insekty posiada muzeum w Sydney – wtrącił Bentley. – Cenny to dla nas nabytek.

– Czy sama go schwytalaś? – zapytał Tomek.

– Dingo pomógł mi go osaczyć, ale wytropiłam sama! – odparła Sally.

– Wspaniale ci się udało! – przyznał Tomek. – Gdzie go znalazłaś?

– Na naszej polanie – odpowiedziała Sally. – W pierwszej chwili bardzo mnie przestraszył.

– Nic dziwnego, duża sztuka – przyznał Wilmowski.

– Pan kapitan osobiście ściągnął z niego skórę. Wiele się natrudził, aby nawet najdrobniejsze fałdki i załamania dobrze natrzeć maścią arsenikową – mówiła Sally. – W przeciwnym razie owady mogłyby złożyć w nich jaja i skórka byłaby zmarnowana.

– Widzę, że dobry z ciebie terminator na preparatora – pochwalił Tomek.

– Razem z Nataszą znalazłyśmy również kilka chrząszczy – dodała Sally. – Gnieźdzą się pod kamieniami i w zbutwiałych pniach.

– Jeśli tak dalej pójdzie, to wkrótce będziemy mogli założyć wędrowne muzeum – zażartował Tomek.

– Nasz zielnik również się powiększył. Zebraliśmy szereg nowych okazów storczyków – z dumą oznajmił Bentley. – Wielka szkoda, że większe kwiaty nie nadają się do zasuszenia. Za wiele zawierają wilgoci... Za to zrobiłem kilkanaście niezmiernie interesujących zdjęć.

– Suszarnia pracuje pełną parą – z humorem odezwał się Nowicki. – Niedługo zabraknie nam ręczników do wycierania się po myciu!

Tomek zaciekawiony rozejrzał się po przewiewnym namiocie, zwanym przez łowców podróznym laboratorium. Na deseczkach umieszczonych na krzyżakach z gałęzi suszyły się w słońcu różne okazy. Jedne z nich poowijane były w papierki, inne przykryto ręcznikami, aby nie wyblakły.

– Później obejrzymy nowe nabytki do naszych kolekcji, najpierw dajcie nam coś gorącego do zjedzenia – rzeki Wilmowski. – Przez cztery dni nie jedliśmy z Tomkiem gotowanych potraw!

– Właśnie pitrasimy fasolówkę na obiad – oznajmił Nowicki. – Chodźmy stąd, bo widok robaków odbiera mi apetyt!

– A gdzie pan Smuga? – zapytał Tomek.

– O to samo chciałem zapytać. Co się dzieje z Janem? – dodał Wilmowski.

– Poszedł z Dingiem poniuchać po okolicy! – wyjaśnił Nowicki. – Przecież musimy wiedzieć, co w trawie piszczy! Na czas swej nieobecności mnie zdał komendę. Myślałem nawet, że wróci razem z wami. Niepokoił się trochę i mówił, że zajrzy do waszej kryjówki, aby się przekonać, czy wszystko w porządku.

– Nie spotkaliśmy Jana. Kiedy wyszedł z obozu? – zapytał zaintrygowany Wilmowski.

– Dzisiaj, na krótko przed świtem – odpowiedział Nowicki. – Może rozmyślił się i poszedł w innym kierunku?

– Być może... Miejmy nadzieję, że wróci niedługo – odparł Wilmowski. – Teraz zjedzmy obiad!

Smuga zjawił się dopiero przed samym zachodem słońca. Wilmowski odczuł ulgę, ujrzawszy przyjaciela. Natasza zaraz podała Smudze miskę gorącej zupy, a on, zaledwie odłożył broń, ochoczo zabrał się do jedzenia.

– Głodny jestem jak wilk – odezwał się, zerkając na obydwóch Wilmowskich. – Dingo upolował sobie jakąś pierzastą przekąskę po drodze, ale ja musiałem obejść się smakiem.

– Gdzie byłeś tak długo, Janie? – zagadnął Wilmowski. – Kapitan mówił, że miałeś zamiar odwiedzić nas na czatach!

– Tak, tak było w istocie, lecz zmieniłem zamiar. Odkryłem nowe miejsce na rozłożenie obozu. Wprost roi się tam od ptaków i orchidei.

– Daleko to stąd? – zapytał Wilmowski.

– Hm, nie tak daleko... Dobrze, że już wróciliście. Poproszę ciebie, Andrzeju, Tomka, pana Bentleya i kapitana na naradę. Musimy omówić dalszą marszrutę. Bardzo też jestem ciekaw waszego sprawozdania.

Wilmowski baczniej spojrział na Smugę, który jak zwykle był opanowany. Mimo to intuicja podszeptowała Wilmowskiemu, że przyjaciel ma im coś ważnego do powiedzenia. Zaledwie siedli na uboczu przy ognisku, Smuga nabił fajkę tytoniem i rzekł:

– Andrzeju, opowiedz dokładnie przebieg czatów.

Podczas gdy Wilmowski zdawał relację, Tomek dorzucił do ognia wilgotnych gałęzi, aby więcej dymiły. Z nadejściem wieczoru moskity rozpoczęły niesamowite harce...

– Zebraliście niewątpliwie cenne materiały i okazy – przyznał Smuga, uważnie

wysłuchawszy sprawozdania. – Czy już opowiedziałeś wszystko?

– Tak! – potwierdził Wilmowski. – Chyba, że Tomek ma coś do dodania?

– Nie, naprawdę nic nie mógłbym dodać – zaprzeczył młodzieniec.

Smuga dmuchnął dymem z fajki na komara siedzącego na jego dłoni, spojrzał na Tomka i zapytał:

– Czy ostatniej nocy na czatach nic cię nie zaniepokoiło?

– Nie, proszę pana...

– Na pewno nic nie zwróciło twojej uwagi? Przypomnij sobie dobrze! – nalegał Smuga.

– Zaraz... na jakiś czas przed świtem zbudził mnie krzyk nocnego ptaka. Potem słychać było trzepotanie skrzydłami, ale chyba nie o to panu chodzi?

Smuga nie odpowiedział. Zamyślony pykał z fajki, spoglądając to na Wilmowskiego, to na Tomka. W końcu odezwał się:

– W kraju, gdzie zewsząd czyhają nieznane niebezpieczeństwa, nigdy nie należy zapominać o przezorności. Być może krzyk ptaka w nocy w pobliżu waszej kryjówki został spowodowany napaścią jakiegoś drapieżnika, lecz z równym powodzeniem i kto inny mógł się włóczyć po dżungli.

– Janie, ty byłeś tam dzisiaj! – cicho zawołał Wilmowski. – Czy masz mim coś do zarzucenia?

Smuga uśmiechnął się zagadkowo, po czym odparł: – Tak, nie mylisz się, przyszedłem tam, zanim zeszłicie na ziemię, żeby zapolować na rajskie ptaki. Nie chcę teraz udowadniać, że będąc na waszym miejscu zachowałbym się inaczej! Nie, może sam również bagatelizowałbym ten niepokój nocnego ptaka. Mądry Polak po szkodzie... W każdym razie, Tomku, wykazałbyś wiele roztropności, gdybyś zaraz o świcie uważnie rozejrzał się po okolicy. Na drugi raz nie zaniechaj tej ostrożności! Byliście śledzeni... U stóp drzewa, na którym mieściło się wasze zamaskowane stanowisko, znalazłem ślady bosych stóp.

– Do licha, słusznie czynisz nam wyrzuty! – przyznał Wilmowski.

– W jaki sposób pan to odkrył? – zapytał Tomek, wzburzony zasłyszana wiadomością.

– Gdy zbliżałem się do waszego stanowiska, Dingo zaczął okazywać niepokój – wyjaśnił Smuga. – On też naprowadził mnie na ślady pozostawione przez krajowców. Były bardzo świeże. Idąc za nimi, odkryłem śledzącego was obcego wojownika. Zacząłem go obserwować. Nie okazywał przyjaznych zamiarów, lecz był porządnie przestraszony waszym widokiem. Prawdopodobnie po raz pierwszy ujrzał białych ludzi. Mimo to omal nie musiałem go unieszkodliwić. Wymierzył z łuku do ciebie, Tomku, gdy zaczęłaś zabijać rajskie ptaki. Na szczęście huk fuzji Andrzeja odebrał mu odwagę. Uciekł, a ja podążyłem za nim.

Wilmowski dłonią otarł pot z czoła.

– Tylko dzięki przypadkowi uniknęliśmy śmiertelnego niebezpieczeństwa – rzekł po chwili. – Masz rację, byliśmy obydwaj nieostrożni.

– Dobra lekcja dla nas wszystkich – odezwał się Nowicki. – Musimy zaostrzyć czujność.

– Słusznie, kapitanie, dlatego właśnie opowiedziałem wam o wszystkim – rzekł Smuga. – Ten młody wojownik był zapewne zwiadowcą Tawade. Umknął za rzekę, która według relacji Mafulu stanowi granicę pomiędzy terenami obydwóch plemion.

– Musi być nie lada zuchem, skoro odważył się nocą wędrować po dżungli – zauważył Tomek.

– Śmiały, daleki zwiad w teren nieprzyjacielski – zawtórował Nowicki.

– Jakie wyciągasz wnioski, Janie? – zapytał Wilmowski.

– Za długo obozujemy w jednej okolicy – wyjaśnił Smuga. – Musimy jak najprędzej zwinąć obóz i ruszyć naprzeciw niebezpieczeństwu. Za pierwszym zwiadowcą wyruszą inni. Napłotą o nas niestworzonych rzeczy. Musimy to uprzedzić.

– Zgadzam się z panem! – potaknął Bentley.

– Jeśli nasi tragarze odkryją, że jesteśmy śledzeni przez Tawade, nie pójdą z nami dalej – powiedział Wilmowski. – Jak daleko stąd do owej rzeki granicznej?

– Dla karawany jest to niemal dzień drogi – odpowiedział Smuga.

– Panie Bentley, ile czasu potrzebuje pan na konserwację okazów zdobytych przez Wilmowskich?

– Pojutrze o świcie możemy ruszyć w drogę.

– Szczur naszej Sally również prawie już gotów do transportu – zauważył Nowicki.

– A więc dobrze! Jutro rozpoczniemy przygotowania do wymarszu – rzekł Smuga. – O naszej rozmowie nikomu ani słowa.

– Święta racja, ale strażę trzeba podwoić – dodał Nowicki.

– Ty kapitanie, i ty, Tomku, szczególnie miejcie oczy i uszy otwarte – zakończył Smuga naradę.

JESZCZE KROK, A ZGINIESZ!

Według obliczeń Smugi zaledwie dzień marszu dzielił karawanę od granicznej rzeki. Lecz w rzeczywistości w ciągu jednego dnia przebyli zaledwie połowę drogi. Tragarze często przystawali. To rozwiązywały im się bagaże, to byli bardzo zmęczeni bądź też odczuwali różne dolegliwości. Wilmowski co chwila wydobywał podręczną apteczkę. Porywczy kapitan Nowicki ponaglał maruderów, lecz ani perswazje, ani groźby nie polepszyły sytuacji. Tragarze tego dnia nawet nie śpiewali podczas marszu, co najwymowniej świadczyło o ich złym nastroju. Porozumiewali się ukradkiem i posępnym wzrokiem spoglądali ku północy, gdzie spiętrzone szczyty dominowały nad górzystą krainą. Smuga uspokajał towarzyszy i nakłaniał do ukrywania zniecierpliwienia. Doskonale się orientował w powodach tej nagłej opieszałości tragarzy. Przerazała ich bliskość rzeki, odgraniczającej tereny Mafulu i Tawade. Okolica zmieniła wygląd. Obecnie wędrowali przez głębokie, bagniste wąwozy, w których odór gnijących roślin mieszał się z aromatem wspaniałych kwiatów, zwisających z gałęzi drzew. Dżungla nie tworzyła tutaj zwartego gąszczy i obfitowała w dzikie drzewa owocowe. Chmary różnych ptaków, płoszone przez karawanę, co chwila podrywały się z drzew, na których żerowały, i napełniały las swoim krzykiem.

Dingo spuszczonej ze smyczy wciąż dawał nura w okoliczne zarośla, nie okazywał wszakże niepokoju, jaki go zawsze ogarniał, gdy węszył szczególne niebezpieczeństwo. Tomek bacznie obserwował swego ulubieńca. Widząc jego niefrasobliwe zachowanie, postanowił upolować coś na wieczorny posiłek dla tragarzy. Smuga nie zaproponował, jedynie przestrzegał młodego przyjaciela, by zbyt nie oddalał się od karawany. Zapasy żywego prowiantu dawno już się wyczerpały, a tymczasem mięsna wieczerza niezawodnie poprawiłaby nastrój zastraszonej Mafulu.

Tomek uzbrojony w sztucer i flobert gwizdnął na psa. Ten natychmiast przybiegł do nogi.

- Szukaj, Dingo, szukaj... – zachęcił Tomek.
- Gdybyś potrzebował pomocy, wystrzel trzykrotnie ze sztucera – zawołał Smuga.
- Dobrze, chociaż wątpię, aby moje łowy zakończyły się aż tak obfitym łupem – odparł Tomek i nie tracąc czasu ruszył za Dingiem.

Wkrótce odgłosy maszerującej karawany całkowicie ucichły. Doskonale wytresowany pies zaraz wysunął się do przodu. Nadstawał uszu, węszył w powietrzu, kluczył; w pewnej chwili przystanął i nastroszył sierść, jakby wytropił jakąś większą zwierzynę. Tomek trochę zdziwiony przewiesił flobert przez plecy; ze sztucерem przygotowanym do strzału ruszył za psem w głąb zarośli. Po kilku krokach Dingo znów przystanął i obejrzał się na Tomka. Młodzieniec ostrożnie rozchylił paprocie. Na małej, błotnistej polance brodziły olbrzymie ptaki. Były to kazuary hełmiaste^[96], wielkie ptaszyska o szczątkowych skrzydłach, a w zamian posiadające silnie rozwinięte nogi. Biegały truchcikiem po polance i skrzętnie łowiły żaby.

W czasie wędrówki przez Nową Gwineę łowcy już kilkakrotnie spotykali kazuary, lecz płochliwe ptaszyska, z daleka ujrawszy krzykliwą gromadę ludzi, zawsze umykały z niezwykłą szybkością. Teraz dopiero po raz pierwszy Tomek mógł obserwować te wybitnie lądowe ptaki spokojnie żerujące. W dzikim stanie, na wolności, wyglądały zupełnie tak samo, jak te, które już oglądał w ogrodach zoologicznych. Dorosłe, niemal całe czarno upierzone okazy, posiadały głowę oraz górną część szyi nagą. Skóra w tych miejscach, koloru fioletowo-niebiesko-czerwonego, była pomarszczona, brodawkowata, na przedzie szyi zaś tworzyła dwa zwisające płaty. Biegając truchcikiem na swych trzypalczastych, szarozółtych nogach, trzymały poziomo tułów pozbawiony wyraźnego ogona. Przy samicach znajdowało się kilka zabawnych piskląt o jasnobrązowych, puszystych tułowiach, upstrzonych na grzbiecie kilkoma podłużnymi, szerokimi czarnymi pasami. Z niezwykłą żarłocznością rzucały się na żaby i jaszczurki bądź leż pożerały owoce strącane z drzew przez matki. Te ostatnie, nie mogąc dziobem dosięgnąć zbyt wysoko rosnących owoców, rozzłoszczone potrząsały gałęziami, kopiąc drzewo swymi potężnymi nogami.

Tomek niezbyt długo przyglądał się kazuarom. Znał już ich zwyczaje. Wiedział również, że posiadają znakomity wzrok oraz słuch i węch lepiej rozwinięty niż u innych ptaków. Nie chcąc więc, aby go przedwcześnie wypatrzyły, pochylił się do Dinga; głową wskazał kazuary i zatoczył ręką półkole. Dingo nastroszył sierść, machnął ogonem i zniknął w krzewach. Tomek trzymał sztucer w pogotowiu. Wypatrywał młodsze sztuki, gdyż mięso starych okazów było twarde i niesmaczne.

Dingo doskonale pojął niemy rozkaz. Po kilku minutach wybiegł z przeciwnej strony na polanę. Szczekając chrapliwie, usiłował nagnać ptaki wprost na stanowisko Tomka. Kazuary, przestraszone w pierwszej chwili, rychło zorientowały się, że wróg nie jest zbyt groźny. Ogarnięte wściekłością, z pasją rzuciły się na psa, usiłując dosięgnąć go dziobem bądź niezwykle silnymi nogami. Dingo, zaprawiony w łowach na różną zwierzynę, zręcznie unikał kopnięć, które mogły połamać mu kości. Tomek nie miał zamiaru niepotrzebnie narażać swego ulubieńca. Upatrzył już dwa młode kazuary. Gdy tylko znalazły się na linii strzału, błyskawicznie posłał dwie kule jedną po drugiej. Zaraz też wypalił w powietrze po raz trzeci, ponieważ trzy strzały miały być odpowiednim hasłem dla Smugi. Dwa ptaki padły na polanę, pozostałe pierzchały z niezwykłą szybkością. Tomek wysłał Dinga na spotkanie przyjaciół, a sam przysiadł na trawiastej kępie i czekał. Nim minął kwadrans, w lesie rozbrzmiały donośne nawoływania. Tomek od razu rozpoznał tubalny głos kapitana i ochoczo odkrzyknął:

– Hop, hop! Tutaj jestem! Mam dwa kazuary!

Po paru minutach z krzewów najpierw wybiegł Dingo, a za nim trochę zdyszany kapitan Nowicki, James Balmore oraz czterech krajowców.

– Zmyślne psisko! – zawołał Nowicki. – Raz dwa doprowadziło nas do ciebie!

– Dzięki niemu szybko upolowałem coś na kolację – odparł Tomek.

– Lepszy rydz niż nic! – powiedział marynarz, niechętnie spoglądając na ptaki.

– Niezbyt zachęcająco wyglądają te ptaszyska... – mruknął Balmore.

Kapitan Nowicki pochylił się do ucha Tomka i szepnął:

– Czy zauważyłeś, jak nasi tragarze nieufnie zerkają po lesie? Nie mieli zbyt wielkiej ochoty odłączać się od karawany! Widać po nich strach!

– Wiedzą, że Tawade już blisko... – odszepnął Tomek.

Mrugnął porozumiewawczo do przyjaciela i dla dodania otuchy Papuasom sam poprowadził ich ku martwym ptakom. Od czasu, gdy popisał się przed tragarzami sztuczką palenia wody, zyskał u nich wielki autorytet. Mimo to Papuasi trwożliwie spoglądali teraz na zarośla i rozmawiali tylko półgłosem. Nie tracąc czasu, natychmiast ścięli dwa bambusy, lianami przymocowali do nich kazuary i oparłszy końce żerdzi na barkach, ruszyli w powrotną drogę. Wkrótce dogonili karawanę. Widok zabitych kazuarów nieco polepszył ogólny nastrój. Papuasi zawsze pragnęli mięsa, a ponadto pióra ze skrzydeł służyły im do wyrobu ozdób, noszonych w przedziurawionych przegrodach nosowych.

Tuż przed wieczorem karawana natrafiła na leśną polanę położoną na łagodnym górskim stoku. Smuga postanowił zatrzymać się na niej na noc. Tylko dla dziewcząt rozłożono jeden mały namiot. Mężczyźni mieli nocować przy ogniskach, aby o wschodzie słońca móc wyruszyć w drogę, nie tracąc czasu na prace obozowe.

Z zapadnięciem ciemności nastrój Papuasów znów uległ pogorszeniu. Zbici w gromadki obsiedli ogniska; w milczeniu nasłuchiwali odgłosów płynących z pogrążonej w mroku dżungli. Według miejscowych przesądnych wierzeń, las z nastaniem nocy stawał się królestwem duchów, których odgłosy dawały się słyszeć w szumie drzew i krzyku nocnych ptaków. Toteż podszyci strachem zabobonni Papuasi obawiali się nawet spoglądać w kierunku leśnego gąszczu. Aby uniknąć konieczności oddalania się w nocy z obozu w celu załatwiania własnych potrzeb naturalnych, żuli liście jakiejś rośliny, które jakoby działały hamująco. Biali łowcy także nie lekceważyli niebezpieczeństwa. Wprawdzie nie przerażały ich naiwne opowieści o duchach, lecz świadomość, że byli już tropieni przez zwiadowców Tawade, zmuszała do zachowania jak najdalej idących środków ostrożności. Smuga, Nowicki i Tomek na zmianę obchodzili obóz, zapuszczali się w gąszcz na skraju dżungli, szczególnie bacząc na zachowanie Dinga. Ich towarzysze w obozie trzymali karabiny w pogotowiu, a krajowcy nie wypuszczali z rąk dzid i maczug. Nikt nie nucił tego wieczoru pieśni, nie było słyhać głośniejszych rozmów. Dzięki temu obozowisko łowców rajskich ptaków przypominało wojskowy biwak przed walką mającą nastąpić o świcie.

Zaciekle ataki moskitów trwały przez całą noc, toteż wszyscy z uczuciem ulgi powitali mglisty ranek. Zanim wschodzące słońce zaczęło rozpraszać opary, karawana już była w drodze. Ku zdumieniu podróżników, tragarze nieoczekiwanie zmienili taktykę. Nie opóźniali marszu, nie utyskiwali, a nawet samorzutnie przyspieszali kroku. Jednak, tak jak poprzedniego dnia, szli w bardzo zwartej kolumnie i nie śpiewali.

– Zapewne spokojna noc dodała im otuchy – mówił kapitan Nowicki, który ze Smugą i Tomkiem stanowili przednią straż.

– Oby tak było, ale raczej spodziewam się, czego innego – odparł Smuga.

– Czy pan przypuszcza, że będą chcieli nas porzucić? – dopytywał się Tomek.

– A jakże! – potaknął Smuga. – Pewno postanowili rozstać się z nami na brzegu granicznej rzeki.

– Jak amen w pacierzu, masz pan rację! – zawołał Nowicki. – Smarują rażno do przodu, aby jak najprędzej znaleźć się w drodze powrotnej!

– Tego właśnie się spodziewam – odpowiedział Smuga. – Myślę, Tomku, że znów będziesz musiał przedzierzgnąć się w czarownika.

– Jeśli tak dalej pójdzie, wkrótce zabraknie mi nowych pomysłów – markotnie odrzekł młodzieniec.

– Możesz jeszcze raz pokazać palenie wody – zaproponował Smuga. – To wywarło na nich silne wrażenie.

– Pokaż im tę sztuczkę z wcieraniem monety w kark, którą swego czasu popisałeś się przed afrykańskim czarownikiem – doradził Nowicki.

– Niezła myśl – pochwalił Smuga. – Mógłbyś także rozpalić ognisko, skupiając promienie słoneczne za pomocą soczewki. Może sam też coś wymyślę...

– Widzisz, brachu, nie masz się, czym martwić – powiedział Nowicki. – Wkrótce będziesz najślawniejszym czarownikiem w całej Oceanii!

Teren obniżał się coraz bardziej. Wysokie bambusy, drzewa palmowe i olbrzymie osty tworzyły trudny do przebycia gąszcz. Coraz intensywniejszy odór zgnilizny zwiastował bliskość rzeki. Przesiąknięta wilgocią ziemia ugięła się pod stopami podróżników, a czasem wręcz brodzili po rozległych mokradłach, zostawiając po sobie ślady w postaci małych kałuż czarnej, tłustej wody. Przedzieranie się przez zarośla było bardzo męczące. Wszystkich bolały nogi, pokaleczone przez długie, ostre liście i trawę. Dopiero w godzinach popołudniowych karawana dobrnęła do nisko położonych brzegów rzeki. Wiele trudu kosztowało Smugę wyszukanie miejsca odpowiedniego na odpoczynek. Zachłanna dżungla zazdrośnie zagarniała dla siebie każdą piędź ziemi. Potężne drzewa, niczym olbrzymy nagle powstrzymywane w zwycięskim marszu, pochylały się ponad korytem rzeki, zapuszczając płataninę korzeni nawet w żółtawe wody. Smuga wypatrzył skrawek piaszczystego wybrzeża, strzałem ze sztucera przepłoszył drzemiące w słońcu krokodyle i polecił tragarzom złożyć bagaże. Krajowcy pospiesznie wykonali rozkaz, po czym zbici w ciasną gromadę siedli na piasku. Wystraszonym wzrokiem spoglądali na przeciwległy, cichy, wrogi brzeg rzeki.

Łowcy z niepokojem obserwowali Papuasów; ich posępne milczenie nie wróżyło niczego dobrego. Wilmowski zbliżył się do Smugi i zagadnął:

– Janie, obawiam się, że Mafulu nie pójdą z nami dalej.

– Postawią się okoniem, ale pójść będą musieli, gdyż inaczej byłby to koniec całej naszej wyprawy – odparł Smuga, nabijając fajkę tytoniem.

– Czy jesteś pewny, że uda ci się zmusić ich do posłuszeństwa? Proszę cię, Janie, bądź

ostrożny!

– Nie miałem na myśli użycia siły – odpowiedział Smuga. – Postaram się nakłonić ich, aby towarzyszyli nam do najbliższej wioski. Potem będą mogli wrócić, jeśli zechcą.

Umilkli. Smuga wypalił fajkę, po czym wydobyl z podręcznej torby lunetę. Długo wodził nią po drugim brzegu rzeki, gdzie nieprzenikniony gąszcz pnący zagradzał drogę do wiosek ludożerców i łowców głów. Chowając lunetę, zwrócił się do Wilmowskiego:

– Andrzeju, weź do pomocy Bentleya, Balmora oraz Zbyszka i zajmijcie się tragarzami. Gęste chaszczce na pewno dały im się porządnie we znaki. Muszą mieć sporo ran. Potem niech przyjdą na rozmowę!

Tragarze nieco się ożywili, gdy Wilmowski przystąpił do sporządzania “cudownego” leku, za jaki uważali roztwór nadmanganianu potasu. Wszyscy chętnie poddawali się zabiegom, po czym zgodnie z poleceniem Wilmowskiego przysiadali na piasku przed Smugą. Gdy ostatni Papuas został opatrzony, najstarszy wiekiem tragarz podniósł się i podszedł do Smugi. Zanim jednak zdążył cokolwiek powiedzieć, Smuga odezwał się:

– Wiem, co masz zamiar mi oznajmić! Chcecie wracać do swoich wiosek. Dobrze, każdy z was otrzyma tyle muszli, ile wam obiecaliśmy.

Przychylny szmer głosów utwierdził podróżnika w przekonaniu, że trafił w sedno sprawy. Uśmiechnął się i zagadnął:

– A może niektórzy z was chcieliby otrzymać jeszcze więcej muszli? Wtedy każdy mógłby sobie kupić nawet małą świnię! Wielu z was nie ma jeszcze żon, a cóż jest wart mężczyzna bez kobiety, która by dla niego pracowała? Kto będzie uprawiał wasze pola?

Ain’u’Ku powtórzył słowa Smugi swoim ziomkom. Ze zrozumieniem potakiwali głowami. Okazało się, że wszyscy chcieliby otrzymać “mnóstwo muszli”.

– Jeśli pójdziecie z nami do najbliższej wioski Tawade, dobrze wam zapłacimy. Każdy z was będzie bogaty – kusił Smuga.

Papuasi natychmiast spochmurnieli. Ich starszy wyjaśnił, że pomiędzy Mafulu i Tawade trwa wojna. Jeśli przekroczą rzekę, nikt z nich nie wróci do swojej rodziny.

– Tawade mnóstwo źli ludzie. Oni kai kai człowiek. Wasza także tam nie chodzi. All right! Kanak nie chce muszli, Kanak wraca. All right! – zakończył kategorycznie.

– Ain’u’Ku, powiedz im, że my nie boimy się Tawade – odparł Smuga. – Jeśli zechcemy, to ich wojownicy staną się nie więksi od żaby, a któż by się obawiał tak małego człowieka?

Smuga wyjął lunetę i przysunął ją Papuasowi do oka. Ten cofnął się przestraszony, albowiem gąszcz po drugiej stronie rzeki natychmiast przybliżył się zaledwie o wyciągnięcie ręki. Smuga uspokoił go gestem, po czym odwrócił lunetę. Papuas oniemiał; przeciwny brzeg był teraz daleki i bardzo mały. Potem Smuga pozwolił mu spojrzeć na krokodyla wylegającego się na łasze piaskowej i na własnych towarzyszy. Krajowiec wydawał okrzyki zdumienia, gdy na przemian przybliżali się i oddalali od niego.

Oczywiście zaintrygowani tragarze chcieli spojrzeć przez czarodziejski kij i pytali, czy wszystkich Tawade można uczynić małymi ludźmi. Smuga cierpliwie potakiwał, zapewniał, że Tawade nie odważą się zaatakować karawany. Oświadczył również, że młody master może nie tylko spalić wodę w rzekach, ale nawet całą dżunglę, ponieważ posiada magiczny kamień, który sprowadza na ziemię ogień wprost ze słońca. Krajowcy natychmiast zapragnęli ujrzeć te dziwy. Tomek jeszcze raz dokonał próby palenia wody, a potem, za pomocą dwóch szkiełek od zegarków, zapalił kupkę suchego chrustu. Oszołomieni niezwykłymi czarami tragarze odbyli burzliwą naradę, po czym zgodzili się iść z łowcami do najbliższej wioski Tawade. Zażądali jednak zapewnienia, że biali masters będą eskortowali ich w drodze powrotnej aż do granicznej rzeki.

Była ona niezbyt głęboka i nieszeroka. Duże głazy wystawały z żółtawej, mętnej wody i umożliwiały przedostanie się na drugi brzeg. Mimo to Papuasi nie kwapili się do przeprawy. Widząc to, kapitan Nowicki postanowił dodać im odwagi. Nie bacząc na obecność krokodyli, śmiało skoczył na najbliższy kamień, zachwiał się, lecz zaraz odzyskał równowagę. Z karabinem w prawej dłoni kilkunastoma skokami znalazł się na przeciwległym brzegu.

– Do licha, trzeba być marynarzem, żeby się odważyć na taką akrobację – zawołał Bentley.

– Zaprawiał się na rejach – wtrącił Wilmowski. – Dla nas wszakże to zbyt ryzykowne. Każdy nieudany skok grozi stoczeniem się w wodę, a w niej czyhają krokodyle.

Papuasi z zapartym tchem śledzili Nowickiego. Widząc, że szczęśliwie przebył rzekę i nic złego nie spotkało go na ziemi Tawade, pomyśleli o “zbudowaniu” mostu. W tym celu wybrali wysokie drzewo pochylone nad korytem rzeki i zaczęli toporkami podcinać jego pień. Po jakimś czasie drzewo zatrzeszczało złowieszczo, pochyliło się i runęło, sięgając koroną niemal drugiego brzegu. Tragarze już bez namysłu przechodzili po tym bezpiecznym pomoście. Nim pół godziny minęło, przeprawa była zakończona.

Czoło karawany znów stanowili Nowicki, Smuga i Tomek. Z wolna torowali sobie drogę przez gąszcz nadrzecznych zarośli. Popołudniowa spiekota zagnała ptaki do cienistych kryjówek. Czasem tylko wąż lub jaszczurka umykały spod stóp podróżników. W pewnej odległości za nimi posuwała się zwarta kolumna karawany. Do wieczora nie natrafili na jakiegokolwiek ślady ludzkiego życia. Na noc zatrzymali się w głębokim wąwozie. Łowcy na zmianę czuwali do świtu, aby krajowcom dodać odwagi. Papuasi zastraszeni siedzieli przy ogniskach. Za lada odgłosem w dżungli chwyтали za broń i tylko widok olbrzymiego kapitana Nowickiego jakoś ich uspokajał.

Zaledwie dżungla pojaśniała światłem dziennym, Smuga znów poprowadził karawanę w kierunku północnym. Był jeszcze wczesny ranek. Trójka zwiadowców wolno przedzierała się przez gąszcze.

– Spójrzcie na Dinga...! – szepnął naraz Smuga. Pies podniósł pysk do góry, niespokojnie wietrzył w powietrzu. Po chwili zjeżył sierść na karku, warknął głucho.

– Skróć smycz, brachu, trzymaj go mocno... – cicho zawołał Nowicki. Jednocześnie

nieznacznie uniósł karabin, opierając lufę na lewej dłoni.

– Nie strzelaj! – ostrzegł Smuga.

– Siedzą na drzewach... – szepnął Nowicki.

– Może to tylko zwiadowcy... Poczekajmy na naszych... – odparł Smuga.

Przystanęli. Smuga spokojnie wydobyl fajkę, nabił ją tytoniem i zapalił, zerkając to na Dinga, to na drzewa. Pies węszył, spoglądał w górę i warczał. Nowicki przymrużonymi oczyma śledził korony drzew, nie zdejmując palca ze spustu karabinu. Tomek również trzymał swój sztucer pod prawą pachą, gotów do strzału z biodra; lewą rękę zaciskał na smyczy. Minęło kilka minut, które zdały się Tomkowi wiecznością. W końcu rozległy się przyciszone głosy oraz tupot stóp. Nadeszła główna kolumna karawany. Na przedzie kroczył Bentley z Ain'u'Ku i młodzieżą, potem tragarze, a Wilmowski oraz preparatorzy zamykali kolumnę. Smuga uniósł świstawkę do ust. Rozległy się dwa ostre gwizdy. Umowny znak ostrzegawczy nie zmienił szyku karawany. Jedynie dłonie białych podróżników spoczęły na broni.

– Idziemy! – rozkazał Smuga.

Nowicki przytrzymał Tomka za ramie, wysunął się przed niego i ruszył pierwszy. Tomek zachmurzył się, gdyż nie zwykł kryć się za plecami przyjaciół w obliczu niebezpieczeństwa. Nie odważył się jednak zaoponować. Nowicki i Smuga zawsze traktowali go jak własnego syna, a on był im posłuszny nie mniej niż rodzonemu ojcu.

Niebawem kapitan przystanął i odwrócił się do przyjaciół.

– Natrafiliśmy na ścieżkę – poinformował cichym głosem. – Przyjrzyjcie się jej, widać na niej ślady stóp...

Smuga i Tomek byli doskonałymi tropicielami, toteż po zbadaniu odcinka ścieżki zgodnie orzekli, że znajdują się na niej ludzkie ślady wiodące w obydwóch kierunkach.

– Idziemy w lewo, na północy najprędzej natrafimy na jakąś osadę – zdecydował Smuga.

Nowicki znów ruszył pierwszy. Wkrótce ścieżka zaczęła stopniowo piąć się pod górę. Dingo jeżył sierść, warczał, obnażał kły, lecz w przydrożnej gęstwinie panowała głucha cisza. Tawade byli niewidoczni jak duchy. Wydeptany przez ludzi szlak wił się po łagodnym górskim stoku. Nowicki właśnie minął zakręt i nagle przystanął. Na samym środku ścieżki zagradzał drogę duży wiecheć z trawy kunai, związany u góry.

– Spójrzcie, to chyba jakiś znak – rzekł marynarz do przyjaciół.

Smuga odwrócił się i gestem powstrzymał karawanę.

– Ain'u'Ku, chodź no tutaj! – zawołał.

Boss-boy podbiegł do zwiadowców. Zaledwie ujrzał wiecheć zagradzający ścieżkę, poszarzał na twarzy i zatrwożony cofnął się o kilka kroków.

– Czy wiesz, co oznacza ten znak? – spokojnie zapytał Smuga.

– Znak mówi: ścieżka wojenna, nie iść dalej! – szepnęła Ain'u'Ku.

Kapitan Nowicki pytająco spojrział na Smugę.

– Jeśli teraz zawrócimy, już nie przejdziemy przez kraj Tawade – cicho powiedział Smuga. – Musimy zachować... zimną krew. Spróbuję, pójdę pierwszy!

Olbrzymi marynarz gniewnie zmarszczył brwi; zastąpił mu drogę i rzekł:

– Szanowny panie, jeśli ma być między nami zgoda, przestrzegajmy podziału funkcji. Mianowałeś mnie i Tomka zbrojną strażą; to, co chcesz uczynić, należy do nas! Ja idę pierwszy, gdyby coś złego się stało, Tomek mnie zastąpi!

Smuga wzrokiem zmierzył Nowickiego, po chwili jednak lekko drwiący uśmiech pojawił się na jego ustach.

– Żałuję, że nie wyznaczyłem ci funkcji kucharza obozowego, wtedy nie sprawiałbyś mi kłopotów – odparł.

Kapitan poweselał i powiedział:

– Dla nas obojwóch taki taniec nie pierwszozna, ale pan jesteś bardziej wszystkim potrzebny niż ja! W razie, czego pan i Tomek osłonicie mnie ogniem!

– Trudno, muszę ci ustąpić! Dużo ryzykujesz...

Kapitan tylko błysnął oczami i odwrócił się na pięcie. Kolbę karabinu opuszczonego lufą w dół oparł na prawym biodrze, palec położył na spuście. Trzymając oburącz broń gotową do strzału zbliżył się do wiechcia z trawy, nogą strącił go ze ścieżki i poszedł dalej. Smuga, Tomek oraz wierny Ain'u'Ku szli za nim o kilkanaście kroków. Trzymali broń w pogotowiu, gdyż Dingo drżał jak w febrze. Nie mieli wątpliwości, że są obserwowani z ukrycia. Lada chwila z gąszczu mogły posypać się strzały z łuków i dzidy.

Tomek zerknął za siebie. W pewnej odległości ujrzał Bentleya i nieco pobladłego Jamesa Balmore'a. Za nimi szły dziewczęta. Wszyscy trzymali broń w ręku. Tragarze przystanęli zastraszeni. Nie było wątpliwości, że w razie ataku nawet Wilmowski i obydwaj preparatorzy w tylnej straży nie zdołają ich powstrzymać od panicznej ucieczki.

Nowicki nie oglądał się na przyjaciół. Miarowym krokiem szedł naprzeciw niebezpieczeństwu. Nie znał uczucia lęku, gdy chodziło tylko o jego życie. Naraz na drodze wyrosła przed nim nowa przeszkoda. Na ścieżce tkwiły wbite w ziemię trzy dzidy, pochylone ostrzami w kierunku, z którego właśnie nadchodził.

– Master! Jeszcze krok, a zginiesz! – rozległ się w tej chwili ostrzegawczy krzyk wiernego Ain'u'Ku.

Nowicki w lot domyślił się, że boss-boy oznajmia mu, co oznaczają umieszczone w ten sposób dzidy. Bez namysłu lewą dłonią powyrywał je z ziemi i odrzucił na bok. Przyspieszył kroku. Mrużąc oczy, aby nie raził ich blask słoneczny, przeszywał wzrokiem zieloną gęstwinię. Nie dostrzegł nikogo... Wtem usłyszał świst puszczonej strzały. Nie

zdążył uskoczyć. Haczykowane ostrze wbiło się prosto w jego lewą pierś.

CZERWONY RAJSKI PTAK

Nowicki ugodzony strzałą z łuku zachwiał się, lecz nie padł na ziemię. Usłyszał rozpaczliwy krzyk przyjaciół i zaraz wyprostował plecy. Lewą dłoń przesunął po czole zroszonym zimnym potem. Odetchnął głęboko... Nie czuł bólu. Zdumiony zerknął na strzałę. Tkwiła w jego piersi, a drzewce jej unosiło się nieco i opadało, w miarę jak oddychał. Natychmiast odgadł prawdę. W kieszeni na lewej piersi nosił duży, gruby notes, który na łądzie zastępował mu dziennik pokładowy. Strzała celnie wymierzona w jego serce utkwiała właśnie w tym notesie. To go ocaliło. Z uczuciem ulgi wyszarpnął grot i ruszył w gąszcz w kierunku, skąd nadleciała strzała. Lufą karabinu rozgarniał zarośla. Naraz przystanął; to, co ujrzał, mogło przerazić najmężniejszego człowieka. Tuż za osłoną drzew i pnączy skupiło się kilkudziesięciu papuaskich wojowników z łukami napiętymi i dzidami skierowanymi wprost w karawanę. Wyglądali jak szkielety, ich ciemne ciała, bowiem pokrywały na przemian białe i czarne pasy. Jasnoczerwone i żółte koła otaczały oczy. Wielu nosiło dziwaczne ozdoby w uszach oraz w przedziurawionych chrząstkach nosowych. Na czele tej złowrogiej gromady stał wojownik ozdobiony oryginalnym naszyjnikiem z lian. Nowicki od razu odgadł, że to on strzelił do niego, ponieważ nie miał jak inni na cięciwie strzały. Głowę jego zdobił wspaniały, purpurowy pióropusz z piór rajskiego ptaka. Zapewne był wodzem...

Straszliwi wojownicy z zapiętym tchem spoglądali na białego olbrzyma. Ten zaś strzałę wydobytą z własnej piersi podał niefortunnemu strzelcowi.

Tawade cofnęli się o pół kroku, wydając stłumiony jęk. Zaczęli drżeć z przestachu. Po raz pierwszy zetknęli się z niezwykłymi duchami krążącymi po lesie w biały dzień. Gdyby "telegraf" dżungli nie uprzedził ich o zbliżaniu się duchów, pierzchliby od razu na ich widok. Nieustraszony wobec ludzi wódz Tawade, Eleli Koghe, nie pragnął walki z nieziemskimi istotami. Obecnie nie wątpił już, że są one duchami. Tylko duchy nie zważały na ostrzegawcze wojenne znaki. Wystrzelił do wielkiego białego ducha, aby ostatecznie się przekonać, czy mimo wszystko nie jest on człowiekiem. Eleli Koghe nigdy nie chybiał. Wiedział, że jego strzała trafiła prosto w serce. Wiec to był jednak duch! Przecież stał teraz przed nim i podawał morderczą strzałę... Ale oto już nadbiegały inne duchy...

Nowicki ruchem dłoni powstrzymał towarzyszy. Na migi polecił wodzowi Tawade, aby się zbliżył. Eleli Koghe posłusznie spełnił rozkaz. Nowicki wepchnął mu strzałę do drżącej ręki i nosem swym potarł o jego nos. Tawade wydali okrzyk radości. Gromadnie wyszli z gąszczu, by z bliska przyjrzeć się białym duchom. Eleli Koghe również pokonał pierwszy strach. Pochylił swą głowę na piersi potężnego "ducha", przesunął rękoma po jego ciele. Nowicki wydobył zza pasa stalowy nóż i wręczył go wodzowi. Wojownicy zaczęli rytmicznie tupać nogami o ziemię. Musiało to być jakimś umownym hasłem, gdyż nowi Tawade dołączyli się do kręgu otaczającego białych łowców. Eleli Koghe widząc, że duchy nie rozumieją jego słów, na migi począł zapraszać do swojej wioski. Wkrótce wszyscy w największej zgodzie szli ścieżką w górę zbocza.

– Jesteś ranny? – z niepokojem zapytał Smuga, gdy tylko mógł się zbliżyć do

marynarza. – Wytrzymałeś wspaniale! Nigdy bym się nie spodziewał, że wykazesz tak niezwykle opanowanie...

– Ranny?! – zdziwił się Nowicki. – Nie, po takim strzale można być tylko nieboszczykiem. Mój nowy koleżka ma celną łapę. Wymierzył prosto w serce! Nie patrz pan na mnie jak na wariata! Mój staruszek zawsze mówił: ucz się, Tadek, a nauka odpłaci ci się stokrotnie. Faktycznie tak się też stało.

– Co ty wygadujesz?! – zaniepokoił się Smuga, uważnie spoglądając na marynarza.

– Dziennik pokładowy ocalił pana! – zawołał Tomek, który słuchając wyjaśnień, domyślił się wszystkiego.

– Dziennik pokładowy?! – zdumiał się Smuga.

– A jakże! Chciałem się poduczyć sporządzania ciekawych raportów – wyjaśnił marynarz. – Toteż noszę w kieszeni podręczny dziennik, w którym wpisuję swoje wachty, a Tomek mi poprawia.

– Do diabła, przecież ten notes uratował ci życie! – rzekł Smuga, ściskając ramię kapitana.

– Masz pan najlepszy dowód, jaka nagroda spotyka człowieka garnącego się do nauki – dodał Nowicki.

Tomek zaraz wycofał się, aby poinformować resztę towarzystwa o szczęśliwym trafie, wszyscy, bowiem drżeli o życie odważnego marynarza. Krajowcy nieraz zatruwali strzały, wtedy najmniejsza nawet rana mogła grozić śmiercią.

Niebawem wojownicy Tawade doprowadzili karawanę do wioski na ostro ściętym górskim cyplu. Nastąpiły uroczyste mowy powitalne, uzupełniane gestami, po czym “białe duchy” zostały zaproszone do emone w celu wypalenia ceremonialnej fajki. Smuga obdarował starszyznę wioskową drobnymi podarunkami i poprosił wodza o pozwolenie na rozbięcie obozu w pobliskiej dolinie. Chmara wojowników i kobiet poprowadziła podróżników do miejsca wybranego na obozowisko. Wspólna uczta, na którą zabito parę świń, trwała do późnej nocy.

Biali podróżnicy rozpoczęli badania i łowy w rozległym kraju Tawade. Groźni wojownicy zachowywali się przyjaźnie. Dzięki temu większość tragarzy Mafulu pozostała przy łowcach. Wilmowski czynił usilne starania, aby obydwie wrogie plemiona zawarły ze sobą pokój. Obawa przed “białymi duchami”, ich huczące kije oraz “czarodziejska moc” Tomka nakłoniły wojowniczych Tawade do ustępstw. Zgodzili się wziąć okup za przerwanie wojny. Po długich targach ostatecznie ustalono, że Tawade uwolnią uprowadzone kobiety Mafulu, a ci ostatni dadzą im w zamian dwadzieścia dużych świń. Wilmowski, uradowany takim obrotem sprawy, dołożył do okupu dziesięć stalowych noży, pięć lusterek, pięć siekier, trzy garście muszli oraz dwadzieścia naszyjników ze szklanych koralii. Wprawdzie Mafulu twierdzili, że podstępni Tawade zwrócili im tylko najstarsze kobiety, ale mimo to działania wojenne ustały.

Dobrodziejstwa, jakie pokój wszędzie przynosi, nie dały zbyt długo czekać na siebie. Wojownicy, a nawet kobiety i dzieci, gromadnie przychodzili do obozu łowców. Początkowo w trwożliwym skupieniu przyglądali się gromadzonym okazom flory i fauny. Potem, ośmieleni przez rezolutną Sally, samorzutnie zaczęli znosić do obozu różne rośliny i zwierzątka. Sally nie poprzestała na tym; nad pobliską rzeką fruwały chmary wspaniałych motyli, nauczyła więc dzieciarnię, w jaki sposób należy je chwycić, aby nie ulegały uszkodzeniu, i wkrótce posiadała już interesującą kolekcję.

Smuga, Tomek i Nowicki z zapalem polowali na rajskie ptaki. Zapuszczali się w ostępy nie nawiedzane przez krajowców i prawie z każdej wyprawy przynosili cenne łupy. Dzięki tak szeroko zakrojonym łowom Bentley z Wilmowskim zapracowani byli od świtu do nocy, a preparatorzy często nie opuszczali polowej pracowni nawet po zapadnięciu zmroku. Zabezpieczenie oraz konserwacja okazów łatwo ulegających zepsuciu pochłaniały ich bez reszty.

Natasza większość wolnego czasu poświęcała udzielaniu ambulatoryjnej pomocy krajowcom, gnębionym przez różne choroby. Toteż Tawade coraz chętniej przychodzili do obozu, a ich niemal dziecinna ciekawość sprawiała łowcom wiele kłopotów. Asystowali podróżnikom przy goleniu, myciu i ubieraniu, obserwowali ich w czasie jedzenia i pracy. Najzwyklejsze przedmioty codziennego użytku wprawiały ich w podziw, we wszystkim węszyli jakieś niezwykle czary. Natrętna ciekawość krajowców najbardziej dawała się we znaki Sally i Nataszy, które nawet myć się musiały w szczelnie zasłoniętym namiocie.

Wilmowski nie zanieczywał badań etnograficznych. Uważne obserwacje nasunęły mu podejrzenia, że Tawade jeszcze uprawiają kanibalizm. W pobliżu wioski bielily się ludzkie kości. Były to prawdopodobnie szczątki pokonanych wrogów. Tawade również pozbywali się rodziców, gdy ci wskutek starości tracili siły do pracy i walki. Wprawdzie nikt własnoręcznie nie pozbawiał życia swego ojca czy matki i zazwyczaj zwracał się do przyjaciół z sąsiedniej wioski o oddanie mu tej "przysługi", lecz starcy doskonale wiedzieli, że nadchodzi ich ostatnia chwila i nawet brali udział w ucztach pożegnalnych. Nie budziło to w starcach grozy, w swoim czasie, bowiem postąpili oni tak samo wobec własnych rodziców. Uczynni sąsiedzi zwracali krewnym kości zabitego, ci zaś pieczołowicie przechowywali je w swoich szałasach. Często syn podkładał sobie pod głowę czaszkę ojca; w ten sposób okazywał mu swoją cześć i podczas snu mógł otrzymywać od niego dobre rady.

Rzecz oczywista, że Wilmowski chciał przeciwstawić się barbarzyńskim zwyczajom. Zaledwie jednak rozpoczął z Tawade ostrożne rozmowy, poprawne stosunki z krajowcami natychmiast uległy pogorszeniu. Najpierw mężczyźni, potem kobiety i dzieci przestali przychodzić do obozu. Łowcy od razu zauważyli zmianę w zachowaniu krajowców. Toteż najbliższego wieczoru Wilmowski zawołał Ain'u'Ku do swego namiotu.

– Czy wiesz, dlaczego Tawade zaczęli nas unikać? – zapytał boss-boya.

Mafulu zalękniony opuścił głowę i szepnął:

– Być mnóstwo źle... Czarownicy mówią, że wasza zaklinać dusze ludzi w martwe ptaki

i kwiaty, all right!

Wilmowski spochmurniał. Po chwili znów zapytał:

– Kogo z nas czarownicy posądzają o to?

Boss-boy trwożliwie obejrzał się na wejście do namiotu. Pochylił się ku Wilmowskiemu i cicho odparł:

– Biała Mary[97], która należy do młody biały czarownik...

– Wiesz, że to nieprawda! – oburzył się Wilmowski. – Panna Sally nie skrzywdziłaby nawet muchy!

– Biała Mary mnóstwo bardzo dobra – przyznał Ain'u'Ku. – Czarownicy mnóstwo źli na wasz i Mafulu...

– Dziękuję ci, udzieliłeś mi ważnych informacji – odrzekł Wilmowski.

Zafrasowany natychmiast zwołał przyjaciół na naradę. Wszyscy byli zdania, że powinni jak najszybciej opuścić kraj Tawade. Czarownicy, bojąc się utraty swego wpływu, mogli się stać bardzo niebezpieczni. Niestety, liczne zbiory uniemożliwiały natychmiastowe zwinięcie obozu. Toteż szczególnie Sally zalecono zdwojenie ostrożności, a Tomek miał jej ani na krok nie odstępować. Sally wcale się nie zmartwiła niepokojącymi wiadomościami. Ostatnio mało widywała Tomka, który wciąż myszkował po dżungli. Toteż teraz ucieszyła się nawet, że stale będą przebywali razem.

W kilka dni później Sally i Natasza w towarzystwie uzbrojonego w sztucer Tomka wybrały się nad strumień. Chciały urządzić małe pranie przed wyruszeniem w dalszą drogę. Sally położyła tobołek z bielizną na ziemi i już miała wejść do płytkiego strumienia, gdy zauważyła węża wodnego. Tomek oczywiście zaraz go przepłoszył i usiadł na brzegu, bacznie obserwując wodę. Dziewczęta po kolei wyjmowały z tobołków różne drobiazgi i prały je w strumieniu. Rozmawiając beztrosko, nie spostrzegli skradającego się ku nim w pobliskich krzewach krajowca. Ten przywarł do ziemi i w pewnej chwili, korzystając z nieuwagi białych, drapieżnym ruchem porwał z tobołka Sally parę grubych pończoch.

W nadziemnej chacie, nieco na uboczu wioski Tawade, siedziało dwóch mężczyzn. Mimo mroku w jednym z nich można było rozpoznać wodza, Eleli Koghe. Żar węgla, tłących się w rowku pośrodku podłogi, migotał na jego purpurowym pióropuszu, dzięki któremu nieustraszony wojownik zyskał sobie imię Czerwonego Rajskiego Ptaka. Eleli Koghe w skupieniu słuchał mowy czarownika, a od czasu do czasu sam rzucał jakieś pytanie. Niespokojnym wzrokiem zerkał to na straszliwe maski zawieszane pod spadzistym dachem, to na czarodziejskie bębny, za pomocą, których czarownik rozmawiał z duchami. Czul się nieswojo w tej tajemniczej chacie. Nieuchronna śmierć groziła każdemu, kto by samowolnie usiłował do niej wtargnąć. Nawet wódz mógł wchodzić tutaj bezkarnie wtedy jedynie, gdy tajemne moce za pośrednictwem czarownika pozwalały na to.

– Oszukano nas – mówił wielki czarownik. – Ci biali obozujący w dolinie nie są

duchami. To tacy sami ludzie jak my!

– Dlaczego więc skóra ich posiada inny kolor? – zapytał Eleli Koghe.

Czarownik błysnął oczami i odparł:

– Bo okrywają swe ciało ubraniami i wciąż zanurzają się w wodzie! To bardzo rozrzutni i niepraktyczni ludzie. Ciągłe zmieniają ubrania i każą nam dawać jarzyny nawet tym śmierdzącym Mafulu!

– Ofiarowują za to różne rzeczy – zaproponował Eleli Koghe.

– Głupcze, dają ci, bo wiedzą, że wszystko wróci do nich, gdy zaklną twoją duszę w ptaka lub kwiat!

Mężny wojownik poszarzał na twarzy.

– To źli ludzie! – mówił dalej przebiegły szarlatan. – Rzucają urok na każdego, kto spojrzy im w oczy. Tylko, dlatego twoja celna strzała nie mogła przebić serca tamtego człowieka! Nie on jednak ani ten młody czarownik są groźni!

– Mówiłeś już, że ta młoda kobieta, która całe dni dręczy zabite ptaki i inne zwierzęta, jest najgorsza – wtrącił wódz.

– Tak, tak właśnie jest! – potwierdził czarownik. – Ten młody nic bez niej nie robi i stale zasięga jej rady.

– A ta druga kobieta?

– Nie, ona nie zadaje się z czarownikiem!

– Zrób coś, aby biali ludzie nie mogli zakląć mojej duszy w ptaka lub kwiat, które zabiorą z sobą – żarliwie poprosił Eleli Koghe.

– Musisz być posłuszny starym zwyczajom!

– Co mam robić?

– Zabijaj Mafulu i pożeraj ich, bo tylko w ten sposób możesz całkowicie zniszczyć wrogów. Przybywało ci męstwa i siły, gdy pożerałeś serca dzielnych wojowników zabitych własną ręką! Wszyscy w naszej wsi byli wtedy syci, mnie składali szczodre ofiary...

– Czy mam zaraz napaść na obóz białych ludzi? Oni będą bronili tych podłych Mafulu!

– Nie, z nimi porachujemy się później. Najpierw pokażę wszystkim swoją moc! Nie ma w tym kraju potężniejszego ode mnie czarownika! Mogę każdego pozbawić życia, nawet tę ich białą kobietę, która dusze wojowników Tawade zaklina w różne zwierzęta.

– Czy naprawdę odważysz się na to?! – zdumiał się Eleli Koghe.

– Nim minie dwa razy po trzy księżyce, biała kobieta będzie martwa!

– Ręką człowieka jej nie zabijesz! Ona zna potężne zaklęcia...

Czarownik roześmiał się ponuro. Powstał, z kąta izby przyniósł kosz upleciony z

mocnych lian. Uchylił wieko. Eleli Koghe natychmiast cofnął się przerażony. W koszu spoczywał wąż zwinięty w krąg. Na jego stalowoszarym cielsku od dużej, spłaszczonej głowy aż do ogona widniał szeroki, czerwony pas. By! to najgroźniejszy z nowogwinejskich węzów. Czarownik zamknął wieko plecionki i zaniósł ją na dawne miejsce. Potem usiadł przed wodzem i rzekł:

– Wiesz, że ukąszenie tego węża przynosi każdemu człowiekowi straszliwą śmierć. Ten wąż nie ulęknie się nawet białej kobiety ujarzmiającej dusze Tawade! W ciele jego zakląłem duszę męznego wojownika, którego plemię zamieszkuje tam, gdzie kryje się słońce...

– Czy to był łowca głów? – zapytał Eleli Koghe zaleknionym głosem.

– Tak, i musi spełnić każde moje życzenie...

– Więc kazesz mu zabić białą kobietę?

– Tak, a wtedy biali ludzie stracą swą czarodziejską moc. Zabijesz wszystkich białych i Mafulu!

– Niech będzie tak, jak chcesz – odparł Eleli Koghe i prawą dłońią przesunął po naszyjniku z lian, na którym każdy zawiązany węzeł oznaczał własnoręcznie zabitego wroga.

Czarownik pochylił głowę, aby ukryć przebiegły uśmiech cisnący mu się na usta. Nie podnosząc głowy, rzekł cicho:

– Idź teraz, bo muszę odbyć naradę z duchami. Twoja dusza pozostanie w twoim ciele. Biali ludzie jej nie zabiorą...

Eleli Koghe chyłkiem wysunął się z chaty. Po drabinie zszedł na ziemię i pobiegł do emone, aby natychmiast przekazać swoim wojownikom ważne wieści. Tego wieczoru w wiosce Tawade huczały bębny i tańce trwały do świtu.

Podczas gdy wojownicy tańczyli wokół ognisk, czarownik wciągnął drabinkę na platformę, aby nikt nie mógł wejść do jego chaty. Potem wydobył z poszycia dachu małą bambusową rurkę zatkaną drewnianym korkiem. Otworzył ją i przytknął do nosa. Nikły obcy odór wywołał zły uśmiech na jego ustach. Następnie przygotował długą, grubą bambusową rurę i jeszcze raz przyniósł plecionkę kryjącą jadowitego węża. Otworzył wieko. Gad grubości męskiego ramienia spał jeszcze po sutym śniadaniu. Czarownik prawą dłońią zręcznie ujął węża tuż przy samym łbie. Wąż przebudził się, gniewnie błysnął ślepiami, rozwarł paszczę i wysunął jadowite zęby, lecz trzymany wprawną ręką nie mógł ukąsić swego dręczyciela. Ten zaś, szepcząc zaklęcia, uniósł gada wysoko do góry i wsunął go, począwszy od ogona, do bambusowej rury. Teraz czarownik wytrząsnął z mniejszego bambusa damskie pończochy. Zmiał je w dłoni i niby korkiem, zatkał otwór rury, w której umieścił węża.

Uśmiechając się złośliwie, położył bambusową rurę przy rozżarzonych węglach i sam usiadł obok niej. Niemaloby trudu kosztowało go zdobycie odzienia białej dziewczyny, która

dobrocią swą zjednywała sobie sympatię nie tylko kobiet i dzieci, lecz nawet najokrutniejszych wojowników. Wpływy białych ludzi dotkliwie dawały mu się we znaki. Skuteczniej leczyli od niego, udzielali lepszych rad i oburzali się na stare zwyczaje. Toteż czarownik postanowił jak najszybciej pozbyć się nieproszonych gości. Potajemnie rozgłaszał wieści o ich złych zamiarach i tak długo podjudzał przeciwko nim, aż w końcu uznał, że nadszedł czas na decydujące uderzenie. Spojrzał na bambusową rurę. Zimnokrwisty gad źle znosił przypiekanie ogniem. Czarownik podniósł kamień i począł rytmicznie uderzać w rurę. Wciąż uśmiechał się szatańsko, wiedział, bowiem, że we wnętrzu rury te lekkie uderzenia nabierają po pewnym czasie niemal siły grzmotu. Cierpliwie uderzał kamieniem. Rozwścieczony wąż zapewne już kąsała pończochę uniemożliwiającą mu wydostanie się na wolność. Odór odzienia powinien mu się skojarzyć z zadawaną torturą. Wtedy nagła śmierć nie oszczędzi białej dziewczyny...

PODSTĘPNY CIOS

Już czwarty dzień czarownik nieustannie dręczył uwięzionego węża. Morzył go głodem, przypiekał na węglach, uderzał kamieniem w rurę, szepcząc straszliwe zaklęcia. Tymczasem jego dwaj zaufani pomocnicy, których szkolił na swoich następców, potajemnie śledzili obozowisko białych łowców rajskich ptaków. Przebiegły czarownik wiedział o każdym ich kroku i misternie przygotowywał swój plan odwetu. Zwiadowcy donieśli mu, że kierownik wyprawy łowieckiej kilkakrotnie robił wypad w kierunku zachodu słońca. Czarownik łatwo mógł z tego wysnuć wniosek, że tam właśnie, do krainy łowców głów, zamierza wyruszyć. Było mu, to bardzo na rękę. Rozległe mokradła oddzielały kraj Tawade od terenów zamieszkanym przez plemiona Ku-ku-ku-ku. Okolica sprzyjała urzędzeniu zasadzki. Niespodziewany napad z ukrycia niezawodnie rozproszy karawanę po bagnistej dżungli, a wtedy wojownicy Tawade rozpoczną straszliwe łowy!

Eleli Koghe otrzymał od czarownika szczegółowe instrukcje. Noc w noc w wiosce Tawade huczały bębny. Wojownicy malowali swe ciała barwami wojennymi, tańczyli aż do świtu. Czarownik zacierał dłonie i uśmiechał się złowieszczo. Biali podróżnicy już nie odważali się odwiedzać wioski. Tawade również unikali spotkań z nimi; niecierpliwie oczekiwali na hasło do ataku, by zdobyć i zniszczyć martwe ptaki oraz kwiaty, w których były jakoby zaklęte ich dusze. Otumanieni przez czarownika wierzyli, że wraz z odejściem białych ludzi znikną z dżungli wszystkie ptaki i kwiaty. Wojownicy ostrzyli dzidy, szykowali łuki. Tego właśnie dnia, tuż przed zachodem słońca, szpiedzy donieśli czarownikowi, że biali ludzie ukończyli przygotowania do wyruszenia w drogę. Mieli się na baczności. Nawet kilku tragarzy Mafulu zostało uzbrojonych w huczące kije. Czarownik wezwał Eleli Koghe. Plan napadu został omówiony w najdrobniejszych szczegółach.

Wieczorem bębny uderzyły w rytm wojennego tańca. Na plac przed domami wyległa cała wioska. Czarownik pojawił się przybrany w dużą, spiczastą maskę. Na szyi jego chrzęściły naszyjniki z psich i świńskich zębów oraz małych muszelek. Ciało miał od stóp do głów pomalowane czerwoną, białą, żółtą i czarną farbą. W prawej ręce trzymał czaszkę swego wielkiego poprzednika, a w lewej czarodziejską miotłkę. Wszyscy zadrżeli na ten widok. Czarownik tak właśnie ubierał się tylko wtedy, gdy miał zamiar zasięgnąć rady bóstwa mieszkającego w dżungli w kamiennej pieczarze. Najmężniejsi wojownicy drżeli ze strachu nawet w dzień, jeśli musieli przechodzić w pobliżu głazu, w którym mieszkały potężne duchy. Toteż trwożliwe spojrzenia towarzyszyły czarownikowi, dopóki nie zniknął w ciemnej dżungli.

Czarownik tymczasem wszedł w zarośla. Zaledwie znalazł się sam, spokojnie przykucnął na korzeniu drzewa. Po cóż miał chodzić do pieczary w kamieniu?! Doskonale wiedział, że oprócz kilku nietoperzy nic więcej w niej nie znajdzie. Czarownicy Tawade z pokolenia na pokolenie przekazywali straszliwą legendę o duchach mieszkających w samotnym głazie. Strzegli także, aby nikt nie mógł zwątpić w jej prawdziwość. Kilku śmiazków, którzy odważyli się podejść zbyt blisko pieczary, zginęło w tajemniczych okolicznościach. Czarownik jednak nie obawiał się zemsty bogów, nie bał się również chodzić nocą po dżungli. Znał doskonale wszystkie "duchy", z którymi "rozmawiał" za

pomocą czarodziejskich bębnow. Teraz siedział pod drzewem i nasłuchiwał odgłosów płynących z wioski. Dopiero tuż przed świtem powrócił do Tawade oszołomionych tańcem. Natychmiast stanęli wyczekująco.

Czarownik wszedł pomiędzy wojowników podzielonych do tańca na dwie grupy, przystanął przed Eleli Koghe i odezwał się sugestywnym głosem:

– Rozmawiałem z duchami w grocie... Były bardzo zagniewane za sprzyjanie białym ludziom, którzy zaklinają dusze wojowników Tawade w martwe ptaki i kwiaty, by móc potem je dręczyć. Z trudem przebłagałem duchy... Przyrzekły jeszcze raz okazać wam swoją łaskę. Nim minie księżyc, zginie biała dziewczyna, wtedy wódz Eleli Koghe da hasło do ataku. Odniesiecie wielkie zwycięstwo!

– Kto zabije białą czarownicę? – niespokojnie zapytał Eleli Koghe, albowiem obawiał się, aby czarownik teraz jemu nie wyznaczył podstępnie tej niebezpiecznej roli.

– Ja dokonam tego przez węza, w którego zakląłem duszę łowcy głów – odpowiedział czarownik. – Wszyscy ujrzą ją martwą. Wtedy młody biały łowca utraci swą czarodziejską moc.

– Dobrze, uczynimy, jak radzisz... – rzeki Eleli Koghe. – O świcie wyruszmy do miejsca, w którym mamy urządzić zasadzkę. Będziemy czekali na śmierć białej dziewczyny...

Bębny głucho dudniły. Z dżungli odpowiadał im wrzask ptaków, już, bowiem switało. Eleli Koghe wraz z czarownikiem poprowadzili wojowników w dżungle. Wkrótce szerokim tukiem ominęli obóz i podążyli wprost na zachód. Przez bagniska wiodło tylko jedno wygodniejsze przejście. Tam właśnie szpiedzy czarownika widzieli myszkującego Smugę, tam też Tawade przyczaili się w zaroślach. Eleli Koghe wysłał zwiadowców w kierunku, z którego spodziewał się nadejścia karawany. Niebawem przyniesiono pomyślne wieści. Karawana szła tak, jak to przewidział przebiegły czarownik. Widocznie duchy w kamiennej pieczarze udzieliły mu dobrych rad. Sprawdzanie się przewidywań czarownika nieco uspokoiło Tawade. Nie obawiali się walki nawet z liczniejszym przeciwnikiem[98], lecz tym razem mieli uderzyć na białych ludzi, którzy znali potężne czary. Czy mogło im to ująć bezkarnie? Męstwo dzielnych Tawade zazwyczaj załamywało się na progu urojonej krainy duchów... Poza tym trudno im było pojąć, że ci łagodni, uprzejmi biali ludzie mogą żywić do nich tak wrogie uczucia, jak zapewniał czarownik. Ich lekarstwa szybko goiły rany powodowane przez różne insekty; ich rady również były lepsze od tych, których udzielał czarownik. Nie straszili nikogo złymi duchami, nie bali się błyskawic, grzmotów i trzęsień ziemi. Wszystkie dziwne zjawiska tłumaczyli w naturalny, prosty sposób.

Wódz Eleli Koghe nie mniejszą przeżywał rozterkę niż jego wojownicy. Tak jak wszyscy drżał z obawy przed czarami oraz złymi duchami. Zastraszony i podjudzony przez czarownika, zgodził się napaść na białych ludzi. Ruszył na wojenną wyprawę i wiedział, że jeśli dzisiaj zwycięży, to wiele pokoleń Tawade będzie opowiadało o jego niezwykłym czynie. Mimo to nie odczuwał jakoś radości na myśl o nagłej śmierci tej wesolej, czynnej białej dziewczyny. Gdyby nie uwierzył czarownikowi, że to ona właśnie zakłęła jego duszę

w martwego rajskiego ptaka, nigdy by nie pozwolił uczynić jej krzywdy...

Eleli Koghe doskonale rozumiał, że teraz już za późno na jakąkolwiek zmianę decyzji. Wojownicy byli upojeni całonocnym tańcem wojennym; zakorzeniony w nich od wieków instynkt walki przygłuszał przyjazne uczucia do białych ludzi. Łaknęli krwi i straszliwej uczy. W tej właśnie chwili przybiegł nowy zwiadowca. Karawana białych łowców zbliżała się do moczarów. Eleli Koghe pytająco spojrzął na czarownika. Ten potaknął głową i powstał. Wódz przyłożył dłonie do ust. Rozbrzmiał przenikliwy dźwięk przypominający krzyk rajskiego ptaka. Wojownicy wynurzyli się z zarośli i podążyli za Eleli Koghe. W miejscu, gdzie ścieżyna zaczynała się obniżać w szeroką, bagnistą dolinę, Eleli Koghe podzielił swoich wojowników na dwa oddziały. Jeden z nich od razu zapadł w zarośla i miał zaatakować tylną straż karawany, drugi pomaszerował z Eleli Koghe nieco dalej.

Czarownik zaczął się przy ścieżynie pomiędzy obydwojma oddziałami. Rosły tutaj gęste zarośla. W nich to, prawie przy samym skraju ścieżki, czarownik umieścił grubą, bambusową rurę, umocował ją patykami zatkniętymi w ziemię i starannie zamaskował gałązkami. Następnie do wystającego z końca rury kłębka zwiniętych pończoch przywiązał długą, mocną, cienką lianę. Teraz wycofał się w krzewy na bezpieczną odległość, trzymając w rękach drugi koniec liany. Przykucnął za drzewem, nadstawił uszu. Gdy tylko biała dziewczyna znajdzie się na wprost wylotu rury, jednym szarpnięciem wyciągnie szmaciane zatyczki. Rozwścieczony gad natychmiast skorzysta z okazji, by nareszcie wydostać się na wolność, i zaraz poczuje zniechęcony zapach. Oczywiście uczyni to, co robił przez wszystkie dni katuszy: wbije swe zęby jadowe w nogę dziewczyny. Wtedy śmierć nadejdzie szybko, zmiesza szyk karawany... Eleli Koghe i jego wojownicy dokończą dzieła zniszczenia...

Karawana łowców rajskich ptaków pośpiesznie podążała ku mokradłom. Głuche dudnienie bębnow oraz całonocne tańce w wiosce Tawade nie wróżyły niczego dobrego. Od kilku dni nikt z Tawade nie przychodził do nich, lecz Smuga i Tomek odnaleźli ślady zwiadowców, którzy wciąż z ukrycia obserwowali obóz. Łowcy nie chcieli dopuścić do starcia z krajowcami. Skoro więc stwierdzili, że są niepożądanymi gośćmi, starali się jak najszybciej opuścić kraj Tawade. Zgromadzili wiele okazów flory i fauny, posiadali już ciekawy zbiór etnograficzny, a Bentley coraz bardziej tęsknym wzrokiem spoglądał na centralne pogórze.

Mafulu ucieszyli się likwidacją obozu w kraju Tawade. Nie ufali swym odwiecznym wrogom. Uporczywe dudnienie bębnow napępniało ich trwogą. Toteż obecnie rażnym krokiem podążali za zbrojną przednią strażą. Smuga nie spodziewał się zasadzki, niemniej nie zaniedbał środków ostrożności. Razem z Nowickim, Tomkiem, Balmore'em i Bentleyem wysunął się na czoło karawany; w tylnej straży szli: Wilmowski, Zbyszek oraz dwaj preparatorzy – Stanford i Wallace. Dziewczęta znajdowały się tuż przed tragarzami, osłonięte plecami zbrojnej czołówki.

Dżungla stawała się coraz bardziej bagnista. Drzewa rosły tu rzadziej, mętne kałuże czerniły się wśród kęp ostrej trawy. Smuga penetrował już tę okolicę i teraz szybko odnalazł wydeptaną ścieżkę przez mokradła. Sally z żalem obejrzała się na malowniczą

dolinę, w której spokojnie spędzili kilka tygodni. Trochę markotna zagadnęła Tomka:

– Wszystko przyjemne kończy się szybko... Dobrze nam było w tej dolinie. Nie chciałabym zbyt długo brodzić po bagnach.

– Nie martw się, Sally! Za kilka dni znów rozbijemy obóz w jakiejś pięknej okolicy. Pan Smuga jest pewny, że uda nam się wdrzeć do wnętrza wyspy – pocieszył ją młodzieniec.

– Posępnie tu i mglisto – utyskiwała Sally. – Spójrz, nawet Dingo kręci nosem na te mokradła!

Dingo wyraźnie był zaniepokojony. Wyciągał do góry łeb, węszył, jakby wyczuwał niebezpieczeństwo, Tomek cicho gwizdnał dwukrotnie. Smuga i Nowicki zwolnili kroku. Po chwili zrównali się z idącymi za nimi towarzyszami.

– Dingo zaczyna się niepokoić – oznajmił Tomek.

– Nie spostrzegłem śladów na ścieżce – odparł Smuga.

– Ja też nic nie zauważyłem – wtrącił Nowicki. – Może jednak jakieś zuchy czają się w gąszczu?

– Tawade chcą się upewnić, że naprawdę stąd odchodzimy – dodał James Balmore.

– Wolałbym nikogo nie spotkać na tych bagnach – mruknął Smuga.

– Czy nie ma tu innej drogi? – zapytał Nowicki.

– Nie! To jedyne przejście na zachód... – odparł Smuga. – Trzymać broń w pogotowiu, idziemy!

Zaledwie ruszyli, Sally krzyknęła przeraźliwie... W tej chwili Dingo wyszarpnął smycz z dłoni Tomka. Jak błyskawica rzucił się na stalowoszare cielsko naznaczone czerwonym, podłużnym pasem. Wąż zwinął się jak sprężyna, lecz Tomek był nie mniej szybki od niego. Pięć kul rewolwerowych w okamgnieniu zniekształciło duży, spłaszczony łeb. Kapitan Nowicki podtrzymał ramieniem śmiertelnie pobladłą Sally, Dingo tymczasem śmignął w zarośla. James Balmore odważnie pobiegł za psem. Wilmowski z tylnej straży nie wiedział, co się stało. Jednak usłyszał krzyk Sally i widząc zamieszanie w czołówce karawany, pobiegł Balmore'owi z pomocą. Balmore z karabinem gotowym do strzału gnał za Dingiem. Słyszał jego warczenie i krótkie szczeknięcia. Nie wątpił, że pies dopadł kogoś, kto czaił się w pobliżu ścieżki. Z rozpędem wpadł na krajowca broniącego się ostrym nożem z kości kazuara przed atakami rozwścieczonego Dinga.

– Rzuć nóż! – krzyknął Balmore, zapominając, że krajowiec nie rozumie po angielsku.

Czarownik Tawade zamachnął się nożem. Nierozważny Balmore byłby zginął, gdyby Dingo nie rzucił się napastnikowi do gardła. Czarownik uskoczył w bok, uniknął groźnych, obnażonych kłów. Balmore lewą dłonią zdołał uchwycić rękę uzbrojoną w nóż. Nagle jego nogi ugrzęzły w błotnistej mazi. Zachwiał się, upuścił karabin i padł na plecy, pociągając za sobą czarownika. Teraz drugą rękę oparł o jego nagą pierś, próbując odepchnąć go od siebie. Silny Papuas, bowiem już brał nad nim górę. Ostrze noża zniżało się coraz bardziej.

Palce Balmore'a, zaciśnięte na zbrojnej dłoni czarownika, rozluźniły chwyt. Był pewny, że zginie, gdyż Dingo jakoś przycichł i przestał atakować. Przymknął oczy...

W tym krytycznym dla niego momencie nadbiegł Wilmowski. On to, odrzuciwszy karabin, lewą dłonią chwycił czarownika za kark, a prawą wykręcił rękę uzbrojoną w nóż. Po chwili czarownik leżał na ziemi obezwładniony.

Balmore, ciężko oddychając, dźwignął się na nogi.

– Czy to on przestraszył Sally? – niespokojnie zapytał Wilmowski.

– Zdaje mi się, że wąż rzucił się na nią. Wtedy Dingo pobiegł w dżungłę, a ja za nim – wyjaśnił Balmore. – Ten człowiek musiał się czaić przy ścieżce.

Wilmowski zmarszczył brwi. Uważnie przyjrzał się Papuasowi.

– To czarownik Tawade – odezwał się po chwili. – Wracajmy szybko do naszych... Podejrzanie wygląda mi ta sprawa!

Podniósł karabin i popychając przed sobą wystraszonego czarownika, spiesznie ruszył ku ścieżce. Głośne rozkazy Smugi i głuchy pomruk przestraszonych Mafulu ostrzegły go, że stało się coś bardzo złego. Kolbą karabinu ponaglił Papuasa. Prawie biegnąc dopadł ścieżki.

Bagaze, niczym barykady, z dwóch stron tarasowały drożynę. Pomędzy nimi skupili się wszyscy uczestnicy wyprawy. Sally śmiertelnie blada siedziała na kocu. Tomek, Smuga i Nowicki pochylali się nad nią.

Smuga, ledwie ujrzał Wilmowskiego, podniósł się i zawołał:

– Andrzej, obejmuj komendę! Wąż ukąsił Sally, lecz to nie był przypadek! Patrz, co znalazłem w krzakach przy ścieżce!

Mówiąc to podał Wilmowskiemu rurę bambusową i czarne pończochy uwiązane do długiej liany.

– To na pewno jego sprawa – dodał Smuga, wskazując na Papuasa.

– To czarownik Tawade – odparł Wilmowski. – Czy...?

– Nie traćmy czasu! – przerwał mu Smuga. – Strzelajcie do każdego, kto wychyli się z gąszczu. A tego zbrodniarza nie spuszczać z oka! Zajmę się nim później!

Wilmowski zrozumiał, że każda chwila zwłoki może okazać się zgubna dla Sally. Na szczęście Natasza już rozkładała na kocu podręczną apteczkę.

– Słuchaj, ślicznotko, przywykłaś w tej waszej Australii do różnych gadów – mówił kapitan Nowicki. – Wiesz najlepiej, co należy zrobić w wypadku ukąszenia...

Sally nie mogła wydobyć głosu. Wiedziała przecież, że tylko wycięcie rany może ją uratować. Oparła głowę na piersi klęczącego obok Tomka i dłonie zacisnęła na jego ramionach.

– Nic się nie bój – uspokajał ją marynarz, siląc się na wesołość. – Będę tańczył na

twoim weselu. Zręcznie mam rękę! Spójrz na Smugę! Chłop jak dąb, bo ja mu wyłuskałem kulę z ramienia, którą uraczyli go chunchuzi w Mandzurii.

Nowicki zagadywał Sally i jednocześnie dezynfekował swój nóż w słoiku ze spirytusem. Wzrokiem dał znać Tomkowi, aby przytrzymał Sally. Młodzieniec otoczył ją rękoma i przycisnął do swej piersi.

Sally już miała zdjęty trzewik i pończochę. Zaraz po wypadku Nowicki zahamował obieg krwi w ukąszonej prawej nodze, zaciskając paski pod kolanem i powyżej kolana. Teraz spirytusem obmył skórę wokoło rany. Smuga niecierpliwie zerknął na zegarek.

– Spiesz się! – syknął.

Nowicki kiwnął głową. Cztery krwawe, małe ranki nie były zbyt głębokie. Na szczęście cholewka trzewika trochę utrudniła ukąszenie. Nowicki ujął nóż. Smuga przytrzymał drugą nogę dziewczyny. Tomek pobladł, czując jak palce Sally kurczowo zaciskają się na jego ramionach. Rozległ się urywany szloch.

– Głowa do góry, już po wszystkim... – odsapnął Nowicki, naciskając ranę, aby jak najsilniej krwawiła.

Sally z wolna się uspokajała. Nowicki właśnie kończył bandażowanie nogi. Robił to szybko i wprawnie. Tylko czoło zroszone potem wskazywało, jak bardzo sam jest wzruszony. Wszyscy odetchnęli z ogromną ulgą. Na twarzy Sally ukazały się rumieńce. Przez łzy uśmiechnęła się do zatrwożonych przyjaciół. Drżącą dłonią wydobyla z kieszeni chusteczkę i pochyliła się do Nowickiego. Otarła mu czoło z potu. Marynarz chwycił drobną rękę, przycisnął ją do ust, po czym szybko powstał, aby nikt nie spostrzegł łez w jego oczach. Przecież kochał Sally na równi z Tomkiem.

– Panie Smuga, dawaj tu tego drania... – rzekł chrapliwie.

Smuga skinął na Balmore'a. Ten popchnął czarownika w kierunku Nowickiego. Marynarz żyłastym łapskiem chwycił czarownika za gardło. Bez słowa wydobyl z pochwy nóż, którym przed chwilą operował Sally.

– Nie! Nie! – krzyknęła Sally, w przerażeniu zasłaniając oczy.

Marynarz nie zadał ciosu, lecz i nie opuścił zbrojnej dłoni.

– Nie wyzdrowieję, jeśli go zabijecie... – zagroziła Sally. – Niech sobie idzie, dokąd tylko chce!

W tej chwili Wilmowski stanął przed rozgniewanym Nowickim. Cichym, lecz stanowczym głosem rzekł:

– Puść go, Tadek, może będzie to dla niego większą karą niż śmierć, na którą nawet według tutejszych praw zasłużył.

Marynarz jeszcze się wahał; spojrzął na Tomka. Młodzieniec spoglądał na Sally, którą wciąż obejmował ramieniem. Tyle czułości malowało się w jego wzroku, że dobroduszny marynarz natychmiast zapomniiał o zemście. Schował nóż do pochwy i puścił drżącego z

przerażenia czarownika.

– Ain'u'Ku, powiedz mu, że jest wolny i niech idzie... do diabła! – powiedział stłumionym głosem.

Czarownik stał oszołomiony. Teraz już sam nie mógł zrozumieć tych dziwnych białych ludzi. Chyba jednak byli duchami, skoro biała dziewczyna żyła i nie pozwoliła pchnąć go nożem. Bełkocąc niezrozumiale jakieś przeprosiny, a może zaklęcia, cofał się niepewnie. W tej chwili Smuga, który ani na chwilę nie przestawał rozglądać się po zaroślach, krzyknął:

– Uwaga! Atakują nas! Nie strzelać bez rozkazu!

Wszyscy chwycili za broń.

Z konarów pobliskiego drzewa zeskoczył na ziemię wojownik uzbrojony w łuk. Podróżnicy od razu rozpoznali w nim wodza Eleli Koghe, gdyż na głowie miał wspaniałą, purpurowy pióropusz z piór rajskich ptaków. Jego krótki, ostry rozkaz przywołał chmurę gotowych do boju Tawade. Jedni trzymali napięte łuki, inni dzidy i topory. Otoczyli karawanę zwartym kołem. Biali podróżnicy unieśli karabiny do ramienia.

– Nie strzelać bez rozkazu! – powtórzył Smuga, po czym postąpił kilka kroków ku Eleli Koghe, mierząc do niego z rewolweru.

Wódz tymczasem zastąpił drogę czarownikowi. Obrzucił go ponurym spojrzeniem. Przez chwilę stał, jakby toczył jakąś wewnętrzną walkę, lecz wkrótce odezwał się donośnym głosem, aby wszyscy go słyszeli:

– Oszukałeś nas, ty synu karalucha! Wynoś się z wioski razem ze swymi pomocnikami!

Biali podróżnicy oniemieli. Znali już sporo słów z narzecza Tawade. Nazwanie kogoś synem karalucha było w tym kraju największą obelgą. Poza tym ruch ręki wodza, wskazującego czarownikowi mgliste mokradła, nie mógł budzić wątpliwości. Wszyscy natychmiast pojęli, że przewrotny szalbierz został wykluczony ze społeczności wioski.

Czarownik wycofując się przepadł w dżungli. Eleli Koghe rzucił na ziemię swój łuk i strzałę. Spojrzał na Tomka przygarniającego Sally do swej piersi, a potem wzrok jego spoczął na twarzy białej dziewczyny. Wolnym krokiem ruszył ku niej. Łagodnym ruchem odsunął Smugę zastępującego mu drogę. Nie zatrzymany przez nikogo podszedł do Sally. Długo w milczeniu spoglądał na nią. Zdawało się, że wyraz dzikości ustępuje z jego twarzy pokrytej wojennymi barwami. Eleli Koghe odwrócił się do Smugi. Szerokim ruchem ręki dał do zrozumienia, że mają drogę otwartą, mogą wracać do doliny lub iść dalej, po czym przełamał jedną haczykową strzałę i złożył ją u stóp Sally. Tawade wydali przeraźliwy okrzyk. Zdjęli strzały z cięciw i opuścili łuki. Rozstąpili się. Droga na wschód i zachód stanęła przed podróżnikami otworem.

– Opuścić broń! – zakomenderował Smuga.

Wtedy nastąpiło coś, co wszystkim zaparło dech w piersiach. Oto straszliwy wódz zdjął

z głowy swój wspaniały pióropusz i położył go przed Sally. Był to niezwykle cenny dar, albowiem według wierzeń Tawade pióropusz ten w walce chronił Eleli Koghe przed śmiercią. Sally, wiedzona instynktem kobiecym, pojęła doniosłość chwili. Musiała jakoś okazać swą wdzięczność wojownikowi za tak wielką ofiarę. Drżącymi ze wzruszenia rękami odpięła z ucha jeden kolczyk i podała go Eleli Koghe. Ten przyjął dar. Nie odrywając oczu od Sally, wbił kolczyk w swoje ucho. Krew spłynęła po kolczyku na szyję, a potem na piersi Papuasa. Pochylił się w podzięcie przed białą kobietą i tyłem wycofał się w zarośla. Jego wojownicy również zniknęli w dżungli.

ŁOWCY GŁÓW

Przez półtora dnia karawana brodziła po rozległych zdradliwych mokradłach, rojących się od wszelkiego rodzaju gadów, płazów i robactwa. Czterech Mafulu niosło Sally w naprędce skleconej lektyce, szczelnie osłoniętej moskitierą. Tomek i Natasza nie odstępowali chorej ani na chwilę.

Tomek zatroskany spoglądał na dziewczynę. Starał się wprost odgadywać jej życzenia: podawał wodę do picia, ocierał twarz i dłonie z potu, karmił na postojach. Sally dziękowała mu nikłym uśmiechem i co chwila zapadała w niespokojną drzemkę.

Właśnie zatrzymali się na odpoczynek. Mafulu ostrożnie postawili lektykę na suchej kępie trawy. Sally spała. Pierś jej unosiła się w nierównym, ciężkim oddechu. Tomek najpierw upewnił się, czy jakiś natrętny owad nie przedostał się pod moskitierę, po czym odwołał na bok przyjaciół.

– Sally nie czuje się ani trochę lepiej – cicho powiedział zmartwiony. – Nie ma nawet siły rozmawiać...

– Nie rań mi serca, brachu! – rzekł Nowicki. – Głęboko wyciąłem zakażone miejsce, dokładnie wycisnąłem ranę. Niewiele jadu mogło się przedostać do krwi.

– Kapitan ma rację, nie trać ducha, Tomku – wtrącił Smuga. – Każdy by się czuł źle po takim zabiegu. To chyba naturalne! Teraz upoluj kilka papug. Ugotujemy rosół, to ją wzmocni.

Tomek zaraz wziął flobert, gwizdnął na Dinga i zniknął w dżungli. Zaledwie się oddalił, Smuga westchnął i powiedział:

– Nie chciałem jeszcze bardziej martwić Tomka, ale nie podoba mi się stan Sally.

– Ten wąż należy do bardzo niebezpiecznych, lecz kapitan spisał się gracko, jakby całe życie spędził u nas w buszu – rzekł Bentley. – Każdy australijski ranczer musi umieć radzić sobie w takich wypadkach. Widziałem już niejednego ukąszonego przez jadowitego węża. Moim zdaniem nie mamy powodu do poważniejszych obaw. Sally wylize się z tego!

– Niech pana uściskam, panie Bentley! Jakbyś mi pan serce balsamem posmarował! – zawołał wzruszony Nowicki. – Wolalbym sam zginąć, byle tylko tej ukochanej sikorce nic złego się nie stało! Cóż by Tomek począł bez niej?!

Wszyscy umilkli rozczuleni: pocziwy Nowicki sam sprawiał wrażenie chorego. Twarz miał posępną, oczy zaczerwienione i podpuchnięte.

– Głowa do góry, Tadku! – przerwał milczenie Wilmowski. – Sally jest młoda, silna, przetrzyma kryzys. Nie pokazujemy jej zasmuconych twarzy.

– Pan Bentley zna się na tym, powinniśmy mu wierzyć – dodał Smuga. – Tomek już wraca, ugotuje rosół!

Sally nakarmiona przez Tomka poczuła się nieco lepiej. Karawana ruszyła w drogę. Smuga chciał jak najprędzej wydostać się na płaskowyż. Bardziej suche powietrze mogło

pomóc chorej w odzyskaniu zdrowia.

Następnego wieczora biwakowali już wśród rumowisk skalnych górskiego pasma. O świcie schodzili w dół zbocza po wąskiej, stromej ścieżynie. Smuga wciąż wyprzedzał karawanę i przez lunetę bacznie lustrował okolicę.

– Janie, czy znów błota przed nami? – niespokojnie zagadnął go Wilmowski, który zamiast Tomka szedł w czołówce.

– Płaskowyż wydaje się suchy – odparł Smuga. – Trochę tam trawiastych stepów i busz. Na dwóch stokach górskich wypatrzyłem dymy ognisk. Krajowcy by się nie zadomowili na moczarach.

– Dobra wiadomość! – ucieszył się Wilmowski. – Musimy jak najprędzej rozbić obóz. Sally konieczny jest spokój i dłuższy wypoczynek.

Przed samym południem wkroczyli na równinę porośłą wysoką trawą kunai. Smuga poprowadził karawanę wprost ku zboczom, na których uprzednio spostrzegł dymy wzbijające się w górę. Tam według wszelkiego prawdopodobieństwa powinny się znajdować sadyby krajowców. Smuga z Nowickim szli na czele karawany. Obydwaj uważnie rozglądali się wokoło. Trawa sięgała im prawie do piersi, wiatr wiał z tyłu, więc na węchu Dinga nie mogli całkowicie polegać. Naraz w pobliżu rozbrzmiał przeraźliwy, potężny okrzyk. Z wysokiej trawy, jak spod ziemi, wyrosli ciemnobrązowi wojownicy. Zza podłużnych tarcz znów rozległ się mrozący krew w żyłach okrzyk wojenny: Ha-ha-ha-ha! Świst strzał z łuków nieco zmieszał szyk karawany. Biali podróżnicy natychmiast odpowiedzieli ogniem z karabinów.

Na szczęście tragarze Mafulu tym razem nie ulegli panice. Wspólne wielotygodniowe przeżycia przekonały ich, że biali łowcy nie są wrogami Kanaków. Toteż obecnie, w obliczu niebezpieczeństwa, wiernie stanęli u ich boku. W mgnieniu oka zaimprovizowali z bagaży barykadę wokół lektyki i chwycili za broń. Ostra palba karabinowa ostudziła wojenny zapal napastników. Jak złe duchy zniknęli w trawie, nie pozostawiając na pobojuisku nawet swoich poległych.

Smuga z Dingiem zaraz wyruszył na zwiad, podczas gdy Wilmowski i Nowicki zajęli się zranionymi tragarzami. Mafulu byli bardzo wytrzymali na ból i wcale nie przejęli się swoimi ranami. Napastnicy nie strzelali zbyt celnie. Większość strzał utkwiała w bagażach niesionych przez tragarzy, a tylko cztery trafiły w ludzi. Mafulu dzielnie sami powyrywali strzały z ran, zanim Wilmowski rozpoczął zakładanie opatrunków.

Niebawem Smuga powrócił z uspokajającymi wieściami. Napastnicy zapewne po raz pierwszy usłyszeli huk broni palnej, gdyż po niefortunnym natarciu umknęli w kierunku niedalekich wzgórz. Niebezpieczeństwo było na razie zażegnane, lecz należało pomyśleć o rozbięciu obozu w jakimś bardziej obronnym miejscu. Smuga nie chciał ryzykować zetknięcia się z wrogo usposobionym plemieniem, toteż poprowadził karawanę na północny zachód. Wilmowski co pewien czas wydobywał lunetę; starannie przepatrywał okolicę, lecz mimo to kapitan Nowicki pierwszy spostrzegł gołym okiem pasemko dymu unoszące się u stóp górskiego stoku.

– Andrzej, spójrz no bardziej na prawo! – zaraz zawołał. – Dym snuje się tam nad zaroślami!

– Dobry masz wzrok, do licha! – Odparł Wilmowski, przyjrzaawszy się przez lunetę górskiemu podnózu. – Widzę wioskę otoczoną wysoką palisadą!

– Skoro tak, idziemy w tamtym kierunku – zdecydował Smuga. – Musimy za wszelką cenę nawiązać kontakt z krajowcami.

– A jeżeli przywitają nas strzałami? – zapytał Nowicki.

– Siłą nie możemy torować sobie drogi – odparł Smuga. – Jak widać, dolina jest zamieszкана przez liczne plemiona.

Przez jakiś czas szli w milczeniu. Na rozkaz Smugi, Mafulu utworzyli zwartą grupę, w której środku niesiono lektykę Sally. Obok niej kroczyli: Natasza, Zbyszek i Balmore. Wioska już była w pobliżu. Dingo strzygł uszami, węszył w powietrzu i przy ziemi. Nagle szarpnął mocno smyczą – pociągnął Tomka za sobą. Młodzieniec, z bronią gotową do strzału, zboczył ze ścieżki. Po chwili rozległ się jego głos:

– Hop, hop! Zobaczcie, co Dingo wytropił!

Obok okrągłej chaty, nakrytej poszyciem z trawy, zobaczyli stojącą na drewnianym słupku maleńką budkę z kory o stożkowatym dachu. W otworze jej bielila się czaszka ludzka, leżąca na stosie ludzkich kości.

– Oryginalny grób przodka albo trofeum wojenne łowcy głów – cicho odezwał się Bentley.

Nowicki podejrzliwie zerkał na stojącą obok chatę. Niskie, owalne wejście do niej zastawione było związanymi w kratę prętami bambusowymi.

– Wygląda na to, że gospodarz czmychnął stąd przed nami – mruknął.

– Pal go licho, nie mamy tu czego szukać – odparł Smuga. – Idziemy do wioski. Tam się przekonamy, jak sprawy stoją!

Karawana zatrzymała się o kilkanaście metrów przed palisadą otoczoną głębokim rowem. W narożnikach obronnego ogrodzenia znajdowały się budki strażnicze. Ukryci w nich wojownicy pilnie obserwowali każdy ruch białych. Wilmowski zbliżył się do głębokiej fosy na wprost szczelnie zamkniętych wrót. Na gołej ziemi położył dary dla naczelnika wioski: dwa naszyjniki ze szklanych koralii, lusterko, scyzoryk, którego zastosowanie ostentacyjnie zademonstrował, trochę prasowanego tytoniu i szczyptę soli. Na migi dał do zrozumienia, iż mieszkańcy wioski mogą zabrać podarunki, po czym wycofał się ku swoim.

Za palisadą dobrze musiano zrozumieć mowę znaków, wkrótce, bowiem wrota stanęły otworem, ukazując gromadę wojowników, których ręce i nogi pomalowane były na czerwono i żółto. Na głowach mieli pióropusze, a w rękach tarcze, luki, dzidy bądź maczugi nabijane kamieniami. Dwa długie pnie drzewne przerzucono przez fosę. Jeden z wojowników ostrożnie przeszedł po nich, osłaniając się podłużną tarczą. Podjął z ziemi

podarunki i zaraz wycofał się za palisadę. Zaraz też rozbrzmiał tam beztroski szmer podziwu i zdumienia.

Biali podróżnicy, zadowoleni, przysłuchiwali się odgłosom płynącym zza ogrodzenia. Dary sprawiły dobre wrażenie. Niebawem upstrzony farbami krajowiec ukazał się w otwartych wrotach; ręką dał znak, że karawana może wejść do wioski, po czym zaraz skłócił się za palisadą. Smuga bacznie obserwował uzbrojonych wojowników. Nigdzie nie było widać kobiet ani dzieci. Nasunęło mu to podejrzenie, że krajowcy mogą knuć jakiś podstęp. Po cichu porozumiał się z Wilmowskim, po czym tylko w towarzystwie Tomka, Bentleya i Ain'u'Ku przekroczył wrota, polecając im trzymać broń w pogotowiu.

Papuasi na powitanie poczęstowali gości wodą przyniesioną w bambusowych rurach. Najpierw sami napili się parę łyków z każdego naczynia, aby upewnić gości, że nie jest zatruta, a następnie podsunęli je podróżnikom. Smuga za pośrednictwem Ain'u'Ku próbował rozmówić się z mieszkańcami, lecz boss-boy mógł zrozumieć znaczenie jedynie niektórych słów wymawianych przez nich. Smuga nie był tym zdziwiony. W Nowej Gwinei niejednokrotnie mieszkańcy sąsiednich wiosek mówili różnymi językami[99]. Toteż teraz rozpoczął długą rozmowę na migi. Tomek i Bentley skorzystali z tego i nieznacznie zaczęli się rozglądać dokoła.

Osada składała się z kilkunastu gospodarstw odgradzonych od siebie bambusowymi płótkami. Poszczególne gospodarstwa posiadały po dwie lub trzy okrągłe chaty o spadzistych dachach z trawy, osłaniających ściany do samego dołu. Natomiast podłogi w chatach, zrobione z bambusowych prętów, nie dotykały ziemi. Nad całą wioską, otoczoną masywną palisadą, dominowały budki strażnicze wzniesione w narożnikach ogrodzenia.

Tomek trącił Bentleya w łokieć i szepnął:

– Niech pan spojrzy na plac pośrodku wioski...

– Już je zauważyłem – cicho odparł Bentley, zerkając na prostokątny dziedziniec o mocno ubitej ziemi. Na nim to leżały, ułożone w szerokie kolisko, dobrze wypolerowane i przyozdobione malowidłami oraz koralikami ludzkie czaszki.

– Czyżby to byli łowcy głów? – zatrwożył się Tomek, nie mogąc oderwać wzroku od straszego koliska.

– To nie są trofea wojenne – zaprzeczył Bentley. – Znam, co nieco zwyczajnie i przesady Papuasów. Oni wierzą, że w ludzkiej głowie rodzą się złe i dobre duchy, które wywierają przemożny wpływ na życie i los każdego człowieka. Dlatego też kolekcjonują czaszki; jest to kult przodków i ma równocześnie chronić przed puri-puri, czyli czarami. Papuasi nieraz podkładają sobie pod głowy do snu czaszki zasłużonych krewnych, aby duchy zmarłych mogły przekazywać im rady i ostrzeżenia. Te czaszki zazwyczaj przechowują w Domach Duchów, gdzie mężczyźni zbierają się na narady, czasem w chatach, bądź też układają je tak, jak widzisz na tym placu, w magiczne kręgi.

– Zaobserwowałem już podobne wierzenia u Indian północnoamerykańskich – powiedział Tomek. – Wódz Czarna Błyskawica również odwiedzał magiczny krąg,

utworzony z czaszek wielkich wodzów, gdy miał podjąć jakąś ważną decyzję.^[100] Bentley, rozmawiając, rozglądał się uważnie. Naraz twarz jego pobladła; przysunął się bliżej Tomka i szepnął:

– A jednak to łowcy głów! Spójrz na ten prostokątny dom na końcu placu. To Dom Duchów! Czy widzisz czaszki zdobiące dach?!

– Tak, widzę! Lecz dlaczego pan sądzi, że oni są łowcami głów! Przecież mówił pan, że czaszki przodków przechowywane są w Domach Duchów!

– Te czaszki nie są czaszkami przodków! Przyjrzyj się im dobrze! Ani jedna nie posiada dolnej szczęki! Po tym właśnie odróżnia się czaszki zabitych wrogów od czaszek wielkich przodków – wyjaśnił Bentley.

– Nie wiedziałem tego – odparł Tomek, nie mniej przejęty od swego towarzysza.

– Oznacza to, że znajdujemy się w kraju łowców ludzkich głów – mówił Bentley. – Tutaj wojownik nabiera znaczenia wtedy dopiero, gdy może się poszczycić zdobyciem kilku czaszek...

– Powinniśmy zaraz powiedzieć panu Smudze o naszym odkryciu – doradził Tomek.

– Właśnie daje nam znaki, abyśmy się do niego zbliżyli – odparł Bentley.

Podeszli do Smugi. Widocznie osiągnął jakieś porozumienie ze starszym wioski, ponieważ wojownicy zdjęli strzały z cięciw łuków, a kobiety i dzieci zaczęły wychodzić z chat.

– Zaraz otrzymamy trochę żywności i ruszamy w drogę – oznajmił Smuga. – W pobliżu przepływa rzeka, na której znajdziemy małą wyspę. Na niej rozłożymy obóz.

– To bardzo dobra wiadomość, przyda się nam takie obronne miejsce – powiedział Bentley. – To łowcy głów!

– Wiem o tym – krótko odparł Smuga. – Później pogadamy, teraz chodźmy do naszych!

Karawana odpoczywała u wrót wioski, toteż niebawem znaleźli się wśród swoich towarzyszy.

– Jakże przynosicie wieści? – niecierpliwie zagadnął Wilmowski.

– Udało nam się zdobyć bardzo ważne informacje – wyjaśnił Smuga.

– Ci krajowcy należą do plemienia Bena Bena. Zachowują szczególną ostrożność, gdyż znajdują się w stanie wojny z sąsiednim plemieniem Ku-ku-ku-ku.

– Dlaczego Papuasi stale walczą?! – zapytał Zbyszek. – Do tej pory nie natrafiliśmy na tej wyspie na kraj, w którym panowałby pokój!

– Przesady, prawa plemienne i obrzędy religijne stanowią, dla nich podniecie do wiecznego wojowania – odparł Smuga. – Teraz na przykład znajdują się w stanie wojny, gdyż podczas ostatniej burzy złe duchy rzuciły ognistą kulę na Dom Duchów w wiosce

plemienia Ku-ku-ku-ku. Piorun spalił dom i wszystkie zgromadzone czaszki uległy zniszczeniu. Oczywiście czarownicy Ku-ku-ku-ku orzekli, że to czary plemienia Bena Bena ściągnęły na nich gniew złych duchów. Ku-ku-ku-ku rozpoczęli wojnę. Muszą jak najszybciej zdobyć nowe czaszki zabezpieczające przed czarami.

– Krótko mówiąc, przypadkowe uderzenie piorunu było powodem do rozpoczęcia wojny – zdumiał się Balmore.

– Trzęsienia ziemi i burze często niszczą w Nowej Gwinei chaty krajowców – wtrącił Wilmowski. – Dlatego też nie opłaca się tu budować trwalszych domów.

– Cała tragedia w tym, że przesądni Papuasi przypisują powodowanie burz i trzęsień ziemi swoim sąsiadom, na których zaraz dokonują zemsty – powiedział Bentley.

– Przypuszczam, że to właśnie wojownicy Ku-ku-ku-ku napadli na nas po drodze – domyślił się Wilmowski.

– Ja również tak sędzę – potwierdził Smuga.

– Obyśmy jak najprędzej znaleźli się na wyspie – wtrącił Tomek. – Biedna Sally znów czuje się gorzej!

– Rzeka jest blisko – pocieszył go Smuga. – Niebawem wyruszymy. Kobiety już niosą dla nas prowiant!

Gromada kobiet właśnie wychodziła z wioski. Niosły na plecach siatki z lian wylądowane jarzynami. Wkrótce też zaczęły składać przed podróżnikami słodkie kartofle, kukurydzę, laski trzciny cukrowej, ogórki i dzikie owoce. Smuga w zamian obdarował je szklanymi paciorkami, które przyjęły z głośnymi oznakami zadowolenia. Teraz naczelnik wioski ofiarował podróżnikom dużą świnie, a Smuga wręczył mu stalową siekierę. Pierwsze lody ostatecznie zostały przełamane.

Wkrótce kilkunastu wojowników Bena Bena dołączyło się do karawany, aby wskazać jej drogę do wyspy na rzece; uzbrojeni w tarcze, dzidy i łuki, kroczyli w przedniej straży razem ze Smugą. Nim godzina minęła, podróżnicy usłyszeli szum wody. Szerokość koryta rzeki nie przekraczała w tym miejscu sześćdziesięciu metrów. Konary olbrzymich drzew zwisały nad wodą. Podłużna wysepka, porośnięta bujną zielenią, leżała nieco w dole rzeki. Bena Bena wydobyli z ukrycia w nadrzecznym gąszczu cztery długie łodzie. Były one bańkowato wydrążone z pni drzew. Dla dodania równowagi każda łódź posiadała z jednej strony wykładki z belek z lekkiego drewna. Przeprawa nie trwała długo. Pojedyncza łódź mogła pomieścić do dwudziestu osób, wszyscy więc popłynęli równocześnie i niebawem wylądowali na wysepce. Stanowiła ona doskonałe miejsce na rozłożenie obozu. Głęboki, wartki nurt rzeki odgradzał ją ze wszystkich stron i zabezpieczał przed jakimś niespodziewanym napadem. Energiczny Smuga nie pozwolił nikomu na bezczynność, choć wszyscy byli bardzo zmęczeni. Natychmiast podzielił uczestników wyprawy na grupy, którym powyznaczał odpowiednie zadania. Dzięki temu podczas gdy jedni oczyszczali teren na rozłożenie obozu, inni ogradzali go barykadą z pni drzew, która miała chronić przed rażeniem strzałami z nabrzeży rzeki, rozpakowywali bagaże, przygotowywali posiłek.

Wojownicy Bena Bena obiecali zaopatrywać karawanę w świeże warzywa i zgodzili się na wypożyczenie łodzi. Nie chcieli jednak dłużej pozostać na wyspie. Ze względu na trwającą wojnę musieli zaraz wracać do swojej wsi. Tym razem kilku Mafulu pełniło rolę przewoźników.

Nim zapadł wieczór, prace obozowe zostały ukończone, Mafulu rozłożyli się przy ogniskach. Tajemnicze, ciche brzegi rzeki otulone gąszczem ciemnej zieleni nie nastrajały do tańców i śpiewu. Mafulu w milczeniu palili fajki, żuli betel i pilnie wsłuchiwali się w nocne pogwary płynące z dżungli. Biali łowcy do późnej nocy pracowali w podręcznym "laboratorium", albowiem przy lada niedopatrzaniu zgromadzone okazy flory i fauny mogły ulec zniszczeniu. Jedynie Sally odpoczywała w swoim namiocie odwiedzana co chwila przez Nataszę i Tomka.

Świt poderwał wszystkich z posłań. Smuga zdał komendę Wilmowskiemu, a sam z kapitanem Nowickim i Tomkiem przeprawił się na brzeg rzeki. Postanowił rozejrzeć się po okolicy. Tym razem nie zabrał Dinga. Wierne psisko przez całą noc warowało przy posłaniu chorej i okazywało denerwujący wszystkich niepokój.

Trzej przyjaciele ostrożnie przedzierali się przez gąszcz. Nowicki pierwszy przerwał milczenie.

– Panie Smuga, coś mi się wydaje, że źle jest z naszą Sally – rzekł markotnie.

Smuga spod oka zerknął na Tomka, po czym westchnął ciężko i odparł:

– Wszystko bym oddał za to, aby w tej chwili mogła się znaleźć w szpitalu w Sydney.

– Do stu zgniłych wielorybów, powinniśmy zaraz ruszyć w powrotną drogę! – powiedział Nowicki.

Smuga przystanął. Położył dłoń na ramieniu Tomka i odparł:

– Od chwili, gdy Sally wydarzył się ten okropny wypadek, szukam najdogodniejszej drogi do wybrzeża. Nawet, jeśli Sally przetrzyma kryzys, będzie potrzebowała opieki lekarskiej. Dzisiaj właśnie chcę się przekonać, w jakim kierunku płynie ta rzeka. Według moich obliczeń to może być Purari lub któryś z jej dopływów. Moglibyśmy popłynąć łodziami.

– Dziękuję... – cicho szepnął Tomek drżącym głosem. – Wiem, że tak samo jak ja drżycie o życie Sally...

– Nie traćmy czasu na gadaninę! – gorączkowo powiedział Nowicki. – W drogę!

Dopiero około południa wracali do obozu. Nie ulegało wątpliwości, że rzeka płynęła na południe. Chcąc skrócić sobie drogę, Smuga postanowił wracać po cięciwie łuku rzeki. Szli, więc teraz wprost przez dżunglę, przyspieszając tempo przedzierania się ku brzegom rzeki. Byli już w jej pobliżu, gdy naraz Tomek przystanął. Pochylił się nad ziemią, a następnie przyklęknął.

– Stójcie! – cicho zawołał. – Tu są odciski bosych stóp!

Smuga bez słowa przyklęknął obok niego. Uważnie przyjrzał się śladom.

– Tedy przechodziło kilku ludzi. Szli w kierunku rzeki – potwierdził po chwili spostrzeżenie Tomka.

– Przeszli tędy zaledwie kilka godzin temu... – rzekł młodzieniec.

– Może to Bena Bena drałowali z prowiantem dla nas – mruknął Nowicki.

– Nie, wioska Bena Bena leży na północnym wschodzie – zaprzeczył Smuga. – Te ślady wiodą z południowego wschodu.

– To mogli być Ku-ku-ku-ku – dodał Tomek. – Jak najprędzej wracajmy do naszych!

– Nie bądź w gorącej wodzie kąpany. Jeśli te zuchy naprawdę węszą w pobliżu obozu, to mamy dobrą okazję, aby ostudzić ich zapał – powiedział Nowicki.

– Masz rację, musimy się przekonać, czego oni tutaj szukają – powtórzył Smuga. – Chodźmy ich śladem!

Ruszył pierwszy z bronią gotową do strzału. Tropy wiodły wprost ku rzece. Smuga szedł coraz wolniej i ostrożniej. W milczeniu gestem nakazywał towarzyszom, aby zwracali baczną uwagę na korony drzew, gdyż tam mogli się ukrywać wrogowie. Już było słychać szum płynącej wody. Poprzez zarośla prześwitywała rzeka. Smuga przystanął, odwrócił się do przyjaciół przykładając palec do ust. Wzrokiem wskazał na nadbrzeżne drzewo.

Na rozłożystym konarze siedział ciemnoskóry wojownik. W rękach trzymał łuk i pierzaste strzały. Niemal nie odrywał wzroku od doskonale stąd widocznej wyspy na środku rzeki. Nowicki pytająco spojrział na Smugę. W tej właśnie chwili zaszeleściły gałęzie. Smuga instynktownie uskokzył w bok. Ostrze dzidy trafiło w drzewo zaledwie o krok od jego piersi. Kilkunastu Ku-ku-ku-ku wyrosło jak spod ziemi. W nadrzecznym gąszczu rozgorzała walka wręcz. Jeden z napastników skoczył z gałęzi drzewa wprost na Tomka. Ten stracił równowagę i zwałił się na ziemię razem z Papuasem. Na szczęście zwinnym podrzutem ciała zdołał odwrócić się na plecy i chwycił w przegubie dłoni godzącą w niego ostrym nożem z bambusa. Uderzeniem kolana przerzucił napastnika przez siebie. Już z rewolwerem w dłoni poderwał się z ziemi, zanim jednak zdążył nacisnąć spust, celny strzał Smugi powalił wojownika.

Kapitan Nowicki odrzucił na bok karabin bezużyteczny w leśnym gąszczu. Jego twarde jak kamień pięści siały przerażające spustoszenie. Kogokolwiek dosięgną ręką, ten padał jak rażony gromem. Toteż w kilku chwilach rozproszył napastników, którzy w gęstwinie również nie mogli zadawać ciosów dzidami bądź strzelać z luków. Smuga raz za razem naciskał spust rewolweru. Na odgłos walki na brzegu rzeki Wilmowski w obozie szybko zorganizował pomoc; od wyspy odbiły dwie łodzie pełne zbrojnych ludzi. Huk salwy karabinowej do reszty zniechęcił Ku-ku-ku-ku do kontynuowania napadu. Zanim nadpłynęła odsiecz, czmychnęli w zarośla.

OSTATNIE ŻYCZENIE SALLY

Wieczór był cichy i pogodny. Na niebo wschodził księżyc w pełni. Tomek i Nowicki czuwali przy ognisku przed namiotem, w którym spała chora Sally. Obydwaj prawie nie rozmawiali, w skupieniu nasłuchiwali odgłosów płynących z dżungli, otaczającej zwartym gąszczem wyspę na rzece. Już od trzech dni obozowali w samym sercu kraju ludożerców i łowców ludzkich głów. Co wieczór wpatrywali się w wojenne ognie palone przez krajowców na okolicznych szczytach górskich. Ku-ku-ku-ku mobilizowali się do decydującego ataku. Ich przednie straże w dzień i w nocy czaiły się w nadbrzeżnej gęstwinie po obydwóch stronach rzeki, czekając dogodnej chwili do napaści. Przez dżunglę niesło się ustawicznie przytłumione dudnienie bębnow.

Łowcy zdawali sobie sprawę ze swojej beznadziejnej sytuacji. Wyspa była obleżona przez wojowniczych Ku-ku-ku-ku. Wbrew przyrzeczeniu, Bena Bena nie dostarczyli im świeżych zapasów żywności. Zapewne nie mogli się przedrzeć przez strażę, Ku-ku-ku-ku, którzy coraz ciasniejszym kołem okrążali obozowisko. Smuga dwukrotnie usiłował prześliznąć się do wioski, Bena Bena, lecz grad pierzastych strzał oraz mrożące krew w żyłach przeraźliwe okrzyki wojenne Ku-ku-ku-ku zmuszały go do odwrotu.

Tego wieczora jeszcze więcej ogni płonęło na górach. Nowicki i Tomek posępnym wzrokiem spoglądali na sygnały i zaniepokojeni, co chwila zerkali ku namiotowi Sally. Chora już od dwóch dni nie przyjmowała pokarmu. Gorączka pożerała resztki jej sił. Gdy na krótko budziła się z niespokojnej drzemki, z trudem unosiła powieki. Wszyscy drżeli o jej życie. Mężna twarz Tomka stężała w grymasie z trudem ukrywanej rozpacz. Sally umierała, a on nie mógł jej pomóc... Nowicki nie przerywał milczenia. Widział ból przyjaciela i sam cierpiał nie mniej od niego. Wtem zaszleściły krzewy. Smuga przysiadł przy ognisku.

– Co z Sally? – krótko zapytał.

– Bez zmian... – odparł Nowicki, ciężko wzdychając.

– Wydaje mi się, że choroba osiągnęła punkt kulminacyjny – powiedział Smuga. – Musisz być dzielny, Tomku. Nie trać nadziei, jeśli przeżyje do rana...

Głos uwiązał mu w gardle. Przez chwilę siedział z opuszczoną na piersi głową i dopiero gdy zapanował nad sobą, cicho rzekł:

– Tomku, jesteśmy twoimi i Sally oddanymi przyjaciółmi. Cierpimy razem z wami. Pamiętaj o tym, lżej ci będzie...

Młodzieniec spojrzał na przyjaciół. Pobladł jeszcze bardziej. Zrozumiał okrutną prawdę. Słowa zamarły mu na drżących ustach...

Po długiej chwili milczenia Smuga znów się odezwał:

– Jeśli Ku-ku-ku-ku pozostawią nas do świtu w spokoju, wyruszymy na łodziach w dół rzeki. Musimy się wyrwać z oblężenia, z żywnością bardzo krucho...

– Nie bój się pan, nie pomrzemy z głodu – ponuro odparł Nowicki. – Spójrz, ile ogni

plonie dzisiaj na górach! Jestem pewny, że atak nastąpi o wschodzie słońca.

– Do rana łodzie będą gotowe do drogi – odpowiedział Smuga. – Oprócz straży wszyscy pracują bez wytchnienia. Na szczęście księżyc świeci jasno i możemy nie palić ogniska. Ku-ku-ku-ku nie wypatrzą naszych przygotowań.

– Żeby wieloryb połknął tych synów karalucha! – zaklął Nowicki, – Dlaczego tak się na nas uwzięli?!

– Czaszki białych mają dla nich podwójną wartość – wyjaśnił Smuga.

– Nie tak łatwo dostaną nasze...! – mruknął Nowicki i zacisnął pięści z taką siłą, aż zachręściły ich stawy.

– Jakoś damy sobie radę. W gorszych już bywałem tarapatach – powiedział Smuga. – Świt może przynieść wiele niespodzianek. Czuwajcie przy chorej na zmianę. Musimy być w pełni sił na ostateczną rozprawę. Zaraz przyślę wam Nataszę...

Smuga odszedł.

Nowicki powstał ociężale i zajrzał do namiotu. Na polowym łóżku, pod szczelnie zasłoniętą moskitierą, spała Sally. Przy nikłym świetle lampy naftowej twarz jej nabierała niepokojącej ostrości, tak charakterystycznej dla ciężko chorych. Nowicki ukradkiem otarł łzę z oka i znów przysiadł przy Tomku.

– Wciąż śpi biedaczka... – rzekł cicho. – Ty również, brachu, kimnij się trochę. Czuwasz już trzecią noc. Musisz nieco odpocząć, zanim zacnie się piekielny taniec! Od pewności oka i ręki będzie zależało życie nas wszystkich!

– Pan także przez cały czas czuwa razem ze mną – odpowiedział Tomek. – Chcę być przy Sally, gdy się przebudzi.

– Prześpij się! – nalegał Nowicki. – Dam ci znać, gdy tylko Sally otworzy oczy.

Tomek dorzucił dREW do ogniska, po czym położył się obok na ziemi. Coraz leniwiej oganiał się od komarów. Srebrzysty rechot toundul i ćwierkanie świerszczy zdały mu się coraz dalsze i słabsze. Zmęczenie przygłuszyło rozpacz. Tomek zasnął. Kapitan ostrożnie okrył go kocem, a następnie na palcach wszedł do namiotu. Usiadł przy łóżku Sally. Wzrok jego spoczął na poblądłej, wychudłej twarzyczce. Wyteżał całą siłę woli, aby powstrzymać łzy cisnące mu się do oczu. Po jakimś czasie Natasza cicho wśliznęła się do namiotu. Delikatnie dotknęła dłonią ramienia marynarza. Ten przyłożył palec do ust, nakazując jej milczenie. Usiadła obok niego. Schowała twarz w dłoniach. Płakała. Naraz z ust Sally wyrwało się głośniejsze westchnienie. Przebudziła się. Nowicki i zapłakana Natasza natychmiast porwali się z ziemi. Pochylili się nad chorą.

– Gdzie Tommy? – słabym głosem zapytała Sally.

– Śpi przed namiotem. Zaraz go obudzę – szybko odparł Nowicki. – Czuwał przez trzy noce...

– Nie trzeba budzić... – szepnęła Sally. – Teraz nawet wolę go nie widzieć...

– Co ty wygadujesz, kochana sikorko?! – zaoponował Nowicki. – Tomek nigdy by mi tego nie darował...

– To już chyba moje ostatnie chwile – cicho mówiła Sally rwącym się głosem. – Niech mu pan oszczędzi tego widoku.

– Nie możesz umrzeć, Sally! – cicho krzyknął Nowicki. – Tomek oszalałby z rozpaczy! A ja... ja...

Nie mógł dalej mówić. Pochylił się nad chorą i porwał jej dłonie w swe ręce. Strach zjeżył mu włosy na głowie.

– Niech pan mnie pocałuje... w jego imieniu – poprosiła Sally. – Niech mu pan powie, że moim jedynym pragnieniem było stale być z nim razem. Miałam nadzieję, że się pobierzemy... Lżej by mi było teraz umierać, gdyby Tommy był już naprawdę mój...

Nowicki przygryzł wargi aż do krwi. Kurczowo ścisnął jej dłonie, jakby chciał przytrzymać ulatujące życie.

– Tomek jest tylko twój – rzekł stłumionym głosem. – Gdy znajdziemy się na “Sicie”, jako kapitan sam dam wam ślub. Wierz mi!

– To już będzie za późno, drogi kapitanie... – szepnęła Sally.

– Niech pan da im ślub teraz! – zawołała Natasza. – Przecież i na łodzi jest pan kapitanem!

Jakaś myśl olśniła Nowickiego, oczy jego, bowiem pojaśniały. Pochylił się nad Sally i zapytał:

– Czy naprawdę chcesz wyjść za mąż za Tomka?

– To moje ostatnie życzenie... – odparła i nikły uśmiech okraślił jej bladą twarz.

– Będiesz jego żoną! Natasza, budź Tomka!

Po krótkiej chwili młodzieniec wszedł do namiotu. Panował nad sobą. Przysiadł na łóżku obok Sally. Objął ją ramionami i przytulił do swej piersi.

– Sally, kochanie, Natasza powiedziała mi wszystko? Czy naprawdę chcesz zostać moją żoną? – zapytał.

– Tak bardzo bym chciała, Tommy...

– Kapitanie, czy możesz dać nam ślub? – zwrócił się Tomek do przyjaciela.

– Mam prawo dać ślub na statku. Bierz ją i chodź ze mną!

Zdumienie odmalowało się we wzroku Tomka, lecz bez chwili wahania ostrożnie wziął Sally na ręce i ruszył za kapitanem. Głowa Sally ciężko opadła na jego ramię.

Nowicki wstąpił po drodze do swego namiotu i wyszedł po chwili w czapce kapitańskiej na głowie. Teraz poprowadził przyjaciół na brzeg wyspy, gdzie przygotowywano łodzie do drogi. Cztery długie pirogi stały już na wodzie połączone parami za pomocą belek z

lekkiego drewna. Właśnie na tych pomostach pomiędzy łodziami układano paki ze zbiorami i bagażem.

– Zapalcie pochodnie! – donośnie zawołał Nowicki.

Smuga chciał zaproponować, ale zaledwie ujrzał Tomka niosącego Sally oraz Nowickiego ubranego w czapkę kapitana, natychmiast pojął, że dzieje się coś niezwykłego.

– Zapalcie pochodnie! – rozkazał.

Mafulu natychmiast podnieśli z ziemi bambusowe kije. W jednym rozszczepionym końcu każdego kija była zatknięta smolna szczapa. Były to pochodnie przygotowane przez tragarzy na wypadek ataku. Po chwili czerwony odblask rozjaśnił wybrzeże wyspy.

Tomek z Sally w ramionach przystanął przed ojcem.

– Tatusiu, Sally i ja pragniemy się pobrać – rzekł spokojnie. – Prosimy cię o ojcowskie pozwolenie.

Wilmowski tkliwym spojrzeniem ogarnął twarzyczkę chorej. Ostrożnie wziął ją od syna na rękę.

– Nieś ją do łodzi, Andrzej – pośpieszył z wyjaśnieniem Nowicki. – Jako kapitan mam prawo dać im ślub tylko na statku.

– Niech tak będzie – poważnie odparł Wilmowski. – Później potwierdzimy ślub w najbliższym porcie.

Natasza zdążyła już po cichu powiadomić wszystkich o krytycznym stanie Sally i jej ostatnim życzeniu. Toteż przyjaciele Tomka szli za Wilmowskim świadomi powagi niezwykłego wydarzenia.

Balmore i Zbyszek przygotowali w łodzi posłanie z koców. Na nim to złożył Wilmowski chorą Sally. Tomek przyklęknął obok niej. Dingo jednym skokiem znalazł się przy nich. Nowicki przysiadł na krawędzi łodzi.

Smuga tymczasem zarządził alarm. Z karabinem w dłoni, wraz z uzbrojonymi Mafulu otoczył łódź. Nowicki wydobył z kieszeni bluzy swój podręczny dziennik pokładowy, noszący widome ślady po strzale z luku, którą Eleli Koghe chciał przebić jego serce. Odszukał wolną stronę, po czym zapytał:

– Czy naprawdę chcecie zostać mężem i żoną?

– Och, tak, drogi kapitanie, tak! – szepnęła cicho Sally.

– Obydwoje jesteście zdecydowani – potwierdził Tomek.

– Od dawna to wam prorokowałem, toteż zapytałem tylko dla dopełnienia formalności – powiedział Nowicki. – Gdzie są świadkowie?

– Ja będę jednym – odparł Wilmowski. – Proszę, kapitanie, ofiarowuje państwu młodym obrączki, moją i żony.

– A ja zgłaszam się na drugiego świadka – dodał Smuga.

Nowicki zaraz podał Sally mniejszą obrączkę.

– Trochę za duża – mruknął. – Noś ją na środkowym palcu, bo zgubisz.

– Dobrze... – szepnęła Sally.

– Czy będziesz szanował Sally i nie opuścisz jej aż do śmierci? – zwrócił się Nowicki do Tomka.

– Zawsze będę ją szanował i nie chcę żyć dłużej od niej – odparł młodzieniec.

– Nie gadaj głupstw, brachu, jak amen w pacierzu w dniu twego ślubu spuszcze ci lanie – rozgniewał się Nowicki. – Odpowiadaj tylko: tak lub nie!

– Tak, panie kapitanie! – zgodnie potwierdził Tomek.

– Pamiętaj, że masz jej oddawać wszystkie pieniądze. Kobiety lepiej umieją oszczędzać niż my!

– Będę oddawał, panie kapitanie!

– Dobrze a teraz ty, Sally! Czy zawsze będziesz kochała Tomka? Wiesz, że przepadam za nim jak za własnym synem!

– Nigdy nie przestanę go kochać... – odrzekła Sally.

– Nie pytam, czy będziesz dla niego dobrą żoną, bo wiem, że lepszej nigdzie by nie znalazł – ciągnął Nowicki. – Czy zaprosicie mnie za ojca chrzestnego waszego pierwszego syna?

– Tak – odpowiedzieli zgodnie.

– Wobec tego zapisuję w dzienniku pokładowym “Sity”, że w dniu dzisiejszym w obecności świadków udzieliłem wam ślubu. Od tej chwili jesteście małżeństwem. Życzę wam, żebyście żyli przykładnie! Słuchaj, kochana sikorko, skoro spełniliśmy twoje życzenie, musisz wyzdrowieć! Teraz, brachu, pocałuj żonę! Spiesz się, bo już świta!

Odblask wschodzącego słońca właśnie różowił niebo. Tomek trochę zażenowany spojrzał na przyjaciół zgromadzonych obok łodzi. Wszyscy byli skupieni i wzruszeni. Natasza płakała z radości. Tomek pochylił się nad Sally. W tej właśnie chwili Dingo szczeknął chrapliwie. Na lewym brzegu rzeki rozległ się przeraźliwy bojowy okrzyk Ku-ku-ku-ku. Chmara pomalowanych wojowników, w wojennych barwach, wynurzyła się z gąszczu dżungli. Jedni spychali na wodę długie pirogi i stojąc na nich, osłonięci podłużnymi tarczami, płynęli ku wyspie, inni wprost siadali na nieco wydrążone w środku pieńki drzew, na których jak na komach sunęli obok łodzi.

– Atakują nas! – krzyknął Bentley.

– Kobiety za barykadę! – zakomenderował energicznie Smuga.

Tomek porwał Sally na rękę, gwizdnął na psa i wraz z Nataszą pobiegł w kierunku namiotu osłoniętego zaporą z grubych bali. Smuga tymczasem sprawnie rozstawiał swych ludzi, aby w bitewnym rozgardiaszu uniknąć zaskoczenia. Wszyscy uzbrojeni w broń palną

mieli stawić czoło głównemu atakowi. Przyczaili się za drzewami i w krzakach na samym brzegu wyspy naprzeciwko nadpływających łodzi Ku-ku-ku-ku.

Tomek ułożył Sally na łóżku polowym. Na krótką chwilę przytuliła głowę do jego piersi, po czym, jak przystało dzielnej żonie podróżnika, szepnęła:

– Mój najdroższy, idź pomóc naszym. Na pewno twoja pomoc jest im potrzebna. Damy tu sobie radę z Natasza... Idź, nie trać czasu!

Tomek ucałował dłonie Sally. Czule pogłaskał ją po głowie zroszonej potem.

– Dingo! Pilnuj pani! – rozkazał psu, który zaraz przywarował obok łóżka. Chwycił karabin oparty o skrzynię i wybiegł z namiotu. Przykleknął za drzewem w pobliżu kapitana Nowickiego i Smugi. Przygotował broń do strzału.

Kilka długich pirog już podpływało do wyspy. Ku-ku-ku-ku ukryci za tarczami trzymali w pogotowiu dzidy zakończone ostrzami. Pomalowani na biało wyglądali jak kościotrupy. Czterech wioślarzy popychało łodzie długimi, bambusowymi drągami. Smuga uważnie obserwował rzekę. Wzrokiem mierzył odległość łodzi od brzegu. Gdy były już oddalone zaledwie o kilkanaście metrów, wolno uniósł karabin do ramienia i głośno rozkazał:

– Mierzyć do wioślarzy! Ognia!

Kilku krajowców zważyło się do wody. Pirogi pozbawione sterników zaczęły kręcić się w koło. Porwane wartkim nurtem spływały szybko w dół rzeki. Jedna z łodzi wyróciła się do góry dnem.

Dwie pirogi dobiły do wyspy. Czereda Ku-ku-ku-ku wyskoczyła na brzeg. Złowrogo rozbrzmiewał przeraźliwy okrzyk łowców głów.

– Kapitanie! Prowadź na nich Mafulu! – zawołał Smuga.

Tragarze widzieli, że życie ich i wszystkich uczestników wyprawy wisi na włosku. Toteż na rozkaz Nowickiego desperacko natarli na wrogów. Tomek z karabinem w dłoni skoczył za Nowickim, który szczególnie celował w walce wręcz. Marynarz kolbą karabinu wymierzał błyskawiczne ciosy. Po krótkiej chwili wokół niego powstała pustka. Tomek raz za razem strzelał z rewolweru. Mafulu zachęceni przykładem szybko przegnali napastników na brzeg rzeki. Walka toczyła się teraz tuż nad wodą.

Tomek szybko wystrzelał naboje z rewolweru. Nie mając czasu na ponowne nabicie broni, wepchnął ją za pas. W ostatniej chwili kolbą karabinu odparował cios wymierzony dzidą w jego pierś. Zanim napastnik zdążył ponownie wznieść do góry dzidę, Tomek odrzucił karabin i obydwoma rękami przytrzymał drzewce. Ku-ku-ku-ku natychmiast rzucił dzidę i tarczę na ziemię. Wyrwał nóż zza przepaski. Dzięki kapitanowi Nowickiemu Tomek był zaprawiony w tego rodzaju walce. Nie stracił, więc teraz odwagi; zwinnym skokiem znalazł się twarzą w twarz ze straszliwym łowcą głów. Wspaniały pióropusz na głowie krajowca uświadomił mu, że ma do czynienia ze znakomitym wojownikiem. Niezawodny chwyt jedną dłonią za przegub, a drugą za łokieć zmusił Ku-ku-ku-ku do porzucenia noża. Papuas chwycił Tomka za gardło, ten ostatni zaś podstawił mu nogę.

Zwalili się na ziemię. Naraz uścisk Papuasa zelżał. Tomek leżąc na plecach ujrzał wroga unoszącego się do góry. Było to dziełem Nowickiego, który w samą porę pospieszył druhowi z pomocą. W mgnieniu oka Ku-ku-ku-ku zakreślił w powietrzu luk i zniknął pod woda.

Wtem na lewym brzegu rzeki wybuchła nieopisana wrzawa. Triumfujące okrzyki mieszały się z przerażonymi głosami wołającymi o pomoc. Ku-ku-ku-ku w popłochu wskakiwali do swych łodzi i umykali na ląd, gdzie niespodziewanie rozgorzała walka.

– To Bena Bena zaatakowali naszych wrogów! – krzyknął Wilmowski.

– Musimy ich wspomóc – zawołał Smuga. – Kapitanie, zbieraj ochotników!

Rozgrzani walką Mafulu już wsiadali do dwóch łodzi porzuconych przez niefortunnych napastników. Smuga zabrał ze sobą jedynie Nowickiego i Balmore'a. Reszta białych podróżników wraz z kilkunastoma Mafulu musiała pozostać na straży na wyspie.

– Do licha, ależ tam będzie prawdziwa rzeź! – zafrasował się Bentley.

– Musimy przerazić krajowców, wtedy przerwą walkę – odparł Wilmowski. – Tomku, przynieś trzy rakiety! [\[101\]](#)

Tomek pobiegł do obozu. Wkrótce powrócił z raketami osadzonymi na długich żerdziach stabilizujących. Wilmowski razem z Tomkiem umocowali końce żerdzi w ziemi w ten sposób, aby były nachylone pod pewnym kątem w kierunku brzegu rzeki. Tomek wydobył zapalki; kolejno zapalił lonty raket. Z hukiem odpaliły jedna po drugiej i snując za sobą ogon czerwonego dymu zatoczyły w powietrzu nad rzeką szeroki luk, po czym przepadły gdzieś w dżungli. Wrzawa bitewna ucichła na chwilę. Potem nastąpił wybuch okrzyków przerażenia. Odgłosy walki zaczęły się oddalać na południowy wschód.

Po godzinie Smuga i Nowicki wrócili na wyspę.

– Ku-ku-ku-ku zostali rozgromieni – oznajmił Smuga, siadając przy ognisku. – Czyj to był pomysł z wystrzeleniem raket sygnalizacyjnych?

– Mój – krótko odparł Wilmowski, – Chciałem przerwać bezsensowną bitwę.

– Udało ci się wspaniale, Andrzeju – powiedział Nowicki. – Ku-ku-ku-ku tak zmykali, że aż piętami kopali się w zadki! Jak czuje się nasza Sally? Czy bardzo się wystraszyła?

– Mimo odgłosów walki, zaraz po ślubie, uszczęśliwiona, zasnęła. Tak bardzo jest osłabiona – wyjaśniła Natasza.

– Miejmy nadzieję, że przetrzyma kryzys, teraz już chyba nie... umrze – powiedział Tomek, szukając potwierdzenia swych nadziei w oczach przyjaciół.

– Zastosowałem najskuteczniejsze lekarstwo – chełpliwie odezwał się kapitan Nowicki. – Spełnienie jej najskrytszego marzenia pokona diabelski jad podstępnego czarownika.

– Pozwólmy jej odpocząć jeszcze ze dwa dni – rzekł Smuga. – Potem popłyniemy łodziami w dół rzeki. Jeszcze dzisiaj Bena Bena dostarczą nam zapasy prowiantu.

Wyprawimy ucztę weselną. Jest to przecież dla nas dzień wielkiej radości...

ZAKOŃCZENIE WYPRAWY

Już prawie dziesięć dni wyprawa łowców rajskich ptaków płynęła na łodziach w dół rzeki. Wojenne ognie krajowców, płonące nocami na górskich szczytach, pozostały w dali; umilkło dudnienie bębnow.

Sześć długich piróg, połączonych parami za pomocą pomostów z belek, tworzyło teraz flotyllę wyprawy, nad którą na wodzie objął komendę kapitan Nowicki. Mafulu z ochotą przedzierzgnęli się w wioślarzy. Bagaże oraz liczne okazy flory i fauny spoczywały na pomostach pomiędzy łodziami. Tylko dzięki temu biali łowcy mogli wywieźć z głębi kraju swe zbiory, gromadzone przez wiele miesięcy. W walce z Ku-ku-ku-ku poległo pięciu tragarzy Mafulu, a kilku innych odniosło rany i nie byli zdolni dźwigać ładunku. Podróżowanie na łodziach umożliwiała również zapewnienie koniecznych wygód chorej Sally, która bardzo powoli odzyskiwała siły. Toteż przez cały dzień spoczywała w łodzi na miękkim pośłaniu osłoniętym daszkiem z płatów kory i moskitierą. Na noc rozkładano dla niej namiot na lądzie. Tomek wszystkie wolne chwile spędzał przy żonie. Właśnie siedział na pomoście naprzeciwko jej pośłania i mówił:

– Już niedługo dopłyniemy do morskiego wybrzeża, jeśli naprawdę znajdujemy się na Purari, wkrótce będziemy w Port Moresby. Tam znajdziesz odpowiednią opiekę lekarską i skończą się nasze kłopoty.

– Przeze mnie musieliście przerwać łowy – markotnie zauważyła Sally.

– Nie powinnaś tak myśleć – zaprzeczył Tomek. – Wprawdzie bardzo obawialiśmy się o ciebie, ale przede wszystkim wroga postawa krajowców zmusiła nas do przyspieszenia odwrotu.

– Mówisz tak, żeby mnie pocieszyć... – niedowierzała Sally.

– Nie rozumuj dziecinnie, moja droga. Przecież sama widzisz, jakie warunki panują na Nowej Gwinei. W głębi wyspy krajowcy wciąż jeszcze żyją na poziomie epoki kamienia łupanego, a ich wiedza o świecie i różnych zjawiskach w ogóle się nie rozwija. Ludzie ci nie znają wymiaru czasu, nie umieją liczyć, wierzą w duchy i boją się wszystkiego, co dla nich jest niezrozumiałe. W tej sytuacji przemożną rolę odgrywają tu przebiegli czarownicy, którzy zazdrośnie strzegą swoich wpływów. Oni też ustawicznie podburzali krajowców przeciwko nam.

– Może masz rację, przecież ukąszenie przez jadowitego węża zostało spowodowane przez czarownika. Trochę mi lepiej, gdy wiem, że to nie tylko z mojej winy wyprawa musiała zawrócić z drogi – wtrąciła Sally.

– Czarownicy rozpuszczali wieści, że zaklinamy dusze wojowników w martwe rajskie ptaki, aby móc je potem dręczyć – mówił Tomek. – Nawet podczas naszego pobytu na wyspie ci szarlatani judzili Bena Bena, aby przestali nam pomagać.

– Tommy, nic mi o tym nie wspominaliście! – zdumiała się Sally.

– Byłaś zbyt osłabiona; nie chcieliśmy cię martwić – wyjaśnił Tomek.

– Dlaczego czarownicy podburzali przeciwko nam Bena Bena? Przecież pomogliśmy im w walce z Ku-ku-ku-ku?

– Zaraz ci to wytłumaczę. Tuż przed naszym odpłynięciem z wyspy pan Bentley poszedł trochę pomyszkować po dżungli. Wtedy właśnie natrafił na nieznaną, oryginalną okazję orchidei. Jej korzenie, tak jak azjatyckiego żeń-szenia[102], przypominały kształtem miniaturową sylwetkę człowieka. Pan Bentley, zachwycony swym odkryciem, chciał zabrać tę orchideę. Jednak towarzyszący mu Bena Bena gwałtownie zaprotestowali, a nawet usiłowali grozić. Okazało się, że kwiaty te są uważane przez krajowców za talizman o niezwykłej mocy i służą im do czarodziejskich praktyk. Oni sądzą, że w korzeniach tej orchidei znajdują się pożarci przez kwiat ludzie.

– Ależ to wierutna bzdura! – oburzyła się Sally.

– Oczywiście, niemniej pan Bentley musiał zrezygnować z zabrania wspaniałego kwiatu.

– Wielka szkoda... Byłby to nie lada sukces!

– Nie martw się, kochana – ciszej rzekł młodzieniec. – Następnego dnia pan Bentley ze Smugą wyprawili się potajemnie do dżungli i przynieśli tę orchideę. Obecnie znajduje się ona pod osobistą opieką pana Bentleya, który transportuje ją w koszu z łyka wyłożonym wilgotnym mchem.

– Oby tylko udało się ją przewieźć do Sydney!

– Pan Bentley jest dobrej myśli. Właśnie ze względu na kilka odmian żywych orchidei musimy tak często urządzać postoje. One żywią się jakimiś grzybkami, których pan Bentley stale poszukuje.

– A ja myślałam, że to ze względu na mnie stale przybijamy do brzegu – powiedziała Sally przekornie, uśmiechając się do Tomka.

– Teraz wiesz prawdę i nie kłopotz się więcej!

Sally jeszcze raz się uśmiechnęła, a po chwili znów zagadnęła:

– Czy odważyłbyś się osiedlić w tym kraju? Myślę, że trudno byłoby białemu człowiekowi żyć z tak prymitywnymi ludźmi.

– Nie wiem, czy potrafiłbym zdobyć się na to, lecz słyszałem o Polaku, który niemal dwadzieścia siedem lat spędził wśród mieszkańców Oceanii – odparł Tomek.

– Jak on się nazywał? – zacięła się Sally.

– To był Jan Kubary [103], jeden z najlepszych znawców Oceanii.

– Opowiedz o nim!

– Był to niepospolity człowiek. Posiadał rzadki dar zjednywania sobie zaufania u krajowców. Nie mieli przed nim żadnych tajemnic. Toteż dokładnie poznał ich obyczaje. Traktowali go jak brata, ponieważ ożenił się z dziewczyną z wyspy Palau i miał z nią córkę.

Podróżował po Melanezji, Mikronezji i Polinezji, badając także sam Ocean Spokojny. Jego ulubionym miejscem pobytu, do którego wciąż powracał, była wyspa Ponape w archipelagu Wschodnich Karolin. Na Ponape posiadał w Mpempe pracownię naukową. Wiele czasu poświęcał krajowcom; wychowywał ich i uczył. Nic, więc dziwnego, że otaczali go szczerym szacunkiem. Przez pewien czas przebywał na wyspie Nowa Brytania, a potem na Nowej Gwinei w Porcie Konstantego, nazwanym tak przez Rosjanina Mikłucho-Makłaja, o którym opowiadała nam Natasza... Jak więc widzisz, można żyć się z krajowcami i czuć się wśród nich jak wśród swoich.

Donośne rozkazy kapitana Nowickiego przerwały rozmowę. Łodzie zaczęły się przybliżać do brzegu. Wśród kęp drzew rozsianych po sawannie widać było unoszące się dymy ognisk. Toteż zaledwie dopłynęli do lądu, Smuga przywołał Tomka oraz kilku Mafulu uzbrojonych w karabiny, po czym razem z Dingiem wyruszyli w kierunku wioski. Musieli zdobyć świeży prowiant.

Dingo, trzymany przez Tomka krótko na smyczy, wciąż zdradzał niepokój. Widząc to Smuga uważnie rozglądał się po sawannie porosłej wysoką trawą kunai. Po jakimś czasie upewnił się w swych domysłach i szepnął do Tomka:

– Jesteśmy śledzeni przez krajowców ukrytych w trawie, którzy wciąż cofają się przed nami.

– Miejmy się na baczności, wioska już blisko – odparł Tomek.

– Oddaj Dinga Ain'u'Ku, a sam trzymaj broń w pogotowiu – polecił Smuga.

Zaledwie około dwustu metrów dzieliło ich od wioski otoczonej bambusową palisadą, gdyż tuż przed nimi wyrosło kilkudziesięciu wojowników. Nałożone na cięciwy łuków strzały nie wróżyły nic dobrego.

Smuga usiadł na ziemi i polecił uczynić to samo swoim towarzyszom. Położył przed sobą tarczę jednego z Mafulu i na niej zaczął rozkładać dary. Były to dwa lusterka, scyzoryk, tytoń i sól. Ruchem ręki poprosił krajowców, aby zbliżyli się po nie, a sam zapalił fajkę. Wojownicy naradzali się po cichu. Dopiero po długiej chwili jeden z nich podszedł do tarczy. Nie okazał zdumienia ani strachu na widok lusterek i scyzoryka. Z jego zachowania widać było od razu, że zna ich zastosowanie. Zaledwie zerknął na sól i tytoń, tak bardzo pożądane w wielu okolicach wyspy. Niezdecydowany stał nad tarczą. Smuga położył na niej stalowy nóż i siekiere.

– Tutaj już byli przed nami biali ludzie... – szepnął do Tomka.

Krajowiec ujrawszy nowe cenne dary zdjął strzałę z cięciwy łuku i odłożył broń na ziemię. Przykucnął przed tarczą. Gardłowym głosem zawołał coś do wojowników stojących za nim. Opuścili łuki i dzidy, po czym zbliżyli się do białych podróżników. Smuga poczęstował ich tytoniem. Przy pomocy Ain'u'Ku rozpoczął pertraktacje.

Tomek nieznacznie obserwował obcych wojowników. Większość z nich nosiła na kosmyku włosów po prawej stronie czoła niezbyt duże, kamienne krążki. Tomek już wiedział, co to oznacza. Taką odznakę mógł posiadać jedynie wojownik, który

własnoręcznie zabił wroga i uciął mu głowę. Tomek skorzystał z okazji, gdy Ain'u'Ku tłumaczył wojownikom słowa Smugi i szepnął:

– Oni noszą odznaki łowców głów...

– Spostrzegłem to – cicho odparł Smuga. – Dobra to w tej chwili dla nas wiadomość. Pamiętasz relacje Bentleya?

Tomek skinął głową. Doskonale przypominał sobie opowiadania Bentleya o ostatnich wyprawach innych podróżników w okolice Purari. Właśnie w okolicach tej rzeki łowcy głów mieli nosić kamienne krążki na czole. Oznaczało to, że wyprawa płynie po rzece Purari, a więc znajduje się na dobrej drodze.

Po długiej naradzie krajowcy zgodzili się wprowadzić podróżników do swej wioski, aby mogli porozmawiać z naczelnikiem. Zaledwie jednak wkroczyli do niej, zaraz wyłoniły się nowe trudności. Mianowicie naczelnik spał w Domu Duchów i nikt nie miał odwagi go zbudzić. Papuasi wierzyli, że w czasie snu dusza śpiącego opuszcza ciało i odbywa wędrówki. Według nich marzenia senne były odzwierciedleniem przeżyć duszy podczas tych wędrówek. Dlatego też krajowcy nigdy nie budzili śpiącego, obawiając się, iż dusza może nie zdążyć powrócić do jego ciała. Wtedy, korzystając z okazji, jakiś zły duch mógłby zamieszkać w ciele zbyt szybko zbudzonego człowieka.

Na szczęście dość głośne pertraktacje skróciły sen naczelnika, który, hojnie obdarowany przez Smugę, obiecał zaopatrzyć karawanę w produkty spożywcze. Podczas gdy kobiety udały się na poletka po jarzyny, biali podróżnicy rozglądali się po wsi. Naczelnik oraz gromada wojowników postępowali za nimi krok w krok, lecz nie czynili jakichkolwiek przeszkód i chętnie udzielali wyjaśnień. Na skraju wioski stało kilka klatek zrobionych z bambusowych prętów. Zaintrygowani podróżnicy zbliżyli się ku nim. W klatkach tych, zwanych kazuawari, zamknięte były żywe kazuary. Sprawiały one godny pożałowania widok. Zbyt małe i ciasne klatki w stosunku do rozmiarów olbrzymich ptaków uniemożliwiały im nawet położenie się na podłodze, zbudowanej z wąskich, bambusowych drążków. Toteż ptaki jedynie przestępowały z nogi na nogę, ślizgając się na wygładzonych drążkach. Potwornie zniekształcone pazury nóg najlepiej świadczyły o męczarniach, jakie przechodziły. Podróżnicy domyślili się, że krajowcy hodowali ptaki dla mięsa oraz piór, którymi zdobili swe głowy, część ptaków, bowiem pozbawiona była upierzenia i połykiwała nagą skórą.

Obok klatek z dorosłymi ptakami krążyły dwa małe kazuary, grzebiąc w odpadkach w poszukiwaniu pożywienia. Tomek zaledwie ujrzał małe, śmieszne ptaki, natychmiast odezwał się do Smugi:

– Proszę pana, może krajowcy zgodziliby się sprzedać nam te dwa młode kazuary. Chciałbym ofiarować je Sally. Podobno małe kazuary przyzwyczajają się łatwo do człowieka i chodzą za nim jak psiaki.

Smuga obrzucił wzrokiem pisklęta opierzone szarozółtym puchem z ciemnymi pręgami.

– Dobry pomysł – odparł. – Spróbuję!

Za trzy naszyjniki szklanych paciorków Tomek stał się właścicielem dwóch małych kazuarów oraz dwóch bambusowych klatek. Naczelnik, rozochocony różnymi upominkami, wydał swym wojownikom jakiś rozkaz. Po chwili przyprowadzili dwa rudawe, mocno utuczone psy. Naczelnik ofiarował je podróżnikom, tłumacząc się, iż świń ma zbyt mało, aby mógł się nimi dzielić. Mafulu z zadowoleniem przyjęli ten dar, Papuasi, bowiem w niektórych okręgach wyspy specjalnie trzymali i tuczyli rybami oraz ptakami sfory psów, zabijając je później na uczty szczepowe.

Kobiety pojawiły się z siatkami napełnionymi warzywami, lecz naczelnik nie chciał jeszcze wypuścić z wioski podróżników, zanim nie wypalą z nim fajki w Domu Duchów. Smuga rad nierad musiał na to przystać. Prowadząc gości do zborczego domu, naczelnik przystanął przed swoją chatą. Siedziała przed nią jego żona, która jedną piersią karmiła niemowlę, a drugą prosiaka. Naczelnik z dumą wskazał na prosię. Zapewne chciał się pochwalić zamożnością.

Smuga z Tomkiem wspięli się po drabinie na platformę Domu Duchów. Weszli do środka w towarzystwie czarownika, naczelnika i kilku wojowników. Usiedli na podłodze na matach wzdłuż rowka z płonącym ogniskiem. Naczelnik wolno nabijał fajkę tytoniem. Ściany Domu Duchów ozdobione były trofeami wojennymi. Poczesne miejsce zajmowały nagie czaszki ludzkie, jak i całe głowy pokryte skórą, do złudzenia przypominające głowy żywych ludzi. Tomek z zapartym tchem zerkał na straszliwe trofea. Naraz czoło jego pokryło się kropelkami potu. Pobladł... Bliski omdlenia z trudem wydobył głos z krtani.

– Głowa herszta piratów... – wyjąkał.

Smuga spojrział na ścianę, w którą Tomek wlepił wzrok. Na krótką chwilę znieruchomiał. Potem mruknął po polsku:

– Nosił wilk razy kilka, ponieśli i... wilka. A więc spotkaliśmy się jeszcze raz, tak jak sobie tego życzył. Szkoda, że Nowicki nie może go ujrzeć...

Krajowcy byli niezmiernie radzi z wrażenia, jakie wywarła na białych podróżnikach głowa herszta piratów. Można było nawet mniemać, że specjalnie w tym celu zaprosili ich do Domu Duchów, czarownik, bowiem podniósł się, zdjął głowę ze ściany i podał ją Smudze.

Tomek szybko przymknął powieki. Obawiał się, że zemdleje.

Smuga, jak zwykle, doskonale panował nad sobą. Wziął upiorne trofeum do rąk i przyjrzał mu się uważnie. Po raz pierwszy podczas podróży po Nowej Gwinei zobaczył tak po mistrzowsku preparowaną ludzką głowę. Całą czaszkę pokrywała skóra z owłosieniem. Wyraz martwej twarzy pozostał nie zmieniony. Opuszczone powieki sprawiały wrażenie, że herszt piratów jest pogrążony we śnie. Smuga przesunął dłonią po jego twarzy. Pod palcami wyczuł miękką wyprawę pomiędzy kośćmi i skórą, która pozwoliła dzikiemu artyście na odtworzenie właściwych rysów twarzy ofiary.[\[104\]](#)

Smuga zwrócił głowę herszta piratów czarownikowi i zapytał, czy nie zechciałby jej

odsprzedać. Czarownik stanowczo zaprzeczył. Głowa białego człowieka przedstawiała dla Papuasów wprost bezcenną wartość. Smuga nie zraził się odmową i zaproponował kupno którejś z głów krajowców. Oczy Papuasów zabłyszczały złowrogo. Smuga jak gdyby nigdy nic nadmienił, że gotów był ofiarować za głowę białego swój zegarek wydzwanający godziny. Papuasi nie znali zastosowania czasomierzów, lecz tykanie zegarka i wydzwanianie godzin wszystkich niezmiernie zaintrygowało. Niemniej ostro odmówili odstąpienia głowy.

Smuga nie mógł przedłużyć pobytu w wiosce. Nastroje Papuasów nieraz ulegały nieoczekiwanym zmianom, toteż zegnał teraz gospodarzy i poprzedzany przez kobiety, objuczone warzywami, ruszył w powrotną drogę. Wkrótce biali podróżnicy zrozumieli, dlaczego mieszkańcy wsi nie entuzjasmowali się ofiarowaną im solą. Nie opodal osiedla natrafili na oryginalną warzelnię. Wydobywano w niej sól z cienkich łodyg rośliny pit-pit[105], posiadających słonawy smak. Zaintrygowany Smuga zatrzymał się w warzelni, aby poznać miejscowy sposób uzyskiwania soli. Otóż ścięte łodygi składano w pęczki, które spalano na popiół na rozżarzonych węglach. Następnie popiół gromadzono w korycie wydrążonym w pniu drzewa pandanowego, zaopatrzonym od dołu w filtr z trawy. Woda wlewana do pnia koryta wypłukiwała sól mineralną i razem z nią ściekała do bambusowych naczyń ustawionych pod korytem. Potem naczynia te podgrzewano, aby woda wyparowała, i na ich dnie pozostawał osad brunatnej soli.

Tomek, wstrząśnięty widokiem upiornej głowy herszta piratów, niewiele uwagi poświęcał warzelni, lecz Smuga zanotował pilnie wszystkie szczegóły urządzenia. Po opuszczeniu warzelni Tomek szedł na czele gromady kobiet jako przewodnik. Smuga zamykał pochód. W pobliżu rzeki przechodzili obok pasma krzewów. Naraz ciemna dłoń wychyliła się z zarośli i przytrzymała Smugę za ramię. Smuga błyskawicznie sięgnął dłonią do kolby rewolweru, lecz w tej samej chwili ujrzał czarownika nakazującego mu gestem milczenie. Zaciekawiony wszedł w zarośla. Czarownik bez słowa wepchnął mu pod pachę duży, okrągławy przedmiot owinięty w liście bananowca i palcem wskazał na kieszęń, w której Smuga nosił zegarek.

Smuga nieco pobladł i nie odważył się od razu sprawdzić zawartości zawiniątka. Wiedział, że ta makabryczna wymiana handlowa może grozić całej wyprawie i czarownikowi śmiercią. Toteż bez zbędnych słów wepchnął zegarek w dłoń czarownika i pospieszył za kobietami. Zaledwie przybyli na brzeg rzeki, Smuga natychmiast polecił załadować zapasy jarzyn na łodzie i dał hasło do ruszenia w dalszą drogę. Gdy odbili od brzegu, Wilmowski zapytał:

– Po co ten pośpiech, Janie, skoro krajowcy przyjęli was życzliwie? Miejsce doskonale nadawało się na nocleg.

– Tak sądzisz? Moim zdaniem trzeba płynąć jak najszybciej. Później wyjaśnię moje postępowanie – odparł Smuga.

Wilmowski nie pytał więcej. Zbyt dobrze znał swego przyjaciela. Wierzył w jego doświadczenie. Tego dnia przebyli jeszcze spory szmat drogi. Dopiero tuż przed samym zachodem słońca Smuga pozwolił Nowickiemu na przybicie do brzegu. Gdy już byli po

wieczery, Smuga poprosił Wilmowskiego, Tomka, Nowickiego i Bentleya na naradę do namiotu.

– Pytałeś, Andrzeju, dlaczego tak szybko pragnąłem oddalić się od wioski przyjaźnie do nas usposobionych krajowców – zagadnął.

– Ojciec, to byli...

– Nie mów nic! – krótko ostrzegł Smuga, a zwracając się do Wilmowskiego, powiedział: – Obejrzyj sobie to zawiniątko!

Położył na ziemi kulisty przedmiot. Wilmowski ostrożnie odwinął liście i skamieniał jak rażony gromem. Wszyscy zaniemówili. Przy świetle świecy wpatrywali się w straszliwe trofeum. Nowicki pierwszy ochłonął ze zdumienia.

– A niech to wieloryb połknie! Przecież to łepetyna herszta piratów!

– W jaki sposób pan ją zdobył?! – szepnął Tomek. – Papuasi przecież nawet nie chcieli słuchać o odstąpieniu głowy!

– Czarownik potajemnie dogonił mnie po drodze i dokonaliśmy transakcji. Przed swoimi zapewne wytłumaczy zniknięcie czaszki czarami lub zepchnie całą sprawę na złe duchy – wyjaśnił Smuga.

– Miałeś rację, nakłaniając do pośpiechu – przyznał Wilmowski. – Straszne to...

Bentley w milczeniu ocierał pot z czoła.

– Ha, nabroił ten łotr niemało – rzekł Nowicki. – Grzechów jego na pewno nikt by nie spisał nawet na wołowej skórze, ale dostał za swoje. Widocznie wybrał się, jak zapowiadał, na poszukiwanie złota. Ciekawe, co się stało z jego kamratami?

– Na pewno zjedli ich ludożercy... – odparł Wilmowski.

– I ja tak myślę – potwierdził Smuga. – Nie mówmy teraz nikomu o tej głowie. Reszta naszych towarzyszy ujrzy ją dopiero w Sydney.

– Tak będzie najrozsądniej – przyznał Wilmowski.

Przez następnych osiem dni wyprawa wciąż płynęła w dół Purari. Dziewiątego dnia podróżnicy ujrzeli na obydwóch brzegach rzeki wymarły las. Jak okiem sięgnąć, wszędzie widniały nagie kikuty pni drzew pozbawionych gałęzi, zbielełe w żarze tropikalnego słońca. W powietrzu unosił się duszący odór zgnilizny. Jedynymi żywymi istotami tego upiornego lasu były olbrzymie kraby, muszki i inne insekty, które podróżnikom szczególnie dały się we znaki.

– Cóż to za kataklizm wydarzył się tutaj? – dziwił się Zbyszek, mimo woli ścisząc głos.

– Dobry to znak dla nas – odparł Smuga. – To cmentarzysko lasu mangrowego.

– Z jakiego powodu wszystkie drzewa umarły? – pytała Natasza. – Dlaczego widok zniszczenia ma być dla nas dobrą wróżbą?

– Drzewa mangrowe potrzebują słonej wody. Gdy morze nieco się cofa, las mangrowy wymiera. Jesteśmy już w pobliżu ujścia rzeki do morza.

Zapowiedź Smugi sprawdziła się po dwóch dniach. Rzeka płynęła teraz przez ciemnozieloną dżunglę mangrową. Łodzie znów mknęły w naturalnym tunelu zieleni. U stóp splątanych lianami leśnych olbrzymów rozpościerały się trzęsawiska pełne pijawek, jadowitych węzów i krokodyli. Po dalszych dwóch dniach wypłynęli na otwarte morze. Tomek uradowany widokiem przezroczystej wody morskiej pochylił się do Sally.

– Kończą się nasze zmartwienia, najdroższa! – szepnął. – Tak bardzo drżeliśmy wszyscy o twoje życie! Teraz na pewno prędko wyzdrowiejesz. W Port Moresby możemy liczyć na pomoc dobrego lekarza.

Sally uśmiechnęła się i nieśmiało, cicho zapytała:

– Wiem, że byłam dla was wielkim ciężarem. Czy teraz, gdy najgorsze już za nami, nie żałujesz, że ożeniłeś się z taką niezdara?

– Nie pleć głupstw, kochana sikorko! – zgromił ją Tomek, naśladując sposób mówienia kapitana Nowickiego. – Naprawdę jesteś dzielną kobietą! Wspaniale panowałaś nad sobą i nam dodawałaś otuchy w krytycznych chwilach. Dumny jestem z takiej żony!

Sally przytuliła głowę do ramienia męża, a po chwili znów zapytała:

– Tommy, czy zabierzesz mnie na następną wyprawę?

– A cóż bym począł bez ciebie? – odparł pytaniem i zaraz dodał: – Ilekroć przebywałem z dala od ciebie, zawsze bardzo tęskniłem i liczyłem dni do naszego ponownego spotkania...

– Naprawdę?

Tomek wzruszony potaknął głową, po czym rzekł:

– Odtąd zawsze razem będziemy się udawali na wyprawy. Najpierw jednak odpoczniemy przez jakiś czas. Zbiory zgromadzone w Nowej Gwinei umożliwią nam dalsze studia. Obydwoje musimy jeszcze wiele się nauczyć. Dobry fachowiec powinien posiadać rzetelną wiedzę. Poza tym trzeba także zająć się losem Zbyszka i Nataszy...

– Na pewno masz rację, Tommy! Zawsze podziwiałam twoją silną wolę. Potrafisz godzić pracę zawodową z nauką. Wszyscy to w tobie cenią. Muszę być taka mądra jak ty!

Sally umilkła. Oparta o ramię Tomka przymknęła oczy. Może jeszcze wspominała walkę w dżungli i straszliwe okrzyki łowców głów, a może też rozmyślała już o oczekujących ją egzaminach i snuła plany nowych, niezwykłych przygód?

EPILOG

Od wyprawy Tomka Wilmowskiego i jego przyjaciół do Nowej Gwinei minęło wiele lat. W tym czasie zebrano sporo ciekawych wiadomości o największej na Oceanie Spokojnym wyspie. Dalsze wyprawy badawcze wykazały błędność mniemania, że centralny masyw górski stanowi jednolity blok skalny, nie nadający się do zamieszkania dla człowieka.

Już po 1925 roku Champion i Adamson odkryli w górach w głębi wyspy nieznane dotąd plemiona krajowców. W 1928 roku Champion wraz z Karriusem przebyli trudną trasę Fly-Sepik, z północy na południe wyspy. W 1933 r. Australijczyk Leahy z Jimem Taylorem dotarli do źródeł Purari w dolinie Waghi i odnaleźli dojście do wysokogórskich dolin. W pięć lat później Taylor i Black odbyli wyprawę na trasie Hagen-Sepik.

W przededniu II wojny światowej niewiele białych plam znajdowało się już na mapie Nowej Gwinei. Światowa zawierucha wojenna wykazała strategiczne znaczenie wyspy. W pochodzie na Australię Japończycy okupowali przez jakiś czas szereg punktów na wybrzeżach Nowej Gwinei. Z tego powodu lotnicy alianccy dokonywali lotów rekonesansowych nad wyspą. Po powrocie z jednego zwiadu, gdy wywołano zrobione wtedy zdjęcia, stwierdzono, iż w samym sercu Nowej Gwinei znajduje się duża zamieszкана dolina nie znana dotąd białym.

Wyprawa zorganizowana w roku 1959 przez redakcję francuskiego czasopisma "Paris Match" postanowiła odszukać nieznaną dolinę. Wzięło w niej udział sześciu Francuzów: Herve de Maigret, Tony Saulnier, Gilbert Sarthre, Gerard Delloye, J. Bordes-Pages i Pierre-Dominique Gaisseau. Przebyli oni w poprzek ówczesną Holenderską Nową Gwineę z południa na północ, w 109-dniowym pieszym marszu przechodząc przez samo wnętrze wyspy, podczas gdy resztę trasy pokonali samolotem. Odważni Francuzi dotarli we wnętrzu wyspy do Papuasów, żyjących dotąd jak w epoce kamienia łupanego, uprawiających kanibalizm i polowanie na ludzkie głowy, którzy do chwili zetknięcia się z francuską wyprawą nie widzieli nigdy białych ludzi. Jak wynika z powyższego, od wyprawy Tomka niewiele nastąpiło zmian w sposobie życia i w obyczajach znacznej części Papuasów zamieszkujących wnętrze wyspy. Prawa białych ludzi były tak samo dla Papuasów niezrozumiałe, jak propagowane przez białych nowe wierzenia. Gnębieni przez różne lokalne choroby i plagi, nękani głodem, czasem zupełnie nie rozumieli nowego, cywilizowanego świata.

Po II wojnie światowej pierwsza uzyskała niepodległość dawna Holenderska Nowa Gwinea, będąca najbardziej zacofaną gospodarczo i społecznie częścią wyspy. Obecnie jako Irian Zachodni wchodzi w skład Republiki Indonezyjskiej. W roku 1975 niepodległość uzyskała Papua, wchodząc w skład państwa Papua-Nowa Gwinea.

Przypisy

[1] Kazuar - duży ptak pokrewny strusiom, noc spędza w leśnej gęstwinie, a w dzień żeruje w wysokich trawach. Żywi się pokarmem roślinnym, a także rybami, żabami i jaszczurkami. W ogrodach zoologicznych kazuary jedzą chleb, ziarno i pokrajane jabłka.

[2] Ptak-ogrodnik (*Amblyornis inornatus*) spotykany w górach Arfak (półwysep Plasia Głowa - Yogelkopf), a w okolicach gór Fuyughc zwany golove, jest spokrewniony z ptakami rajskimi. Z ptasich budowniczych osiągnął największą doskonałość w budowaniu oryginalnych altan godowych. Do tej odmiany rajskich ptaków należą również zamieszkujące znaczną część Australii i najlepiej poznane budniki, zwane także altannikami (*Ptilonorhynchus violaceus*), dochodzące do 28 cm długości.

[3] Batat, zwany także słodkim kartoflem (*Ipomoea batatos* Poir), jest spokrewniony z powojem. Rodzi bulwy podobne do bulwy kartofla; jest mączysty, w smaku słodki. Uprawia się go w całej strefie cieplej.

[4] Taro należy do roślin obrazkowatych. Rośnie w Indiach, na Archipelagu Malajskim i w Ameryce. Rośliny te wydają bulwy o wadze 0,5-3,5 kg, przeważnie o białym mięszu. Surowe niejadalne. Po ugotowaniu lub upieczeniu jada się je jak kartofle.

[5] Trzcina cukrowa należy do traw prosowatych. Osiąga wysokość od 2 do 6 m. Posiada źdźbła o grubości 2-6 cm wypełnione soczystym i bardzo słodkim mięszem. Rośnie bardzo szybko, zbiór następuje po 5 miesiącach. Trzcina cukrowa uprawiana była od bardzo dawna w Mezopotamii, dolinie Gangesu w Indiach, a później w Indochinach, Chinach i na Archipelagu Malajskim. Od Indusów przejęli jej uprawę Arabowie, a od nich Hiszpanie i Portugalczycy, którzy przenieśli ją na Wyspy Antylskie. Obecnie największe plantacje trzciny cukrowej są na Jawie, Kubie, Wyspach Hawajskich i w Afryce.

[6] Jamsy (yams) - nazwą tą obejmuje się rośliny jednoliścienne z rodzaju *Dioscorea*, rodzące bulwy podziemne, a niekiedy również na łodygach. Z licznych gatunków najważniejsze jest *Dioscorea batatas* pochodząca ze wschodniej Azji. Posiada bulwy o różnych kształtach i barwie, zwykle walcowate, zewnątrz ciemne, w środku białe, różowe, czerwone lub fioletowe, o wadze od 1 do 10 kg. Bulwy te są mączyste, wodniste, o smaku zbliżonym do młodych kartofli. Jams nie wymaga zbyt obfitej wilgoci. Niektóre gatunki o drobnych bulwach na pędach zawierają substancje trujące

[7] Krajowcy Nowej Gwinei nie znali kalendarza; czas mierzyli "księżycami", z których jeden stanowił dobę.

[8] Sydney - stolica stanu Nowa Południowa Walia, a zarazem jeden z największych portów Australii.

[9] Melbourne - stolica stanu Wiktorja w Australii południowo-wschodniej, położona na północnym krańcu zatoki Port Phillip u ujścia Yarra-Yarra. Doskonały port. Jest drugim pod względem wielkości miastem w Australii. W latach 1901-1927 było przejściowo stolicą Związku Australijskiego powstałego w 1900 r.

[10] Dramatyczna walka o uwolnienie polskiego zesłańca została opisana w książce *Tajemnicza wyprawa Tomka*.

[11] Maharani - tytuł przysługujący żonie maharadży.

[12] Rabaul - miasto i port na wyspie Nowa Brytania w Archipelagu Bismarcka. Do I wojny światowej był stolicą Ziemi Cesarza Wilhelma, czyli ówczesnej kolonii w Nowej Gwinei.

[13] Ptaki rajskie (*Paradiseidae*) są bliskie ptakom krukowatym, od których, prócz innych cech, różnią się przede wszystkim brakiem szpeceniastych piór u nasady dzioba. Samce odznaczają się takim przepychem piór ozdobnych i tak wspaniałymi barwami, że bodaj tylko kolibry mogą się z nimi równać. Obecnie znamy około 100 gatunków rajskich ptaków.

[14] Storczyki, czyli orchidee, są najosobliwszymi roślinami na Ziemi. Budzą podziw różnorodnością postaci, kształtem, barwą, zapachem kwiatów, sposobem życia, zapylania itp. Istnieje ich około 12-13 tysięcy gatunków, a może i więcej. Rozpowszechnione są na całej Ziemi, nieliczne tylko w wysokich górach i w pobliżu biegunów. Poza Brazylią i sąsiednimi krajami Ameryki Południowej szczególnie obficie występują na Madagaskarze, wyspach Oceanu Indyjskiego i w całej strefie tropikalnej.

[15] Jawa - wyspa na Oceanie Indyjskim należąca do Republiki Indonezyjskiej. Indonezja zajmuje największy na świecie archipelag sundajski, położony między Azją i Australią. Dzieli się on na Wielkie i Małe Wyspy Sundajskie oraz Moluki. Do Indonezji należy także zachodnia część Nowej Gwinei (Irian Barat). W skład Indonezji wchodzi 3000 zamieszkałych wysp, z których największe to: Borneo Indonezyjskie (Kalimantan) 539460 km², Sumatra (Sumatera) - 473 607 km², Celebes (Sulawesi) - 189035 km², Jawa (Djawa)- 126703 km², Halmahera 17998 km², Flores - 15 610 km². Na Jawie leży stolica Indonezji - Dżakarta.

[16] Moluki (Wyspy Korzenne) - grupa wysp Archipelagu Malajskiego, pomiędzy Celebesem i Nową Gwineą, należących do Indonezji.

[17] Wyspy Aru (Aroe Islands) - grupa ok. 90 małych wysp na południowy zachód od Nowej Gwinei

[18] Od 1924 r. polowanie na rajskie ptaki oraz wywożenie ich piór z Nowej Gwinei zostały zakazane. Obecnie jedynie Papuasi mogą polować na nie dla własnych potrzeb zdobniczych.

[19] Sir Hubert Murray był od roku 1907 aż do swej śmierci, to jest do roku 1940, gubernatorem Papui.

[20] Jacht nazwany był imieniem maharani Alwaru.

[21] Wielka Rafa Koralowa lub Wielka Rafa Barrierowa (Great Barrier Reef).

[22] Mianem Oceanii obejmujemy ogromne zbiorowisko wysp i wysepek Oceanu Spokojnego, sięgające od Australii i Archipelagu Malajskiego na zachodzie, aż w pobliże

brzegów Ameryki na wschodzie. Wyspy te, pochodzenia kontynentalnego, wulkanicznego lub koralowego, przeważnie tworzą zgrupowania leżące głównie pomiędzy zwrotnikami. Oceania obejmuje obszar morski o powierzchni 79 mln km² (prawie tyle, co Azja i Afryka łącznie), w tym na powierzchnię lądową przypada zaledwie 1 mln km², z czego sama Nowa Gwinea zajmuje 785 000. Cała ta na pozór chaotycznie rozproszona plejada wysp wykazuje pod względem klimatu, flory, fauny i gospodarki te same lub podobne cechy, co uzasadnia objęcie ich wspólną nazwą Oceanii. Poza zwrotnikami leżą tylko nieliczne wyspy, z których dwu-wyspowa Nowa Zelandia o powierzchni 265 000 km² oraz przynależne do niej wysepki wybiegają daleko na południe i tworzą pewną odrębną całość. Poza zwrotnikami, z wyjątkiem Nowej Zelandii, tak pomocna jak i południowa część Oceanu Spokojnego stanowi pozbawioną wysp pustynię wodną. Cały ten świat wyspiarski ogólnie dzielimy na: Melanesję (pomiędzy równikiem a Zwrotnikiem Koziorożca na przedpolu Archipelagu Malajskiego i Australii), do której należy także Nowa Gwinea; Mikronezję (między równikiem a Zwrotnikiem Raka od wschodniej strony Basenu Filipińskiego do około 180° dł. geogr. wsch.); Polinezję (południowy wschód).

[23] Wierząco w to aż do I wojny światowej

[24] Terytorium Papua (południowo-wschodnia część Nowej Gwinei) oraz wyspy: Luizjady, d'Entrecasteaux, Triobrianda i Woodlark - przynależne do niej, posiadają łączny obszar 234498 km. Papua została zaanektowana przez rząd australijskiej prowincji Queensland w 1883 r., a następnie przeszła pod administrację centralnego rządu Australii. Od roku 1975 wchodzi w skład niepodległego państwa Papua-Nowa Gwinea ze stolicą Port Moresby.

[25] Do 1975 r. Nowa Gwinea Australijska. Obejmowała północno-wschód nią część Nowej Gwinei, Archipelag Bismarcka i północną część Wysp Salomona o łącznym obszarze 240870 km². Od 1884 r., jako Ziemia Cesarza Wilhelma, była kolonią niemiecką. Podczas I wojny światowej zajęła ją Australia i później z ramienia Ligi Narodów zarządzała nią jako terytorium powierniczym. W czasie II wojny światowej wtargnęła tam Japonia, lecz po jej kapitulacji znów powróciła do Australii jako terytorium powiernicze ONZ. Od r. 1975 wchodzi w skład niepodległego państwa Papua-Nowa

[26] Od 1 V 1963 r. Irian Zachodni (indonezyjska nazwa Nowej Gwinei) jako terytorium wyzwolone wszedł w skład Republiki Indonezyjskiej. Obejmuje obszar 412781 km². Należy do niego kilka wysp leżących u południowo-zachodniego wybrzeża, z których największe to: Mapia, Japen, Biak, Misool, Waige i Salawatti. Stolicą jest Katabaru, czyli dawna Hollandia. Do 1963 r. Irian Zachodni był kolonią holenderską o nazwie Nowa Gwinea Holenderska.

[27] Sytuacja utrzymywana przez rządy kolonialne w dużej mierze przyczyniła się do pozostania całej Nowej Gwinei w ogólnym zacofaniu gospodarczym i społecznym. W głębi wyspy do dnia dzisiejszego część krajowców jeszcze żyje na poziomie epoki kamiennej, uprawia ludożerstwo i polowania na ludzkie głowy.

[28] Mikołaj Mikłucho-Makłaj (Maclay) urodził się w guberni Nowogród w 1846 r.,

umarł w Petersburgu w 1888. Zwiedził całą Europę, Maderę, Wyspy Kanaryjskie, Maroko, a potem przez Amerykę Południową, Thaiti i wyspy Samoa udał się do Nowej Gwinei. Badał tam jej północne i południowo-zachodnie wybrzeża (na południe od zatoki Gecevinc). W 1874 i 1875 badał Indochiny i Indonezję. Po odwiedzeniu wysp Palau oraz Admiralicji powrócił na 17 miesięcy na Nową Gwineę. Głównie badał plemiona papuaskie, z którymi udało mu się zaprzyjaźnić. Po raz trzeci przebywał w Nowej Gwinei w 1879. Cześć jego prac publikowano w pismach rosyjskich i niemieckich, a dopiero w latach 1950-1953 wydano w Moskwie jego dzieła w 4 tomach.

[29] W 1910 r. Holendrzy okrążyli centrum wyspy od strony wybrzeży. Wyprawa Goodfellowa, a później pod kierownictwem Rawlinga doszła do Gór Śnieżnych od strony południowego wybrzeża. W 1913 A.R.F. Wollaston wspiął się na górę Carstensch, a Weyermann zbadał dopływ rzeki Digul i określił wysokość Góry Juliany. Klooster zbadał kraj na południe i południowy wschód od zatoki Geelvink. W 1914 Oppermann badał rzekę Mamberamo, natomiast porucznik Stroeve jej zachodni dopływ - Rouf-faer. I wojna światowa przerwała badania, które podjęto znów po 1918 r,

[30] W czasie, gdy bohaterzy tej powieści przygotowywali się do wyprawy, w niemieckiej części Nowej Gwinei Neuhauss badał rzekę Markham. W 1910 r. Holendersko-Niemiecka Komisja Graniczna dotarła w górę rzeki Sepik na odległość 60 mil od granicy brytyjskiej. W 1914 Tburnwald penetrował okolice Sepiku, podczas gdy misjonarz Pilhofer przewędrował z nad rzeki Waria blisko granicy brytyjskiej do rzeki Markham. Wybuch I wojny światowej spowodował zajęcie przez Australię niemieckiej Nowej Gwinei. Wtedy von Detzner, pragnąc uniknąć uwięzienia, zaszły się w głąbi dżungli, usiłując dotrzeć do granicy holenderskiej i wsiąść na jakiś niemiecki okręt. Aczkolwiek zamiar mu się nie udał, przeszedł przez tereny nie zbadane dotąd przez białych. Swe cenne spostrzeżenia, aczkolwiek często oparte tylko na relacjach krajowców, opublikował w kilka lat po wojnie. W byłej niemieckiej kolonii Brytyjczycy zastali zaledwie parę plantacji na wybrzeżu i kilka misji w pobliżu dżungli. Naukowe ekspedycje badawcze nie były wysyłane przez Niemców w głąb kraju.

[31] W 1908 r. powzięto decyzję o zbudowaniu nowej stolicy Związku Australijskiego w Nowej Południowej Walii na południowy zachód od Sydney, nad rzeką Murrumbidgee. Budowę Canberrę rozpoczęto w 1913 r., a pierwsze posiedzenie australijskiego parlamentu odbyło się w 1927 r. już w nowej stolicy. W ten sposób rozstrzygnięto długotrwały spór dwóch miast.

[32] Hart nie mylił się; wspinały, wiszący na stalowym łuku most został zbudowany i oddany do użytku 19 III 1932 r. Jest prawdziwie monumentalnym dziełem, posiadającym niewiele równych sobie na świecie. Mostem przebiegają dwa tory kolejowe, tory tramwajowe, pięciopasmowa autostrada i chodniki dla pieszych.

[33] Brisbane - port założony w 1824 r. jako kolonia karna. Od czasu powstania stanu Queensland w 1859 r. - stolica stanu.

[34] Węzeł-jednostka prędkości statku równa 1 mili morskiej na godzinę. Milla morska jest miarą długości na szlakach morskich i odpowiada długości 1 minuty południka

ziemskiego. W Anglii, USA i Japonii 1 mila równa się 1853 m, natomiast w Niemczech, ZSRR i we Francji - 1852 m.

[35] Dryfowanie – znoszenie statku spowodowane wiatrem, falą lub prądem.

[36] Angielski żeglarz urodzony w 1728 r. w Marlon w Yorkshire, jedna z najwybitniejszych postaci w historii odkryć geograficznych. Badał krainy podbiegunowe północne i południowe oraz Ocean Spokojny, wytyczył nowe drogi w dziedzinie nautyki i zarazem torował drogę angielskiemu handlowi. Gruntownie opracowane przez Cooka mapy wielu części oceanów czynią go jednym z pionierów angielskiej kartografii morskiej. W 1779 r. został zabity na Hawajach przez krajowców, z którymi wywiązała się potyczka z powodu naruszenia przez załogę statku prawa tabu.

[37] Grotżagiel – główny żagiel podnoszony ma gortmaszcie; bezanżagiel – żagiel umieszczony na bliższym rufy maszcie, niższym od masztu wysuniętego do przodu statku, fokżagiel - niezbyt duży, przedni żagiel.

[38] Bom - dolne, poziome drzewce, jednym końcem umocowane przegubowo do masztu, do bomu przymocowana jest dolna część żagla,

[39] Juzing - cienka linka

[40] Swain Reefs - Wyspy Zakochanego Chłopaka

[41] Koralowce (*Anthozoa*) - gromada zasadniczo osiadłych, wyłącznie morskich jamochłonów o budowie polipa, przeważnie tworzących nieodróżniane kolonie. Jama chłonna—trawiąca jest podzielona niecałkowitymi przegrodami, ułożonymi ośmio, lub sześciopromieniście. U większości silnie rozwinięty szkielet wapienny. Najbardziej znanym przedstawicielem tej gromady jest koral szlachetny (*Corallium Rubrum*) żyjący w Morzu Śródziemnym. Jego czerwony pień szkieletowy używany jest do wyrobu ozdób. Nie wszystkie koralowce wytwarzają szkielet. Na przykład największe z koralowców ukwiały (*Actiniae*), barwne i piękne zwierzęta, osiągające 1 m średnicy, przyrastają do skał podwodnych mocną stopą, mogącą im także służyć do posuwania się po podłożu. Takie rodzaje jak *Adamsia* lub *Sargatia* żyją w symbiozie z rakiem pustelnikiem. Spośród koralowców wytwarzających szkielet bardzo ważną grupę tworzą korale rafowe (*Madreporaria*). Różnica między nimi a ukwiałami polega głównie na wytwarzaniu szkieletu, który u koralu rafowego potężnie się rozwija. Rafy powstają w wyniku rozmnażania się ich przez pączkowanie i podział podłużny. Koralowce żyją w ciepłych morzach tropikalnych, nie przekraczając 38° szerokości geograficznej, tak południowej jak i północnej, w miejscach, gdzie jest czysta, pozbawiona osadu woda, której temperatura nie spada poniżej 20,5° C, a zawartość soli wapniowych jest odpowiednio wielka do tworzenia szkieletów. Żyją na głębokości 20-30 m.

[42] Rekin z gatunku *Carcharidae*. Rekiny te przebywają w ciepłych morzach i na szczęście nie są zbyt liczne. Osiągają długość do 10-12 m, są żyworodne, groźne z powodu drapieżnej żarłoczności. Rekiny to ryby chrząstkoszkieletowe (*Elasmobranchii*), do których zaliczamy: żarłaczce, płaszczki i strasznice. Jak wskazuje nazwa, ryby tej podgromady mają szkielet chrząstkowy, nie skostniały. Kształt ich zależny jest od trybu

zycia. Rząd I tej podgromady stanowią żarłacze, szybko i wytrwale pływające ryby o mocnej budowie, kształtach wrzecionowatych. Wiele ich gatunków osiąga znaczną wielkość, do 12 i więcej metrów długości. Dotąd nie ustalono ostatecznie, ile istnieje gatunków rekinów. Według podręcznika Suworowa cała grupa spodoustna (rekiny i płaszczki) obejmuje około 86 rodzajów i 150 gatunków, a według F.G. Wooda jest od 300 do 400 gatunków rekinów.

[43] Mięso niektórych gatunków rekinów jest jadalne, a wysuszone płetwy stanowią przysmak kuchni chińskiej; z wątroby rekinów wielorybich otrzymuje się tran.

[44] *Cheldonia Midas*.

[45] Log mechaniczny - przyrząd nawigacyjny służący do mierzenia przebytej przez statek drogi. Składa się ze śruby, długiej logliny, koła zamachowego regulującego stałość obrotów i z licznika przebytej drogi. Holowana na loglinie za rufą statku śruba obraca się pod wpływem przepływającej wody. Obroty śruby przekazywane są przez loglinę do licznika, który je sumuje i pokazuje na tarczy przebytą drogę w milach morskich.

[46] Trinily Opening.

[47] Cyklon - potężny wir powietrza, w którym ciśnienie maleje w kierunku środka; cyklony tropikalne, o stosunkowo niewielkich rozmiarach, powstają między 10° i 15° północnej i południowej szerokości geograficznej. Bardzo często towarzyszą im huraganowe wiatry, silne burze i ulewne deszcze. Tajfun - chińska nazwa cyklonu tropikalnego nad Morzem Południowochińskim, Filipinami i przylegającą do nich od wschodu częścią Oceanu Spokojnego (Pacyfiku).

[48] Ferdynand Magellan (1480-1521) -portugalski żeglarz w służbie hiszpańskiej; oprócz innych historycznych wypraw odkrywczych kierował pierwszą podróżą dookoła Ziemi. Również pierwszy odkrył i przepłynął niebezpieczną cieśninę (nazwaną później jego imieniem), obfitującą w podwodne skały, oddzielającą Ziemię Ognistą od Ameryki Południowej. Był jednym z najwybitniejszych postaci epoki wielkich odkryć. Poległ na Filipinach w walce z krajowcami, którym chciał przemocą narzucić wiarę chrześcijańską.

[49] Żagle sztormowe, mniejsze niż zwykle, sporządzone są z bardzo grubego płótna, że wzmocnionymi linkami.

[50] Ay lub aye - tak (wyraz stosowany w angielskim jako potwierdzenie). Sahib - kurtuazyjny tytuł używany przez mieszkańców Indii w stosunku do Europejczyka lub wysoko urodzonego Indusa.

[51] Ołowianka - sonda rzeczna, ołowiany ciężarek stożkowy przymocowany do odpowiednio oznakowanej linki

[52] Kabestan - urządzenie służące do wybierania lin lub łańcucha kotwicznego na statku, obrotowy bęben pionowy, który można poruszać ręcznie za pomocą drążków zwanych nadszpakami.

[53] Blackbirding, choć już w mniej ostrej formie, przetrwał aż do I wojny światowej.

[54] Kluza - owalny bądź okrągły otwór w kadłubie statku, przez który przechodzi łańcuch kotwiczny przy zrzućaniu i podnoszeniu kotwicy.

[56] Ahoy (ang.) - marynarski okrzyk pozdrowienia, zazwyczaj kierowany do kogoś znajdujacego się na statku.

[57] Korweta (z franc.) - mały handlowy lub wojenny żaglowiec zwiadowczy z jednym pokładem działowym: obecnie eskortowy okręt do zwalczania łodzi podwodnych.

[58] Pierwszy znalazł tam złoto hiszpański żeglarz Alvaro de Saavedra, który w 1528 r., płynąc do Meksyku, zmuszony był przez awarię do wylądowania w Nowej Gwinei. Jednak Hiszpanie, tak jak w cztery wieki później Niemcy (w 1906 r. geolog Schlentzig) nie przywiązywali wagi do odkrycia sądząc, że ze skał w górach Morobe nie uda się wydobywać złota. Inni badacze także uważali za niemożliwe eksploataowanie złóż w dolinach rzek Markham i Waria, otoczonych potrójnymi łańcuchami gór i zamieszkanymi przez bardzo wojownicze szczepy. W brytyjskiej Papui znaleziono złoto w 1877 r. w pobliżu Port Moresby. Wyprawy poszczególnych poszukiwaczy ginęły w głębi wyspy z rąk łowców głów. Dopiero w latach 1918-27 syn kupca z Sydney, Cecil John Levien, wykorzystując najnowocześniejsze środki komunikacyjne - samoloty, organizuje w dolinie Bulolo lotnisko i rozpoczyna na większą skalę eksploatację złóż złota w rzece Koranga.

[59] Boy (ang.) - tutaj w znaczeniu: służący, posługacz.

[60] Kanak - krajowiec z wysp polinezyjskich; nazwa ta często stosowana jest do wszystkich krajowców pochodzących z wysp mórz południowych; tak również nazywano robotników-krajowców przywożonych z, jakiegokolwiek wyspy Pacyfiku do pracy na plantacjach trzciny cukrowej w Queensland w Australii.

[61] Master (ang.) - tu w znaczeniu: biały mężczyzna.

[62] Kai kai - jeść.

[63] Wysokość około 4000 m.

[64] Port Moresby - morski port na południowym wybrzeżu Nowej Gwinei; posiada głęboką, okoloną lądem przystań wewnątrz koralowej rafy. Odkrył go kapitan Jan Moresby w lutym 1873 r. Brytyjczycy zajęli go w 1883; od zaanektowania terytorium Papua w 1888 stanowił główne osiedle południowego wybrzeża. W czasach bytności Tomka Wilmowskiego w Nowej Gwinei Port Moresby składał się zaledwie z kilkudziesięciu baraków. W 1939 r. liczył 2628 mieszkańców. Podczas drugiej wojny światowej w lutym 1942 r, był celem japońskich ataków lotniczych i lądowych od strony Gór Owena Stanleya. Obecnie jest nowoczesnym miastem z kilkoma tysiącami białych mieszkańców.

[65] Hibiscus (ketmia) - rodzaj rocznych lub wieloletnich drzewiastych roślin ślazowatych. Rosną w krajach tropikalnych i subtropikalnych.

[66] Rosną tam palmy kokosowe, sagowe i inne, drzewa chlebowe, pandanowe, kauczukowe, bambusy, paprocie drzewiaste, bananowce, ananasy, papawy, a z roślin

uprawnych: słodkie karloile, trzcina cukrowa, jamsy, taro, maniok i ryż. Ku wschodowi jednak wyspiarski świat roślinny staje się coraz uboższy.

[67] Podczas I wojny światowej posiadłości niemieckie na Pacyfiku zostały opanowane przez Japonię i Wielką Brytanie, lecz po zakończeniu działań wojennych Stany Zjednoczone wyparły stamtąd Japonie i wzmogły penetrację w koloniach Francji, Wielkiej Brytanii oraz w obu jej dominiach - Australii i Nowej Zelandii. Na krótko przed wybuchem II wojny światowej Stany Zjednoczone i Wielka Brytania zagarnęły nawet zapomniane dotychczas i bezludne atole, tworząc na nich bazy dla hydroplanów i lotniska.

[68] Język Fuyughe używany był przez: Papuasów w dolinach Dilava. Auga i Yaloghe, gdzie zamieszkiwało również plemię Mafulu. Później cały obszar, na którym posługiwano się językiem Fuyughe, nazwano okręgiem Mafulu.

[69] Betel - rodzaj używki sporządzanej z owoców palmy betelowej, z liści pieprzu betelowego i odrobiny wapnia.

[70] Pandan (*Pandanus*) - drzewo lub krzew z rodziny pandanowatych (pochutnikowatych), o pniu pojedynczym lub widlasto rozgałęzionym, z korzeniami podporowymi i z pękiem mieczowatych liści na wierzchołku. Rośnie w krajach na wybrzeżach Oceanu Indyjskiego i Wielkiego.

[71] Merauke - port morski i główne miasto na południowym wybrzeżu Irianu Zachodniego, leżące u ujścia rzeki o tej samej nazwie.

[72] Liany, czyli pnącza - światłolubne rośliny o długich, wiotkich pędach czepnych; należą do osobliwości strefy gorącej. Najwięcej spotykamy ich w tropikalnej Ameryce (szczególnie w Brazylii) potem w południowo-wschodniej Azji, na Archipelagu Malajskim i w Afryce. Nazwa "liany" pochodzi od tubylców Wysp Antylskich, którzy tak nazywali rośliny pnące się po drzewach, francuscy botanicy wprowadzili ją jako termin naukowy. Pnącza rosną także w strefie umiarkowanej. Są to: groszki, wyki, powoje, chmiel, itp., lecz tylko niektóre mają drewniejącą łodygę. Z tych ostatnich znajdujemy w Polsce jedynie bluszcz, powojnicę alpejską, przewiercień oraz *Clematis Vitalba* w Kazimierzu nad Wisłą.

[73] Jedynie niektóre gatunki rodzaju *Ficus* są dusicielami.

[74] Obok kilku innych gatunków do drzew wiecznie zielonych należy: drzewo chlebowe (*Artocarpus incisa*), *Morinda citriodora*, *Albizzia fatcata* i *Filiciarn decipiens*.

[75] Pijawki lądowe (*Haemadipsa ceylonica*) mimo małych rozmiarów są w pewnych okolicach niebezpiecznym wrogiem człowieka. W Nowej Gwinei spotyka się je masowo w dolinie Yanapa, gdzie stanowią prawdziwą plagę kraju. Inne znane odmiany pijawek są zwierzętami wodnymi, często uprawiającymi pasożytnictwo. Do najbardziej znanych form należą: pijawka lekarska (*Hirudo medicinalis*) i pijawka końska (*Haemop sanguisuga*), ta ostatnia żywi się pokarmem roślinnym i nigdy nie napada na człowieka.

[76] Fua (w miejscowym narzeczu) - krokodyl

[77] Palma betelowa, czyli areka (*Areca catechu*) - rośnie dziko na Archipelagu

Malajskim. Rodzi owoce lypu jagody, z jednym nasieniem zwanym orzechem.

[78] Cynamonowiec (*Cinnamomum*) - drzewo lub wysoki krzew o wiecznie zielonych, skórzastych, połyskujących liściach, zielonkawych kwiatach i podłużnych owocach-jagodach. Dostarcza cennych surowców, jak: drzewo, kora, (z której otrzymujemy cynamon), olejek cynamonowy, kamforowy i inne środki lecznicze. Występuje w ponad 50 gatunkach w tropikalnej strefie Azji, od Japonii po Australie.

[79] Palma sagowa (*Meraxylon ramphif*) - we wschodniej części Archipelagu Malajskiego posiada pień pokryty potężnymi kolcami, w zachodniej zaś ma pień gładki. Kwitnie i owocuje tylko jeden raz w życiu, po czym obumiera. Z roztartej masy pnia otrzymujemy mąkę sagową, czyli sago.

[80] *Cacatua galerita* - podrodzina rzędu papug, wielkości kawki lub wrony, spotykana na niżej położonych terenach.

[81] W latach 1914-1920 polski etnolog i badacz ludów pierwotnych, profesor Bronisław Malinowski, przebywał w Oceanii na Wyspach Trobrianda w pobliżu wschodnich wybrzeży Nowej Gwinei, gdzie samotnie prowadził badania z zakresu socjologii kultur prymitywnych. Jego ważne obserwacje wykazały pewne zbieżności zwyczajowe i obyczajowe mieszkańców Wysp Trobrianda z krajowcami Nowej Gwinei. Również na podstawie jego badań dochodzimy do wniosku, że ludy "dzikie" osiągnęły w pewnych dziedzinach życia doskonalszy stopień rozwoju kulturalnego niż ludy cywilizowane. Malinowski urodził się w Krakowie w 1884 r, zmarł w New Haven w USA w 1947. Opublikował szereg cennych prac, z których najważniejsza, *Argonauta of the Western Pacific (Argonauca Zachodniego Pacyfiku)*, ukazała się w 1922 r. i przyniosła mu profesurę na uniwersytecie londyńskim.

[82] Pigmejowie - niskoroste plemiona murzyńskie, obecnie znajdowane w Afryce, Azji i w Melanezji.

[83] Negroidzi - czarna odmiana człowieka.

[84] Weddyjsko-australoidalny - składnik czarnej odmiany człowieka, wykazujący cechy neandertaloidalne, znany jako typ maloidalny, który wytworzył się podczas wędrówki grup ludności z Indii w kierunku wschodnim, przez zmieszanie się z mieszkańcami wysp indonezyjskich, malajskich i Indochin.

[85] Europeidzi - biała odmiana człowieka.

[86] Liście betelu posypuje się wapniem w celu zneutralizowania kwasów. Podczas żucia prymki następuje reakcja chemiczna pomiędzy wapniem i orzechem areki, wskutek czego bezbarwny sok staje się czerwony. Betel działa orzeźwiająco i podniecająco, odkaża jamę ustną, wzmacnia dziąsła, lecz w sumie wywiera ujemny wpływ na zdrowie.

[87] Bębny to najstarsze perkusyjne instrumenty muzyczne, spotykane na całym świecie w najprymitywniejszych i najdawniejszych kulturach. Miały one różne kształty i rozmiary; bębny w kształcie klepsydry występują głównie w Azji.

[88] Wśród plemion Fuyughe poezja jest nierozdzielnie związana z pieśnią i tańcem. Utalentowani bardowie komponują teksty słowne do piosenek zwanych olove, śpiewanych do tańca, oraz do pieśni mayame, uwieczniających ważniejsze wydarzenia z życia plemienia lub wielkich ludzi. Te nie zapisywane przez nikogo pieśni przekazywane są ustnie z pokolenia na pokolenie i tworzą żywą kronikę tych pierwotnych ludów.

[89] Kis baibe - pomocnik misjonarza.

[90] *Cicitturus regius*, ptak rajski królewski, jest najpiękniejszy, choć nie najrzadziej spotykany. Zamieszkuje na terenach położonych aż do 600 m n.p.m.

[91] *Probosciger aterintus*. W nowej Gwinei żyje około 46 odmian papug.

[92] *Larius roratus pectoralis*.

[93] *Goura coronata* i *Goura victoria*, których ojczyzną jest Nowa Gwinea. Wspaniałe pióra tych gołębi, na równi z piórami rajskich ptaków, były swego czasu ulubioną ozdobą kapeluszy damskich. Przyczyniło się to do poważnego wytępienia korońców.

[94] Flobert - broń palna małokalibrowa, o słabym naboju kalibru 6 lub 9 milimetrów, wydającym nieznaczny łoskot przy strzale. Pierwsze karabinki flobertowe konstruowane posiadały charakterystyczny sześcienny kształt lufy. Obecnie konstruuje się do naboju flobertowych karabinki iglicowe, przypominające broń wojskową

[95] *Paradisea apoda* (rajski ptak bez nóg), którego łacińska nazwa przypomina legendę o beznogich rajskich ptakach.

[96] Kazuar hełmiasty (*Casuarus tiniappeniiiculatus*) - ptak lądowy z rzędu australijskich strusi. Ojczyzną wszystkich kazuarów są wyspy Oceanu Spokojnego, począwszy od Ceramu i Amboinu poprzez Nową Gwineę po Nową Brytanię i północną Australię. Dawniej występowały również na Tasmanii.

[97] Biała Mary - biała kobieta w języku pidgin.

[98] W późniejszych latach Tawade stawiali silny zbrojny opór oddziałom kolonialnym walcząc dzidami przeciwko karabinom.

[99] Pod względem wielości języków Nowa Gwinea zajmuje jedno z czołowych miejsc na Ziemi. Wielka liczba języków i gwar sprawia, że często język zmienia się co 3 lub 4 osady, a nawet i częściej. Na przykład w Dinawa (Góry Owena Stanleya) polecenie "rozpal ogień" brzmi: *Aloba di*, a o 18 mil dalej w Foula: *Aukida pute*. Do 1930 r. rozpoznano w Nowej Gwinei około 80 języków, lecz w rzeczywistości liczba ich zapewne sięga kilkuset. Z tych względów Papuasi często posługują się bardzo łatwo zrozumiałą mową znaków, czyli na migi.

[100] O indiańskim kręgu magicznym znajdzie czytelnik informacje w powieści *Tomek na wojennej ścieżce*.

[101] Były to rakiety sygnalizacyjne, czyli pociski napełnione materiałem spalającym się podczas lotu i wydzielającym kolorowy dym.

[102] Żeń-szeń (*Panax Ginseng*) - bylina z rodziny azaliowatych, której korzeń używany jest w lecznictwie. Rośnie we wschodniej części Azji zwłaszcza w Korei i w Chinach.

[103] Jan Kubary, polski etnograf i badacz Oceanii, urodził się w Warszawie w 1846, zmarł w 1896 na wyspie Ponape. Jako przedstawiciel hamburskiego domu handlowego J.C. Godeffroya na obszar Oceanii, gromadził i wysyłał do muzeum Godeffroya zbiory etnograficzne. Stał się najwybitniejszym znawcą ludów karolińskich. Napisał między innymi: *Obrazki z Wysp Żeglarskich, Wyspy Nukuoro, Z podróży po Mikronezji, Żegluga morska i handel międzynarodowy Karolińczyków centralnych*. Wyniki badań ludoznawczych zamieścił w pracy *Etnographische Beitrage zur Kenntnis des Karolinen Archipels*.

[104] Niektórzy Melanezyjczycy umieją preparować głowę zmarłego w ten sposób, że nie ztraca swego wyglądu. W tym celu ściągają z czaszki skórę i wędzą ją przez dłuższy czas. Czaszkę pozbawiają umięśnienia. Po uwędzeniu skóry zmiękczają ją, między innymi w wodzie, po czym naciągają na gołą czaszkę. Za pomocą delikatnych traw i mchu, wkładanych pomiędzy skórę i kość, modelują rysy twarzy, osiągając niezwykle podobieństwo do twarzy żywego człowieka.

[105] Pit-pit (*Saumnia*) - otrzymywana z tej rośliny sól posiada mniej intensywny smak niż sól kamienna.